

JANUSZ MEISSNER

**ŻĄDŁO
GENOWEFY**

ŻĄDŁO

GENOWEFY

JANUSZ MEISSNER

Na pułapie

Startujemy kluczem w trzy maszyny z ma-leciałby żaden rozsądny pilot...

tego polowego lotniska. Prowadzi kpt. Sikora; na I mimo to, mimo że właśnie teraz przy starcie lewo sierżant Wodzidło, na prawo — ja. Lecę po pomyślałem o tym wszystkim — nie boję się.

raz pierwszy w tym zespole. Tamci dwaj są Lecimy zwartą trójką, szybko nabierając zgrani i znają się nawzajem doskonale. Był z nimi wysokości: 1 000 — 1 500 — 2 000 — 3 000 me-także trzeci — do wczoraj. Zestrzeliły go trów. Emocja tego lotu leży w granicach skali niemieckie Messerschmitty.

emocji manewrów lotniczych w czasie pokoju Dawno już nie siedziałem za sterem myśli-Mam" uczucie, jak gdybym leciał na ćwiczebną wskiego samolotu, chyba ze cztery miesiące, a walkę klucza: zaskoczyć przeciwnika od strony może nawet pół roku. I z pewnością w czasie słońca, zbliżyć się, ile tylko będzie można, ostatniego lotu, odbytego dla przyjemności, nie chwycić go na celownik i pocisnąć spust.

przyszło mi do głowy, że następny odbędę jako Tak mniej więcej myśli się, ćwicząc walkę zadanie bojowe podczas wojny.

powietrzną nad lotniskiem. Tak właśnie my-Stwierdzam zresztą, że mimo braku treningu ślałem teraz, nie zastanawiając się, że gdy nacisnę ten lot w kluczu pod nieznanym mi z latania spust, moje karabiny maszynowe pluną ogniem; dowódcą idzie nie najgorzej; dostosowanie kąta że zamiast serii zdjęć z fotokarabinu — tryśnie nachylenia maszyny, obrotów śmigła i prędkości seria pocisków i że jeżeli przeciwnikowi uda się do tych samych elementów pilotowania moich mnie wziąć na cel, nie skończy się to na towarzyszy nie sprawia mi większych trudności.

fotografii...

Po kilku minutach lecę skrzydło w skrzydło z Lecimy po lewej stronie toru kolejowego w nimi.

kierunku Radomia, wyzyskując rzadkie obłoki Nie mam bynajmniej „przedbitewnego" na-jako osłonę. Ziemia w dole wydaje się cicha i stroju. Muszę dopiero uświadomić sobie, że na-spokojna. Leży rozciągnięta w słońcu i drzemie.

prawdę lecimy się bić, aby w to uwierzyć. Na Oglądana z powietrza jest o wiele mniej razie nie boję się ani trochę i to wydaje mi się

„wojenna" niż widziana z jej własnego poziomu.

dziwne.

Trzeba dobrze wyteńczyć wzrok, aby dostrzec Pamiętam mój pierwszy lot bojowy. Miałem zniszczenia:

leje od bomb, wyrócone słupy wtedy lat dziewiętnaście, o wiele mniej do stracenia niż obecnie, lepsze nerwy niż dziś i silniejszy organizm. Nie znałem niebezpieczeń-

stwa tak, jak znam je teraz, po dwudziestu latach życia spędzonego w zawodzie, w którym ginie bądź co bądź kilka procent personelu rocznie.

Zresztą marzyłem wtedy o tym, aby „przelać krew za ojczyznę”, nie bardzo zdając sobie sprawę z realnego znaczenia tych słów. A przecież wtedy bałem się. Bałem się tak, jak może się bać każdy żołnierz nie zasługujący na miano tchórza; robiłem, co do mnie należało.

Wykonałem do końca zadanie pod ogniem karabinów maszynowych i zarobiłem na pierwszy Krzyż Walecznych...

Później bałem się jeszcze wiele razy. Powiedziałbym, że w miarę przybywającego do-

świadczenia — coraz bardziej. Walka ze strachem ogarniającym mnie w akcji była ciężka. Atakując nieprzyjaciela fizycznie, musiałem jednocześnie odpierać ataki przerażenia; bronić się przed strachem, który jest jego przednią strażą w dziedzinie psychicznej.

A przecież wówczas, w tamtej wojnie, mieliśmy olbrzymią przewagę lotniczą, choć lataliśmy na starych gratach, na jakich nie po-telegraficzne, gdzieniegdzie spalone chaty. Jak Wreszcie mijamy szczyt cumulusa i daleko zawsze, na: łąkach widać bydło i białe plamki przed nami widać już ziemię. Matowy, szorstki pasących się gęsi. Jak zawsze, powoli odkładają jak wełniany koc, ciemny las wyłania się spoza się w tył popielate linie dróg, ciemniejszą kozuchy chmury. Wzrok odpoczywa z rozkoszą, chłonec lasów, płowieją romby i prostokąty ściernisk, tę łagodną jego matowość. Jakby kto chłodną, zielenieją pasy kartoflisk i buraczane pola, miękka dłoń przyłożył do rozpalonego gorączką połyskują wypolerowane pasemka szyn.

czoła. Jakby w spiekocie pustyni powiał wilgotny Na lewo, równoległe ze mną, balansuje lekko morski wiatr.

maszyna Wodzidły. Widzę jego kościstą twarz Ale co to? Trzy iskry błysnęły na ciemnym zwracającą się ku mnie z szerokim uśmiechem.

tle. Trzy inne zapaliły się tuż za nimi i zgasły.

Sierżant potrząsa głową porozumiewawczo i raz Szukam ich z napięciem i — są! Znowu!

po raz szybko porusza ramionami: dobrze się nam Teraz widzę: jedna... dwie... trzy trójki leci, chociaż to pierwszy raz. Potem rozgląda się samolotów.

po niebie i znów patrzy na mnie, ruszając Dorniery?... Trudno to stwierdzić z całą ramionami: nieprzyjaciela nie widać, ale trzeba pewnością: lecą na tle lasów i sylwetki ich z tej uważać.

odległości są niewyraźne.

Rozglądam się i ja, ale niebo jest puste, Ciągną ku nam skośnie, pod słońce, zbliżają bardziej bezładne niż ziemia, więc z kolei patrzę się do toru kolejowego. Idą prosto na stację na lewo w skos, gdzie o parę metrów od mego, zapchaną pociągami. Wszystko wydaje się nieco niżej, w przodzie, balansuje samolot wskazywać, że to są Niemcy: czego szukaliby tu dowódcy klucza.

nasi?

Ten siedzi skulony, przygarbiony, zebrany w Maszyna Sikory kołysze się gwałtownie z siebie jak do skoku. Czasem tylko wyciąga szyję, burty na burtę: uwaga! Kapitan wskazuje nam wychyla głowę zza odwietrznika i znów zasuwają wyciągniętą ręką bombowce. Potakujemy obaj się głęboko, aż po ramiona, w kabinę samolotu.

żywo. Potem ramię dowódcy klucza wyciąga się Słońce ślizga się po gładkich płaszczyznach w moją stronę i w górę. Rozumiem: mam skrzydeł, co chwila zawadza o pryzmaty szyb pozostać na pułapie dla ochrony tamtych dwóch; przed twarzami pilotów, zapalając jaskrawe oni będą atakowali.

refleksy blasku.

W tej samej chwili obie maszyny kładą się Ostatni obłok, biały i gęsty jak śmietankowy lekko na prawe skrzydło, pochylają się w dół i krem, płynie na naszym szlaku. Dalej niebo jest śmigają przede mną.

czyste, błękitne, z lekka tylko przydymiona na Idą równiutko, jakby spojone niewidzialnymi horyzontami.

wiązaniami. Gnają na pełnym gazie prosto jak Kapitan uprzedza nas ruchem ręki: wej-strzelił, po Minii słońce — stacja kolejowa.

dziemy nad cumulus.

Oddalają się szybko, maleją w oczach.

Dodaję gazu.

Maszyny wspinają się stromo przez powie-Dopiero teraz ogarnia mnie emocja: doleczą trzne prądy i oto już wydęte banie, pełne białego nie zauważeni przez tamtych na odległość sku-blasku, zsuwają się pod kadłuby i stery, a płowy teczny ogień, czy nie? Uda się, czy się nie uda?

kilim ziemi unika z pola widzenia. Blade, Sekundy płyną wolno, mierzone uderzeniami zmienne, niepewne cienie samolotów, raz bliższe pulsowi w skroniach. Mimo woli skręcam nieco w i ostrzejsze, raz dalsze, otoczone aureolą światła prawo i dodaję gazu, żeby być bliżej i lepiej odbitego od mlecznej bieli, gubią się i odnajdują widzieć.

pod nami, skaczą na łeb, na szyję w dół}

Dochodzą.

wypływają nieoczekiwanie w górę, zataczają się, Strzelają już? .

holendrują po wypukłościach chmury.

Prawy z ostatniej trójki Niemców, nagle Na lewo w tył z wysoka leje się słońce. Cała wydiera maszynę w górę, skręca w lewo i uka-olbrzymia przestrzeń nad nami jest pełna blasku, zuje, mi czarne krzyże na skrzydłach. Niemal oszalała światłem, oślepiająca. Nie sposób równocześnie pierwsza ti-ójka kładzie. się w spojrzeć w tamtą stronę. Ale trudno patrzeć gwałtowny wiraż na lewo; za nią skręca druga...

również pod siebie: ta słoneczna ulewa spada na Ale oto ten prawy z ostatniej już dymi i wali się biały atlas obłoku tuż pod nami i wdiera się do przez plecy w dół...

oczu. Każde drgnienie zmrużonych powiek jest Gdzie nasi?

ukłuciem w mózg. Każde spojrzenie na zegary i Nie widzę ich przez dwie czy trzy sekundy.

przrzydady w kabinie, pogrąża w odmęt zielonych Wreszcie — są!

i czerwonych płatów, które latają przed oczyma aż do zawrotu głowy.

Idą razem za spadającym Dornierem, nadal nierozdzielni, bliscy, związani parametrową odległością jak stalową kłamrą. I nagle dwiema Na szczęście nie ma już czasu na te myśli: rozbieżnymi parabolami śmigają w górę, by trzy Messerschmitty wchodzą akurat na linię wykwitnąć na niebie powyżej horyzontu.

prostą wyznaczoną przez słońce i mój samolot.

Już się zbiegli, już znowu zespoleni nurkują Skręcam ku nim gwałtownie, cisnąc maszynę ku zawracającym Niemcom. Będą atakowali w dół. Słońce błyska mi w okrągłym lusterku; powtórnie.

jest za moimi plecami, podczas gdy trójka Ale mnie nie wolno patrzeć tylko na nich: nie Messerschmittów jest dokładnie przede mną.

po to zostawili mnie tu, na wysokości trzech i pół

Od razu nabieram pewności siebie: jestem tysiąca metrów, żebym się gapił w dół.

niewidzialny w ulewie słońca; jestem o dobre 300

Opamiętałem się w sam czas: trzy czarne metrów wyżej niż oni; mam nad nimi olbrzymią punkty suną na prawo ode mnie. Tu zaczyna się przewagę w ciągu najbliższych dziesięciu lub moje zadanie: ochrona tych dwu, walczących w dwunastu sekund.

dole. I oto teraz właśnie ogarnia mnie uczucie Podciągam się nieco z fotelem w górę. Tak: osamotnienia.

teraz mogę wygodnie mierzyć. Ale na to jeszcze czas. Są daleko, o wiele za daleko, aby mój ogień To nie jest strach: ciągle jeszcze nie uświa-był skuteczny.

damiam sobie, że będzie to walka na śmierć i życie, i wcale nie mam zamiaru umierać. Ale Lecimy po skośnych tarach schodzących się wiem, że będę walczył sam przeciw trzem pilo-gdzieś w przestrzeni, na samym horyzoncie.

tom, których wcale nie znam, o których nie To ja przecinam ich drogę. To ja atakuję. To wiem, ile są warci i co umieją.

ja pierwszy zacznę strzelać — oby tylko nie za Jest mi tak, jakbym stawał do zawodów wcześniej.

reprezentując polskie barwy i jakbym nie był

Jeszcze trochę naciskam ster i ciągnę rączkę pewien, czy jestem godzien je reprezentować.

od gazu, której zresztą więcej odciągnąć się nie Uczucie — wiem o tym bardzo dobrze — wcale da: silnik wyje na pełnych obrotach.

nie na miejscu; wcale nie to, które powinno Oni lecą dalej prosto, nie zmieniając szyku przejmować myśliwca o tak zwanym „wysokim kierunku. Zapewne nie dostrzegli walki naszych z morale".

Dornierami i z pewnością nie dostrzegli mnie.

A gdzież „zacięta wola zwycięstwa"? Gdzie Widzę ich. Wchodzą na coraz większe pier-

„żądza natarcia"? Gdzie „nastawienie zaczepne", ścienie mego celownika; potem dowódca klucza i o którym ciągle, aż do znudzenia, mówi nasz prawoskrzydłowy już się w nich nie mieszczą, regulamin?

potem lewoskrzydłowy zajmuje drugi pierścień, Regulamin? Jeszcze tylko tego brakowało, trzeci pierścień...

żebym właśnie w tej chwili myślał o regulami-Maszyna spazmuje, wrzeszczy, gwizdże pę-

nie,,.

dem, silnik ryczy, przez głowę przelatuje mi niedorzeczna myśl: Usłyszają!

Spoglądam zezem na prędkościomierz: 430.

Serce wali coraz mocniej, siłą woli po-wstrzymuję się od naciśnięcia spustu, zaciskam zęby, żeby mi nie dygotały szczęki.

Czas traci zwykle wartości. Sekundy przestają istnieć jako stałe, wymierne jego jednostki: jedna niepodobna jest do drugiej, bo trwają coraz dłużej w postępie więcej niż geometrycznym, w miarę jak zbliżam się do przeciwnika.

Muszą mnie lada chwila zobaczyć. Lada chwila ktoś z nas: ja, oni — lub może słońce? —

wyłamie się z prostej linii, która stanowi tor mego lotu.

Odrywam twarz od celownika, żeby sprawdzić odległość.

Jeszcze nie.

myśliwego, który położył pierwszym strzałem Jeszcze mnie nie widzą. Jeszcze lecą razem.

grubego zwierza.

Spokojnie, tylko spokojnie.

Mimo że od lat dwudziestu, od poprzedniej Trudno jest nakazać sobie ów konieczny spokój wojny, nie strzelałem do człowieka; mimo że przecież przy prędkości prawie czterystu pięćdziesięciu nie zdołałem pozbyć się jeszcze całego balastu kultury kilometrów na godzinę, na wysokości trzech tysięcy pokojowej, z jej wstrętem do mordów wojennych; metrów, podczas gdy o kilometr niżej toczy się walka mimo że moja wrażliwość nie stępieła jeszcze w tej dwóch przeciw dziewięciu i gdy ma się samemu lada nowej wojnie — pierwsze zwycięstwo w powietrzu chwila zacząć strzelać. Jeszcze trudniej utrzymać ten takie właśnie na mnie robi wrażenie. Ani mi przez spokój bodaj przez dwie sekundy.

myśl nie przeszło, że z mojej ręki zginął człowiek, Nie strzelać! Jeszcze nie strzelać! Jeszcze nie...

choć widziałem jak Messerschmitt rąbnął w ziemię i Lewoskrzydłowy Messerschmitt rośnie w moim buchnął płomieniem. Jakby dzik zrulował na leśnej celowniku. Teraz już nie ma czasu, żeby oderwać od polanie od mego strzału. To właśnie było tak.

niego wzrok: jest blisko. Ale jeszcze raz wstrzymuję Zresztą nie miałem zbyt wiele czasu na analizę nacisk palców na spust i oto widzę twarz niemieckiego tych uczuć i na filozofowanie. Dwaj pozostali Niemcy pilota: odwraca głowę i spogląda na mnie.

siedzieli mi na karku. Teraz oni mieli przewagę: byli Ta jasna twarz jest w samym środku celownika.

wyżej i — za mną.

Biorę poprawkę i dreszcz krótkiej serii karabinów Nigdy jeszcze — nawet przez tak krótki czas jak maszynowych wstrząsa moim samolotem.

wówczas — nie uświadomiłem sobie tak dokładnie, że Jednocześnie Messerschmitt kładzie się lekko na mam plecy. Czuję je. Cała moja świadomość była skrzydło, wypływa w górę, zawija w lewo

ogonem i związana z ich kształtem, z napięciem skóry, z wali się nagle pode mnie w dół korkociągiem.

układem mięśni i kości, niemal z rozgałęzieniem żył i Ani na chwilę nie spuszcza go z oka, tętnic. Nieco mniej wyraźnie czułem nogi od kolan w przekonany, że chce mi się wyniknąć. Zamykam gaz, dół i ramiona od barków po łokcie. Za to kark i tylna podciągają, kopię ster w lewo i nurkuję za nim z część czaszki stały się nagle wrażliwe tak samo jak wywrotu.

plecy: wiedziałem o każdym włosie pod kominiarką i Przez sekundę zapadam w ciemność: siła czułem, z którego miejsca wyrasta.

odśrodkowa (450 kilometrów na godzinę w krótkim Moje plecy, kark i czaszka narażone były gwałtownym przerzucie) wysysa mi wszystką krew z najbardziej na pociski z niemieckich samolotów.

mózgu. Ale już odzyskuję wzrok i obrzydliwe uczucie Czekają na nie. A moja świadomość przez kilka mdłości mija równie szybko, jak przyszło.

sekund przylepiła się do tego oczekiwania.

Messerschmitt wychodzi ze zwojów, nie Zapewne z tej przyczyny nie od razu zdałem przestając nurkować.

sobie sprawę, co mogą oznaczać delikatne, zaledwie Nic z tego nie będzie — myślę. — Spróbuj tylko dające się zauważyć, nieregularne drgania mego wyrównać; właśnie na to czekam.

rozpędzonego PZL-a. Dopiero kiedy zobaczyłem Lecz on nie równa. Nurkuje coraz ostrzej, tworzące się raz po raz zadry blachy na skrzydłach, przechodzi niemal na plecy i... dymi. Dymi! Pali się!

zrozumiałem: strzelają.

Najpierw zdumienie, a potem radość rzuca mi do Wiedziałem, że są blisko i że nie powinienem się głowy falę krwi: zestrzeliłem samolot! Jedną serią.

ogłądać. Ziemia pędziła ku mnie, coraz większa i Pierwszą serią.

coraz wyraźniejsza, puchnąc mi w oczach, a oni Przeżywam wstrząs podobny do wstrząsu gracza, strzelali mi po skrzydłach...

który postawił wielką stawkę na numer i wygrał. Albo Zdecydowałem się na jakichś pięciuset metrach.

— jeszcze dokładniej — wstrząs

Odwrociłem maszynę o pół obrotu i ściągnąłem drążek sterowy.

Wcisnęło mnie w siedzenie. Ręce, nogi i żołądek nalatło mi ołowiem. Przez serce przewaliła się krew i uciekła w dół, a głowa zanurzyła się

w chłodną, mdlącą ciemność, podobną chyba do Powitali mnie wzniesieniem lewego ramienia — śmierci.

także jak na komendę.

Zapewne tylko dzięki nawykowi mięśni Zbliżyłem się, wyrównałem, przypiąłem się wyrównałem stery, bo przez chwilę nie wiedzia- do klucza.

łem, co się ze mną dzieje. Pierwszym wrażeniem, Sikora spoglądał na mnie raz po raz, wy-jakiego doznałem odzyskując świadomość po tym kręcąc głowę i krzywiąc się niemiłosiernie.

ostrym manewrze, było uporczywe dzwonięcie w Sierżant rozdziawiał w uśmiechu swoją kościstą, uszach. Potem jak przez mgłę zobaczyłem tablicę końską gębę i prędko ruszał ramionami, co tym zegarów wyłaniającą się z ciemności, coraz razem oznaczało wielkie zadowolenie. Szliśmy w wyraźniejszą i ustalającą się przed moim dół na małej prędkości, w kierunku stacji. Wtem roztańczonym wzrokiem. Wreszcie —

kapitan zawachłował skrzydłami, rozkołysał się z zwichrowany horyzont, skośnie przekreślony burty na burtę, domknął gaz i runął pionowo w skrzydłami mego samolotu.

dół. Za nim jak kamień spadał sierżant. Ja Potem usłyszałem, jak silnik krztusi się i zostałem nieco z tyłu i tak gnaliśmy prosto na kaszle, pozbawiony nagle dopływu mieszanki i tory kolejowe rozciągniętą trójką, jak trzy równie nagle zachłyśnięty jej nadmiarem.

spadające pociski.

Odetchnąłem głęboko i rozejrzałem się.

Nie od razu zrozumiałem, co to ma znaczyć.

Byłem sam. Daleko poza mną kładły się w Dopiero spojrzawszy uważniej na ziemię, do-wiraż dwa Messerschmitty, a dalej jeszcze, i strzegłem przyczynę wariackiego nurka; po obu nieco wyżej, sunęły ku nim z góry dwa PZL-e.

stronach szyn, połyskujących jak srebrne nici na Dopiero teraz wróciła mi utracona pamięć klockowej koronce podkładów, leżały szczątki poprzednich zdarzeń: to były przecież PZL-e dwóch Dornierów.

naszego klucza... Kapitan i Wodzidło załatwili się Urosły mi gwałtownie w oczach, wyłamały z Dornierami dość szybko, aby mi przyjść z się kanciasto, plastycznie z zieleni łąki, pomocą. Ale przecież Dornierów było dziewięć...

zesztywniały w bezruchu, martwe.

Dornierów było dziewięć, a ich dwóch. I mimo to Pędziliśmy wprost na nie ze świstem i wyjużgnają z góry na Messerschmitty, podczas gdy ciem fletnerów, aż na wysokości stu metrów ja mogę im się tylko przyglądać...

Sikora zadarł maszynę, zarył brzuchem i śmignął

Widzę ich na tle nieba, mając słońce z boku, z powrotem w górę nad stacją kolejową, a za nim ale nawet marzyć nie mogę o wzięciu udziału w Wodzidło ryknął przeraźliwie gazem w świecy, pościgu: jestem o dobre czterysta metrów niżej wyleciał jak rakietka i pociągnął mnie swoim niż oni, oddalony o kilometr od nich. Nie dogonię torem.

stąd nigdy Messerschmittów, a one wcale nie Miałem największą prędkość, bo nie do-mają zamiaru czekać na mnie... Zresztą i nasi nie mykałem gazu i wyprzedziłem ich obu. Znaladadzą im rady. Dopóki szli skośnie w dół, zły się na czele, skręciłem w prawo i szukałem dopędzali je z wolna. Teraz wyrównali i wzrokiem mojego Messerschmitta. Ale oni odległość między mmi rośnie.

zobaczyli go wcześniej, bo wyprzedzili mnie Messerschmitty są mniej zwrotne niż nasze nagle jeden za drugim tuż, blisko i poszli w dół.

„jedenastki”. Niemieccy piloci są słabszymi Niemiec leżał niedaleko za szosą, u skraju strzelcami niż Polacy i nie zdobywają się na to, lasu i dymił jeszcze wśród czarnej plamy wy-by atakować, gdy siły są równe. Za to ich palonego rżyska. Sikora przewinał się w skrócie samoloty są szybsze niż nasze. Jeżeli uciekają na między nim a drzewami; Wodzidło niemal jednym poziomie z pościgiem, nie można ich musnął podwoziem sterzący szkielet kadłuba i dopędzić. A właśnie teraz uciekają.

kopiąc ster boczny raz w lewo, raz w prawo, Moi towarzysze zawracają. Jak zawsze Polacy — trzeba, czy nie trzeba — z fasonem: skrzydło od skrzydła o metr, okrążyło 1 gładko przeorali niebo od horyzontu do zenitu, błysnęli słońcem na sterach w półbeczce, zawiśli —

rzekłbyś — na chwilę nieruchomo w przestrzeni, drwiąc z prawa ziemskiej grawitacji i zamiast mu ulec, zamiast zwalić się w dół po tym młyńcu o trzystumetrowym promieniu — wypłynęli razem w tył z zawrotu, znacząc podwójny ślad warkoczami bledniejącego dymu spalin.

Dodałem gazu i wydźwignąłem się w górę stromym zakrętem, aby się z nimi zrównać.

zamiatał przede mną ogonem z wielkiej uciechy.

niska. Wielki obłok, wydęty jak żagiel, wpełzał

Wykręciłem za nim. Dodaliśmy gazu pod słońce i okrywał cieniem pobożowisko. Nad i zwartym szykiem pociągnęliśmy w stronę lot-nim; na pułapie, krążył samotny jastrząb szukając żeru...

Ewakuacja.

Właściwie na walce z Messerschmittem pod przewiezienie. Dokąd? — nie wiadomo... W

Radomiem zaczyna i kończy się moja „kampania dodatku o naprawie zrujnowanej boczniczy lotnicza” w Polsce, głównie dlatego, że właśnie kolejowej nie ma co marzyć.

wykończył się silnik w „jedenastce” ocalałej Pracujemy we dnie i w nocy bez przerw.

dziwnym zbiegiem okoliczności z pogromu Kierowcy samochodów upadają ze znużenia.

maszyn w dęblńskiej składnicy. Zawory dzwo-Wywozimy co się da spod bomb niemieckich i niły w tym silniku jak w czasie mszy na podskładamy w Rososzy, aby później załadować to niesienie i chyba cudem wytrzymały jego ostatni na pociągi w Rykach i wywieźć dalej.

wyczyn, Ale zaraz się skończyły i spracowany Nastrój tego dnia jest podły: niebo mruczy grat przy każdym obrocie śmigła stękał, syczał i nieustannie. Niemcy bombardują bardzo blisko wypuszczał kompresję sapiąc jak astmatyk. Z

nas. Ludzie chodzą zaspani, przemęczeni. Sa-jego pięciuset koni przynajmniej połowa pasła się moloty niemieckie zaciekle, ale niezbyt celnie po wszystkich lotniskach Polski, reszta zaś —

atakują z powietrza most na Wiśle. Wieczorem zmordowana i bezsilna ryi nie mogła uciągnąć

— jak co dnia — zbieramy się przy radio-maszyny. Płatowiec też był rozklekotany i trochę odbiorniku, aby wysłuchać komunikatu z War-posiekany przez niemieckie pociski. Nadawał się szawy. Ale tym razem Warszawa milczy ...

do generalnego remontu, nie do lotu. Trzeba było Milczy również Zygmunt, przyjaciel mój, się z nim rozstać, i to bez nadziei na otrzymanie którego tu spotkałem, najbardziej pyskaty czło-innego, bo sprzętu było brak...

wiek jakiego znam. Łazi ponury i przepowie-Dostałem nowy, „ziemny” przydział i z cięż-

dziawszy koniec świata, rozgląda się po niebie, kim sercem pojechałem zameldować się nowemu jakby czekał na potop. Na moją uwagę w tym dowódcy.

sensie, odparł z wyższością, że potop będzie, ale Sienkiewiczowski, nie ten ze Starego Testa-mentu, i poszedł do sadu na śliwki, wzięwszy z sobą mego psa. Opychają się obaj węgierekami Rososza, majątek państwa Doleckich, leży o przed tym potopem, jakby ich to miało zbawić, a kilkanaście kilometrów na północ od Dębłina, za potem obydwu brzuchy bolą. Stękają więc, nie Rykami. Mieści się tam ewakuowana baza dając mi usnąć.

lotnicza, kwatera jej komendanta, majora T., i Warszawa milczy, Zygmunt milczy z gębą kolumna samochodów ciężarowych przeznaczona pełną śliwek, a i dowództwo żadnych rozkazów do

wywiezienia cennego sprzętu, jaki jeszcze nie nadsyła, więc jesteśmy pozbawieni wszelkich ocalał w dęblińskich składach lotniczych.

wiadomości i — prawdę mówiąc — nie wiemy, Jesteśmy na ty s komendantem, który w co dalej robić.

lotnictwie po prostu nazywa się Maryśka. Moja funkcja nie jest właściwie bliżej określona. Mam mu pomagać i pocieszać go wśród niedoli i nieopisanego bałaganu, z którym na zawsze może sobie poradzić. Mamy zaopatrywać w benzynę i sprzęt (ten, który trzeba uratować z Dębłina) szkoły lotnicze. Tylko że sprzętu jest wiele wagonów, benzyny kilka milionów litrów, a my mamy kilkanaście samochodów na ich Rano pojechałem samochodem szukać naszych

— Nie mogę dojechać do Dębłina — powiada.

hetmanów lotniczych, bo trzeba było wreszcie

— Ryki zbombardowane: palą się.

powziąć jakąś decyzję co do podziemnych zbiorników

— No to czemuś pan, do wielkiej cholery, nie z benzyną, której w żaden sposób ewakuować się nie objechał Ryk inną drogą? — zapytałem wściekły na da. Ale hetmani ulotnili się jak kamfora i na próżno jego głupią niezaradność. Unikał mego wzroku.

przez sześć godzin jeździłem od Annasza do Kajfasza.

— Tam nie można dojechać — mruknął.

Byłem także w dowództwie korpusu, gdzie

— Dlaczego?

pewien generał oświadczył mi, że go moja benzyna

— Na skrzyżowaniu warszawskiej szosy, za obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg, ale że ją trzeba Rykami, zatrzymał mnie żandarm. Dęblin i cała wysadzić w powietrze, bo nasze wojska cofają się za droga dalej są pod ostrzałem niemieckiej artylerii.

Wisłę.

Podobno Niemcy zajęli Zajezerze. Most zerwali Prosiłem o saperów i środki do tej roboty, lecz on nasi saperzy, więc...

tylko spojrzał na mnie z góry i odrzekł, że żadnych

— Więc — podjął Zygmunt, wypluwając w kąt środków ani saperów ml nie da, bo ma dla nich

pokoju z tuzin pestek od śliwek — jak psy są we ważniejsze zadania.

wsi, to piechota nie przejdzie?

—Ależ tam jest benzyna dla całego lotnictwa, B. spojrział na niego spode łba i pogardliwie panie generale — powiedziałem. — Kilka wzruszył ramionami.

milionów litrów benzyny...

— Nie każdy jest takim bohaterem jak pan —

—Nu, tak benzyna podpalić — zdecydował.

mruknął.

Już mnie diabli brali.

Zygmunt zmrużył jedno oko i chciał coś po-

—Ja to wiem, że podpalić. Tylko Jak?

wiedzieć, ale w tej samej chwili powietrzem targnął

Rozśmieszyła go moja niedomyślność.

wściekły huk. Jęknęły szyby, dom zadrżał,

—Ot liotczyk, a nie wie — rzekł. — Nu, cóż?

podskoczyły sprzęty.

Jedna zapalka i dosyć. Wzerwie się.

— Słyszysz pan? — szepnął kapitan, pobladły z

— A kto tę zapalkę zapali?

wrażenia.

Zirytował się.

Po pierwszym nastąpił drugi huk i wstrząs, potem

—Co pan — dziecko, panie kapitanie? Ktoś musi trzeci, czwarty, dziesiąty — w coraz krótszych poświęcić się...

odstępach, aż zlały się w nieustanny grzmot

—To może pan generał? — spytałem chłodno. —

wybuchów.

Bo ja — nie!

To nie może być artyleria zza Wisły —

Był tak zdumiony, że zaniemówił na chwilę, ja pomyślałem.

zaś, korzystając z tego, wyszedłem wściekły, klnąc Nasłuchiwaaliśmy wszyscy trzej. Zygmunt wyjął z tego, kto go zrobił kapralem.

kieszeni garść śliwek i wpakował je sobie wszystkie Dobrze po południu wróciłem do Rososzy.

razem w usta.

Uradziliśmy z Maryską, żeby zaraz, co się tylko da,

— Pojedziesz ze mną? — spytałem.

załadować do wagonów i wysłać na wschód, resztę zaś Żuł z trudem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch, przewieźć do lasów pod Kock i dopiero potem mrugał w stronę kapitana i gadał, dzieląc zdania, aby ewakuować dalej składnicę dęblińską, bo inaczej raz po raz przełknąć śliwki lub wypluć pestki.

możemy stracić wszystko. Wydałem rozkazy i

—Bój się Boga — tfu! — tam — hm — żandarm wysłałem do Dęblińsk kapitana B. żeby na miejscu na szosie ludzi przed śmiercią ostrzega — tfu! —

z badał, jak wygląda sytuacja, i zasięgnął języka w Niemcy z Zajeziera rzną, aż się ziemia trzęsie, twierdzy, czy rzeczywiście nasi zamierzają się Ryki — tfu! — się palą, co dzielniejsi wycofać. Sam poszedłem przespać się choć trochę, bo kapitanowie lotnictwa — hm — do Dęblińsk byłem ostatecznie wyczerpany.

dojechać nie mogą...

Maryska obudził mnie na komunikat radiowy, ale

—Przestań pyskować — powiedziałem. —

na próżno kręciliśmy gałkami odbiornika: Warszawa Jedziemy?

milczała.

—Bardzo się boję, ale pojedę — odrzekł

Tymczasem wrócił B.

przełknąwszy resztę śliwek.

Obejrzał kapitana od stóp do głów, wydmuchnął pestki za niego, zrobił przepisowo w Rozglądam się, ale nie widzę jej trupa. Tym tył zwrot i poszliśmy.

gorzej dla niej, jeżeli uszła z życiem.

Pryszczyk, mój kierowca, drzemał na tylnym Mijam kolejno młyn i elektrownię, potem siedzeniu. Siadłem za kierownicą, Zygmunt obok dwór i gospodarstwo rybne, gdzie tyle razy mnie i ruszyliśmy prosto na Ryki.

bywałem dawniej na polowaniach...

Wieczór zapadał, powietrze nagrzane w cią-

Kaczki ciągną po niebie, które na wschodzie gu słonecznego dnia stało nieruchomo pod ja-zaczyna już gasnąć, podczas gdy na zachodzie snym jeszcze niebem, jak pod kloszem. Kurz czerwienieje coraz bardziej. Kaczki ciągną, choć wznosił się wielkim tumanem i wisiał nad rzy-jest wojna. Ten prosty, zwykły fakt wydaje mi się skami. Stada wron leciały na zachód kracząc w tej chwili karykaturalnie dziwaczny.

niespokojnie, a z południa, od strony w którą Ale kanonada wybuchów jest teraz zupełnie jechaliśmy, łomotały coraz głośniej bliskie wy-bliska i ona to zwraca moje myśli w kierunku buch.

zadania, które mam wykonać. Nie same zresztą Z polnej drogi skręciliśmy na szosę. Wzdłuż kaczki widać na niebie: od strony Kocka na niej rowami, pod osłoną drzew szli ludzie: chłopcy wysokości tysiąca pięciuset metrów nadciąga z węzełkami na plecach, kobiety z kobiałkami i klucz niemieckich samolotów. Liczę na to, że] nie dziećmi na rękach; Żydzi w chałatach. Oglądali mają bomb, ponieważ wyraźnie wracają z się za siebie, przystawali, patrzyli w tamtą stronę, wyprawy, i jadę dalej, nie zatrzymując się: pod jakby chcąc zawrócić — i szli dalej. Kobiety osłoną drzew.

płakały. Środkiem jechały wozy i wózki Na skrzyżowaniu dróg istotnie stoi poste-naładowane dobytkiem, gnano chude krowy i runek żandarmerii. Melduje, te szosa do Debli, na ogłupiałe owce.

i sam Dęblin są ostrzeliwane przez artylerią zza

— To z Ryk, panie kapitanie — powiedział

Wisły, natomiast grzmot potężnych wybuchów, do mnie Pryszczyk.

które słyszymy przez cały czas, to eksplozje Skinąłem głową w milczeniu i minąwszy tę składów amunicyjnych w Stawach. Nie wiadomo falę ludzką dodałem gazu.

czy wymacali je Niemcy, czy też nasi wysadzają je Nagle za zakrętem ukazały się Ryki, a raczej w powietrze przed odwrotem.

ich dopalające się szczątki: nagie, czarne Jedziemy dalej. Eksplozje są bliskie, raz po kręgosłupy kominów sterczących wśród zgliszcz, raz warczące żelazo przelatuje nad naszymi objęte płomieniami trawiącymi resztki głowami, rwąc po drodze liście z drzew. Kilka, porozwalanych ścian i sprzętów. Całe szeregi krotnie wybuchają pociski artyleryjskie wzdłuż podobnych do siebie kominów wzdłuż wąskich szosy, ale tak daleko, że nawet ich odłamki nie uliczek bez domów. Tylko one zostały: jak krzyże dolatują do nas. Więc Pryszczyk pokpiwa głośno na cmentarzu, jak ponury znak, że niegdyś było tu z niemieckich kanonierów:

życie, które zniszczyły niemieckie bomby

— Trza by im szosę poszerzyć i na zapalające.

autostradę przerobić, toby może trafili.

Szkoło skrzypi i zgrzyta pod kołami samo-Jest już prawie ciemno, gdy dojeżdżamy! do chodu. Trzeszczą płonące belki. Ciężki odór miasteczka Irena, leżącego tuż przy lotnisku! Pali spalenizny wisi w gorącym powietrzu, które się szkoła rolnicza. Poza tym Irena jeszcze wibruje drobnymi falami, wznosząc się pionowo nietknięta, tylko szkło szyb, które wyleciały od w górę wraz z dymem.

wybuchów, trzeszczy na jezdni tak samo jak w Na jakimś rogu byłej ulicy, pod pochylonym od Rykach. Na ulicach nie ma żywego ducha!

wybuchu bomby słupem telegraficznym, który z Żydowskie sklepiki na głucho pozabijane wyrazem rozpaczy zwiesił swoje porwane druty deskami. Tylko na poczcie ładują do samochodów ku ziemi, dostrzegam przewrócony wózek nad jakieś skrzynie.

brzegiem leja. Mimo woli zwalniam. Wózek leży Wymijam leje w szosie i zwaliska gruzu?

tak, że widzę jego wnętrza: zakrwawiona zburzonych gmachów najpiękniejszego portu poduszka i jakiś zmiądzony, poszarpany ochłap lotniczego Polski, skręcam na wysadzoną prał

mięsa, zakończony parą małych nóżek dziecka...

starymi topolami drogę wzdłuż toru bocznicy Gdzie jest matka?

kolejowej i zatrzymuję się przed stacją benzynową. Tuż przed nią szyny wyrwane z podkładów piekielnym wybuchem jakiejś ciężkiej bomby, owinięte dokoła ogołoconej z konarów topoli na wysokości kilku metrów — robią wrażenie po prostu niesamowite. Wygląda to jak w strasznej, dziwacznej bajce: tor kolejowy stanął dęba i wspiał się na potężne drzewo, by chwycić je w żelazny splot i udusić? Albo może — by rzucić na nie rozjuszony, bezmyślny

—Odwody?

parowóz?

—Kto by się tam teraz martwił o odwody? Jakiś Podporucznik rezerwy z trzema szeregowcami pułkownik zbiera na lubelskiej szosie niedobitki siedzi tu od tygodnia i pilnuje czterech czy pięciu różnych pułków którejs tam dywizji, więc milionów litrów benzyny, która wypełnia podziemne odwody będą. A łącznie się robi.

zbiorniki. Kazali mu, więc siedzi i czeka na tej Powiedział mi jeszcze, że komenda twierdzy wraz benzynie. Czeka na nowe rozkazy, które powinny z garnizonem wycofała się rano, nie uprzedzając go o nadejść wraz ze zmianą, albo na bombę, która wywali tym i nie wydając mu żadnych rozkazów, więc na zbiornik wraz z nim w powietrze.

własną rękę myśli bronić przyczółka mostowego.

To drugie jest znacznie prawdopodobniejsze niż Zostawili mu także kilkunastu rannych. Na szczęście pierwsze: wątpię, czy przyjdą jakiegokolwiek rozkazy, jest lekarz.

sympatyczny podporuczniku w okularach o grubych Pożegnałem go, uprzedzając, że jadę na most, szklach. Wątpię, czy cię kto zmieni, abyś mógł

więc żeby nie strzelał do mnie ze swoich połówek. Dał

odetchnąć spokojniej po tygodniu bombardowania.

mi cztery karabiny i trochę amunicji oraz łącznika, Wątpię, czy zdołasz ogolić się i umyć przed śmiercią, który ma go zawiadomić gdy wrócimy, i — jazda.

jeżeli i nadal, jak dotąd, będziesz dzielnie trwał na tym Most objawia nam się w ciemnościach, jak czarny posterunku ze swymi trzema szeregowcami, bez wody, upiór topielca-olbrzyna wstający z jeziora mroku, bez jedzenia, bez papierosów i tylko z iskrą nadziei, że nagle — rzekłbyś — tuż przed naszymi twarzami. Na nie zapomniano o tobie.

przyczółku nie ma nawet warty. Jeżeli istotnie jakiś Po co było studiować astronomię i mozolić się niemiecki oddział znajdowałby się po drugiej stronie, nad wyższą matematyką, panie podporuczniku? Po co mógłby tu narobić nie lada bigosu...

gromadzić j książki, walczyć o stypendia i czytywać Włączam światła reflektorów: nie sposób jechać piękne wiersze, jak pan to czynił jeszcze przed dwoma na ślepo, skoro gdzieś przed nami jest wyrwa zdolna tygodniami? Po co marzyć o pracy w wielkich pochłonać czołg. Jeżeli zaczną do nas strzelać, zdążę obserwatoriach, skoro nadeszła wojna i oderwała pana jeszcze zgasić światła i cofać się. Jeżeli nie, należy od gwiazd i poezji, by rzucić cię tu, na ten skrawek przypuszczając, że Niemców nie ma w Zajezerzu.

ziemi podminowanej benzyną? Skoro jutro, a może jeszcze dziś, może za chwilę wszystko to skończy się dla ciebie raz na zawsze?

Czy pan też zadaje sobie takie pytania, dzielny, krótkowzroczny student w służbowym, niedopasowanym mundurze podporucznika?

Zostawiam mu wszystkie papierosy, obiecuję konserwy i wodę oraz interwencję u jego władz, jeżeli je gdzieś znajdę. Ruszamy...

Koszary w twierdzy zbombardowane. Z jakiegoś okna powiewa długa koronkowa firanka i wychyla się palma w rozbitej doniczce. Pod oknem —

rozkładający się trup konia z wywalonymi na wierzch jelitami. Cuchnie okropnie. Na drodze pełno lejów od bomb, jakichś szczątków rozbitych wozów, pogruchotanego ryszunka. Znow trupy końskie, znow strzaskany jaszcz, wywrócony samochód, a nad tym wszystkim żałośnie pochylone słupy telegraficzne jak krzyże, i zwisające druty.

W samej twierdzy, nie uszkodzonej zupełnie, zastaję jakiegoś majora artylerzystę. Ma około dwustu ludzi różnej zbieraniny, kilka połówek i... zamierza się bronić.

Pytam o most na Wiśle. Jest częściowo zerwany, tak że „czołgi nie przejdą, ale pieszo można”. Nasuwa mi się uwaga, że nie będzie trudno naprawić takie uszkodzenie tak, aby i czołgi mogły przejść, ale wstrzymuję się od dyskusji.

Czy Niemcy są na drugim brzegu Wisły — major nie wie. Właśnie zamierza wysłać tam rozpoznanie, czeka tylko, aż się zupełnie ściemni. Działa ma wycelowane na most i na Zajezerze.

Nie bez pewnej emocji dojeżdżamy do nad-werężonego przęsła w dwóch trzecich długości mostu. Dalej jechać nie można: cała jezdnia zerwana i tylko z prawej strony wąski chodnik dla pieszych trzyma się jednego nienaruszonego dźwigara, ot tak — na słowo honoru.

Nie widzę potrzeby dalszego rozpoznania pieszo: i tak niewiele rozpoznam. Wobec tego wracamy i resztę nocy poświęcamy na zbadanie stanu ewakuacji składnicy.

Niezapominajki

Żółtą bryczką w parę koni przyjechało dwóch inżynierów z Państwowych Zakładów Lotniczych i wojskowy mechanik. Przyjechali z samego rana, ledwieśmy zdążyli rozłożyć biwak na tym folwarku pod Włodawą. Trafili jakoś, choć folwarczek siedział w lasach, daleko od szosy, ukryty przed ludzkim okiem i przed niemieckimi lotnikami, którzy hulali już na dobre nad całą Polską i strzelali nawet do pastuchów i do krów po łąkach, a bombardowali nawet pojedyncze dwory wiejskie i wsie.

Więc ci inżynierowie przyjechali i Zygmunt zaraz mnie obudził, żebym tam do nich poszedł.

Skląłem Zygmunta, Państwowe Zakłady Lotnicze i przybyszów, bo mi się spać chciało po całonocnej jeździe za kierownicą samochodu. Ale nie miałem racji, bo inżynierowie szukali pilota.

—Pilota? Po co? — zapytałem głupio.

—Oczywiście po to, żeby latał.

Od razu mi senność przeszła. I złość także.

Zwłaszcza gdy się dowiedziałem, że potrzebny jest pilot do P-11 i że ta maszyna ma nowy silnik, i że jest uzbrojona, i że amunicji mają do nagłej krwi.

— Gdzie jest takie cudo? — zapytałem, jeszcze trochę niedowierzająco.

Okazało się, że zaledwie o parę kilometrów, tuż przy szosie, w szczerym polu albo raczej —

na1 szczerzej polanie między lasami. Ponadto są tam dwie łącznikówki RWD-8 z piło-Niestety, bardzo znaczna część materiałów i sprzętu lotniczego jeszcze tu pozostaje. Kilkanaście samochodów ciężarowych, którymi rozporządzamy, stanowi śmiesznie mały tabor) w stosunku *d o* tego, co należałoby wywieźć.

O świcie wracamy do Rososzy. Tu dowiaduję się, że Maryśka już się wycofał z większością samochodów w kierunku Kocka.

Jadę! za nim i znajduję go w lasach po drodze.

Jest dzień — znów zaczyna się bombardowanie. tam i rezerwy właśnie trzeba ich poprowadzić do Zaleszczyk.

Nie jest to bardzo wygodna towarzyszka I —

RWD — dla „jedenastki”: tamta ma prędkość sto dwadzieścia, ta — ponad trzysta kilo-metrów na godzinę. Ale — myślałem — niech no ja tych bubków odprowadzę, to już potem sam się przyczepię do jakiejś myśliwskiej eskadry :i wtedy...

Pojechałem więc żółtą bryczką z inżynierami, żegnany przez ziewającego Zygmunta, który był kwaśny o to, że ledwieśmy się znaleźli, a już wyrzynani i zostawiam go na pastwę losu i komendanta bazy.

Dzień był suchy, słoneczny, gorący, jak te wszystkie dni wrzesniowe, które toczyły się nad Polską razem ze słońcem, przez dymy pożarów i kurz marszów, w takt łomotu bomb i działowego ognia.

Słysząc było z daleka ów głuchy łomot, a niebo czyste i mlecznoniebieskie mrucało znowu ponurym warkotem niemieckich bombowców. Las dyszał żywicą, nieruchomy, czarny w górze, złoto i rdzawo cętkowany światłem pośrodku, dołem szkliście zielony, płowy, brązowy. Tylko tu i ówdzie, jak pionowa krecha pociągnięta kredą przez tablicę, bielą rozczochrana brzoza.

Bryczka turkotała po szosie, kłapały me-talicznie a gęsto cztery pary podków, parobek siedzący na koźle pomrukiwał coś do siebie czy do koni i ćmił śmierdzącego papierosa, inżynierzy zostałem bez szkicu, ale pamiętałem go dokładnie-milczały, rozglądając się po szerokim pasie nieba nie.

między parawanami lasu, a mnie zaczynała z Umówiliśmy się, że oni wystartują razem, powrotem ogarniać senność.

przede mną, a ja ich potem dogonię. W drodze Ktoś spytał, czy mam mapę. Nie miałem, ale mają lecieć według kursu busoli możliwie nisko; przygotowałem był sobie jaki taki szkic na ja będę się kręcił między nimi wyżej.

świszku papieru. Powiedziałem, że mam.

, — W razie czego wyrzynajcie nad samą Skręciliśmy w boczną drogę na lewo. Objął

ziemią, nie oglądając się na mnie, bo i tak nic nas cień. Bryczka podskakiwała na korzeniach, to byście mi pomóc nie mogli — dodałem na za-znów piasek skwierczał pod kołami i sypał się z końcem.

żelaznych obręczy sucho szeleszcząc. Potem, za Mechanik, starszy podoficer, krępy i krzepki, zakrętem, szeregi drzew odłożyły się prostą linią o czerwonej twarzy zarośniętej ostrą ryżawą na prawo i pełna słońca zielona polana wystąpiła szczecina, już kręcił śmigło przy maszynie nagle przed same oczy, jak głęboka scena w podporucznika. Spieszył się. Widać było, że teatrze zza rozsuwającej się kurtyny. Z boku, chciał z tym skończyć i wynieść się stąd jak schowane pod niskimi gałęziami, stały dwie najprędzej. Przerzucił śmigło przez kompresję zgarbione RWD i wypięta piersią naprzód jakby ze złością, wprawnie i szybko, i chwycił je,

„jedenastka”.

zanim następna zdążyła je odrzucić: raz-dwa, raz-Poszedłem obejrzeć teren do startu. Był dość dwa...

równy, choć kiedyś szły tu w poprzek zagony W ciszy słysząc było uderzenia gładkiej uprawnego pola, teraz ledwie widoczne pod drewnianej krawędzi o jego muskularną dłoń, trawą. U przeciwległego końca pod lasem biegł

lekki szczęk zaworów i ciche westchnienia tło-wilgotny rów pełen niezapominajek. Pachniało ków. Stał rozkraczony przed silnikiem, nieco w tam miętą i roje motyli unosiły się nad kwiatami.

prawo i zrywał wyciągnięte ramię krótkimi szarpnięciami całego tułowia, podczas gdy pod-
Wróciłem, płosząc zgraje koników polnych, które tryskały mi spod nóg i zapadały w łąkę.

porucznik gramolił się do kabiny i zapinał pasy

—

Mały gaz! — warknął nagle, nie prze-Przywitałem się z tymi dwoma pilotami stając kręcić.

rezerwy. Obaj mnie znali, ale ja nie pamiętałem

— Mały gaz — odpowiedział podporucznik ich nazwisk. Jeden był starszy, podporucznik, przez nos.

pilot pewnie jeszcze z poprzedniej wojny.

Benzyna kapiała spod maski. Sierżant po raz Zauważyłem, że trochę kuleje. Żołnierski mun-ostatni
rzucił śmigłem i odstąpił dwa kroki w tył.

dur: z krzywo przyszytymi gwiazdkami wisiał na nim jak na drągu. Włosy miał dawno nie

—Wolny!

strzyżone i w ogóle wyglądał jak strach na

—Wolny! — twarz pilota ukazała się zza wróble.

odwietrznika i znikła.

Drugi, młody chłopak, może osiemnasto- lub Zachrobotał rozrusznik. Jedna, dwie, trzy
dziewiętnastoletni, chyba świeżo wyszkolony w sekundy. Śmigło zawahało się, skoczyło z jakimś
aeroklubie, kapral. Zacerwienił się jak bluzgiem błękitnego dymu: silnik zagdakał.

panienka i niezręcznie wyjąkał, że jest Mechanik skinął głową.

szczęśliwy, iż poleci pod moim dowództwem.

— No przecież! — i podszedł do drugiej Wzruszyłem ramionami: także mi lot! — & maszyny.

on się jeszcze bardziej zmieszał.

Różowy kapral z aeroklubu siedział wysoko Podporucznik już siedział w swojej ma-na zwiniętym
spadochronie, w cierpliwym szynie i niecierpliwie spoglądał ku nam.

oczekiwaniu.

Zawołałem go z powrotem.

— Gdzie się pan szkolił? — spytałem.

— Co się panu tak śpieszy? Mapę pan ma?

Spojrzał na mnie zdziwiony i zarumienił się.

Żaden z nich mapy nie miał i żaden nie znał

— W Krakowie, panie kapitanie. Przecież drogi, a więc kazałem kapralowi przerysować pan... przecież ja... Widywałem pana codziennie mój szkic, a potem dałem go temu drugiemu i i...

powiedziałem im, jaki jest kurs. Sam

— Aha, pamiętam — skłamałem. — Dużo pan zaś kapral, opacznie pojąwszy moje gesty, dodał gazu wylatał godzin w tej kampanii?

i uniósłszy ogon zaczął startować. Wi-j dżac to, Powiedział, że tylko sześć, i to na RWD.

podporucznik też dał pełny gaz.

—Żeby tak mieć na niej karabin maszynowy! —

Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że mam pod westchnął.

kołami owe polana, trzymające mnie w miej scu, i

—Dużo by pan zrobił tym karabinem —

właśnie obejrzałem się na mechaniką żeby mu je mruknąłem.

kazać wyjąć, gdy usłyszałem na! głową świst.

—Zawsze inaczej by się leciało — odrzekł

Znałem go dobrze. Od razu zrozumiałem skąd nieśmiało. — Można by się było bić...

pochodzi. Zresztą jeślibym miał jakie! wątpliwości,

—Na RWD przeciw Heinklom i

rozproszyłby je suchy trel karabinów maszynowych.

Messerschmittom — poddałem ironicznie. —

Nie patrzyłem więc w górę, skąd nurkowała trójka Pan myśli, że wystarczy mieć karabin Messerschmittów trzepiąc długimi seriami po całej maszynowcy, żeby zestrzelić Niemca? Podejdzcie polanie, tyłk szukałem wzrokiem sierżanta. Ale ani panu pod celownik i zaczeka, co? Niech pan jego, ani żadnego z inżynierów już nie było.

lepiej uważa, żeby pana nie podstrzeliła nasza Porwałem się z kabiny, zapomniawszy roi pięć artyleria z ziemi.

pasy. Przytrzymały mnie przez sekund Zwolniłem

—Wolny! — zawołał sierżant.

zatrząsk, zdarłem z ramion szell spadochronu i

— Wolny! — odpowiedział chłopak.

mocując się z karabińczykami przy taśmach u Silnik ruszył. Nachyliłem się nad kabiną bioder, spojrzałem przed siebie

i powiedziałem jeszcze:

Podporucznik ciągnął maszynę, tuż na

— Zaczekajcie, aż dam znak.

drzewami i wrywał na prawo, niewidoczny s Skinął głową, a ja wziąłem pod ramię mechanika pewne z góry. Kapral też był już w powietrzu ale o i odszedłem do „jedenastki”, przy której stali dobre dwieście metrów za nim, nad środkiem inżynierowie. Jeden z nich podał mi spadochron. Drugi polany. Pierwszy klucz Messerschmittów podrywał

— lichy wie po co — przy-dźwigał z pobliskiego sągu się po ataku i wykręcał na lewo Drugi właśnie i podłożył pod koła dwa sosnowe polana.

spadał z góry wprost na łatwą, bezbronną zdobycz.

— Do próby silnika! — odkrzyknął na Zawył pędem, zaterkotał ogniem maszynowym, aż mój protestujący gest.

dreszcz przeszedł po trawie, a tu i ówdzie trysnęło Silnik już pracował. Miałem hamulce 1 podpiaskiem.

kładanie polan było zupełnie zbyteczne. Zagrzałem Kapral leciał dalej. Prali dokoła niego motor na wolnych obrotach, po czym dałem pełny gaz.

zdumiewające gęsto i pudłowali haniebnie, Niemal w tej samej chwili mechanik zamachał

podczas gdy ja zdążyłem wyskoczyć na ziemię i rękami i wskazał wyciągniętym ramieniem na niebo.

wyrwać spod kół sosnowe kłody.

Wszyscy trzej coś krzyčeli, czego oczywiście nie Myślałem, że mu się uda, ale gdy już ruszałem mogłem dosłyszeć. Obejrzałem się z trudem. Nad do startu, nie zapiawszy pasów i rzuciwszy precz polaną wysoko w słońcu płynęły trzy dziewiątki spadochron — trzeci klucz I wykończył: maszyna srebrzystych bombowców, ledwie widoczne w złamała nagle linię lotu i runęła łbem na dół pod sam mlecznym błękiecie.

skraj lasu.

Zmniejszyłem obroty silnika i czekałem, aż Gnałem przez drobne, zarosłe darniną zagony, przejdą. Potem dałem znak obu pilotom, żeby kiedy buchnął z niej ogień.

podkołowali do startu.

Tymczasem pierwsza trójka Niemców i wróciła Wysunęli się z krzaków. Kapral zatrzymał swoją i szła na mnie. Widziałem, że źle mierzą, bo ich maszynę tuż za drogą u skraju polany, tak jak pociski siekły ziemię daleko przedemną, a niektóre kazałem, ale podporucznik kołował da-lej.

serie trzepotały się w czuba sosen, szyjąc gęstym

— Po jaką cholere?! — krzyknąłem głośno, ściegiem las po drugi stronie polany. (Może zresztą wskazując go inżynierom. — Zatrzymajcie go!

umyślnie do palącej się tam RWD). Dość, że byłem Jeden z nich pobiegł naprzód, jednocześnie prawie pewien, iż uda mi się wystartować mim ich ognia.

Poczułem, jak maszyna wychodzi w po-Pokrwawiony i posiniaczony, na czworakach wietrze, ale nie zwalniałem steru, aby nabrać jak wylazłem z kabiny. Było mi słabo. Serce waliło największej prędkości przed zawrotem.

gdzieś aż w gardle. Zdawało mi się, że nie Wiedziałem, że muszę ją poderwać nagle i rzucić zdołam wstać.

wprost pod nich, żeby mnie nie zrąbali od razu, i Ale wstałem bardzo prędko. Raczej zerwa-

— o ile się da — żeby zaraz samemu ostrzelać ich łem się na nogi i klucząc od drzewa do drzewa, przy tym zawrocie.

popędziłem w las jak zając, bo oto z góry za-Czerwone pnie sosen, ociekające słońcem, grzechotały nowe serie Messerschmittów...

pedziły na moje spotkanie. Jeszcze chwila, je-Gałązki świerków i sosen sypnęły się gęstym szcze sekunda, a ściągnę płynnym ruchem ster i deszczem. Pociski zastukały po pniach, jakby kto maszyna

stanie dęba nad tymi sosnami, aby zaraz kijem tłukł po czaszce, tu i ówdzie cyknęły w zwichnąć łuk pętli w półbeczce wymierzonej piasek pokryty igliwem, aż z ziemi uniosły się prosto pod kadłuby trzech nurkujących wątle pasemka dymu i zatlił się chrust.

Messerschmittów. Wtedy nacisnę spust i —

Siekli tak w skraj lasu dobre dziesięć minut, czułem to — trafię.

a ja przycupnięty za wykrotem czekałem, kiedy Wciągam głęboko powietrze.

mnie wymacają. Raz i drugi zabębniło po trupie Już!

mojej nieszczęsnej „jedenastki”. Raz i drugi zakurzyło próchnem przede mną, aż wreszcie W tej samej chwili — nie: na jakiś drobny ucichło.

ułamek sekundy przedtem — mój silnik oszalał.

Zapaliłem papierosa i obolały, ale już spo-Chrupnęło w nim coś, trzasnęło i nagle rozniosło kojny, wyszedłem z lasu na polanę. RWD do-go w drobny mak wraz ze szkłem odwietrznika paląca się nad zwęglonym ciałem różowego przed moją twarzą. Samolot targnął się w dół, kaprała. Ptaki zaczęły znów ćwierkać i pogwi-omal nie wyrznął kołami o ziemię, uciekł w lewo, zdywać. Wielki paż królowej jak płatek wielo-zaciążył ogonem, sflaczał w sterach i wparł się barwnej mozaiki usiadł na niezapominajkach i brzuchem w płytką przestrzeń przede mną.

złożywszy skrzydła przebierał włochatymi Sosnowe pnie zamknęły mu drogę tuż, blisko, a nóżkami. Odezwały się koniki polne. Zielono-on miał jeszcze cały pęd startu, choć już był

brunatna żaba spojrzała na mnie pytająco niemal bezwładny.

topazowymi oczyma... Wtem powiał leciutki wie-To, że jakaś seria z niemieckich karabinów trzyk i owionął mnie mdłym swędem spalonego maszynowych rozsadziła mi wszystkie cylindry i mięsa.

po prostu rozcięła silnik na dwoje —

Brrr... Cóż za okropna woń!

zrozumiałem dopiero później. Teraz nie miałem Odwróciłem się i poszedłem do mojej ma-czasu na myślenie. Uratował mnie instynkt, bo szyny.

chyba tylko instynkt tak błyskawicznie może Nawet nie bardzo była połamana. Tylko wzbudzić odruchy mięśni.

silnik, rozwalony zupełnie, rzygał czarnym ole-Prawa noga, lewa lotka!

jem i benzyna kapiała jeszcze z przewodów po-Z pewnością zrobiłem to prędzej, niż zdo-skręcanych jak jelita w konwulsjach.

łabym pomyśleć. W każdym razie dość prędko, Zapaliłem zapalniczkę. Ogień buchnął od aby rzucić maszynę w trawers lewym skrzydłem razu i objął stary świerk, który mnie uratował między sosny.

amortyzując uderzenie.

Gruchnęła ogonem o pień, aż mi wyrwało Wróciłem do rowu na polanie i narwałem drążek sterowy z ręki, trzasnęła skrzydłem po niezapominajek. Jeden pęk rzuciłem w ogień konarach i całym ciężarem wpadła w otwarte

„jedenastce”, drugi — kapralowi i jego maszynie.

ramiona olbrzymiego świerka, który szastnął się w tył z chrupotem łamanych gałęzi.

Odwrót

Nie, to już nie odwrót: to ucieczka. Mieliśmy Dopiero teraz także dochodzą ..nas wieści o się skoncentrować w rejonie Rawy Ruskiej, aby walkach naszego lotnictwa. O walkach tam rozpocząć doszkolenie podchorążych w minionych, bo już nie ma na czym latać, jeśli nie pilotażu. Ale niemieckie panowanie w powietrzu liczyć samolotów łącznikowych i szkolnych, o jest całkowite. Właściwie nasze lotnictwo szybkości 100—160 km/godz. podczas gdy nie-przestało istnieć. Ma znów powstać, jak Feniks z mieckie mają od trzystu w górę. O walkach bo-popiołów, w Rumunii, dokąd już wyrwał nasz haterskich, zaciekleń, krwawych dla obu stron.

rząd, a my od kilku dni wrywamy za nim.

Wiadomości pochodzą od spotykanych w drodze Rozprężenie jest zupełne.

eskadr, od pojedynczych lotników, ze sztabów, z Może machnąć ręką na to wszystko, wziąć dowództw. Na ich podstawie powoli wyłania się karabin w garść i wrócić pod Warszawę?

prawdziwy obraz tego, co zaszło.

Dni spędzamy w lasach, noce w drodze. We Mieliśmy, razem z eskadrami towarzyszą-

dnie sypiam po dwie, trzy godziny. W nocy cymi (na przestarzałym sprzęcie), około czterystu usypiam za kierownicą samochodu, albo majaczę.

samolotów. Niemcy mieli ich po rozpoczęciu Stada białych słoni rozstępujące się przed działań wojennych — około trzech tysięcy...

przyćmionymi reflektorami mojego wozu, ka-Zdaje się, że straciliśmy w walce mniej niż sto rawany różowych wielbłądów, alabastrowe ko-maszyn, bo reszta bądź została zużyta w mor-lumnady i pałace po obu stronach szosy są w tych derczym wysiłku lotów, bądź rozbita, bądź

majaczeniach tak wyraźne, tak plastyczne, że wreszcie zniszczona na lotniskach, gdy nie dało trudno mi uwierzyć, iż istnieją tylko w mojej się uratować uszkodzonego sprzętu, chwilowo przemęczonej wyobraźni.

niezdatnego do lotu.

Najgorzej jest koło północy. Maryśka na Niemcy musieli stracić siedemset—osiemset zmianę z Zygmuntem budzą mnie raz po raz, ale i samolotów, w czym połowa zestrzelona przez oni często zasypiają. Palę papierosy, śpiewam, naszych myśliwców. Przez naszych stu sześć-

recytuję wiersze, byle nie usnąć. Czasem i to nie dziesięciu myśliwców, którzy walczyli przeciw pomaga — trzeba stanąć i przejść się na świeżym ośmiuset myśliwcom niemieckim i przeciw całej powietrzu.

potędzie ich lotnictwa bombowego.

O świcie senność mija. Zасыwamy się w las wkrótce po wschodzie słońca, w miejscu Zwłaszcza pierwszy tydzień wiele musiał

zawczasu obranym z mapy. Trzeba dopilnować Niemców kosztować. Opowiadał mi jeden z kowboju, posiłku, pogadać z ludźmi, dodać im legów o takich dwóch walkach Toruńskiego Dy-Otuchy. Trzeba ułożyć dalszą marszrutę i wypisać wizjonu Myśliwskiego: drugiego września siedem ją dla każdego z osiemnastu samochodów, bo maszyn 142. eskadry spotkało nad Chełmnem kolumna często się rozpada wskutek zatorów na wyprawę złożoną z dwudziestu dziewięciu szosach; wybrać nowe miejsce postoju; pojechać bombowców niemieckich, osłanianą przez sześć do jakiegoś sztabu; nawiązać łączność z Messerschmittów-110 ze słynnej eskadry im.

dowództwem, które teraz się znalazło i jest albo Richthoffena. Nasi zrabali siedem bombowców i przed nami, albo — rzadziej — za nami. Czasem dwa Me. (Jednego z tych Me pilotował dowódca można się umyć i nawet ogolić. Na sen zostają eskadry). Sami nie ponieśli żadnych strat!

dwie, trzy godziny, bo o zmierzchu ruszamy dalej.

Czwartego wieczorem cały dyon w siedem-Raz po raz dochodzą nas fantastyczne wia-naście maszyn stoczył walkę v rejonie Gniew-domości: Bydgoszcz, Kutno i Kraków odbite!

kowo—Aleksandrów z trzydziestoma dziewię-

Rewolucja w Berlinie! Włochy wypowiedziały cioma bombowcami i zestrzelił pięć spośród nich.

Niemcom wojnę! Zamach na życie Hitlera!

Takich faktów jest mnóstwo, a gdy się o nich Potem okazuje się, że to nieprawda, i serca, dowiadujemy, jakoś lżej się nam robi na sercu, nagle ogrzane nadzieją, stygną w coraz większym że przecież nie darmo to wszystko, że

zwątpieniu.

i oni płacą krwawą cenę za tę nierówną walkę z nami.

amunicją, cztery karabiny maszynowe, trochę konserw Nasze Łosie i Karasie — zwłaszcza Karasie —

i benzyny. Poszli...

dały się też we znaki Niemcom. Brygada Bombowa

—Trzeba się było zbuntować w Rososzy —

zrobiła ponad trzydzieści wypraw, a o tym, jak były powiedział Zygmunt. — Zostałbyś bohaterem, a skuteczne, świadczy na przykład meldunek dowódcy tak...

4. Dywizji Pancerniej (niemieckiej) skierowany do

—A tak, na wszelki wypadek oblicz kurs z dowódcy X Armii, a przechwycony przez naszych, Bukaresztu na Warszawę — odrzekłem.

który podaje straty dywizji wskutek bombardowania Ale Zygmunt powątpiewająco kręcił głową.

polskiego na dwadzieścia osiem procent w ludziach i

— Ty w to naprawdę wierzysz? — zapytał

sprzęcie.

poważnie i smutnie.

Nasi latali na swoich 220-konnych pyrkawkach jak szatany, aby ratować pękającą łączność, dowozić rozkazy, rozpoznawać. Latali z jednym karabinem maszynowym za całe uzbrojenie! Ba! latali piloci pełnym oficerskiego bagażu? Że pochowaliśmy niemieckich bomb, a powietrze rwą serie karabinów jednego z kierowców, zmiążdżonego kołami w nocy, maszynowych. W nocy tworzą się na drogach na ciemnej szosie, podczas usuwania zatoru? Że olbrzymie zatory wozów, samochodów, ludzi...

RWD-8!

Że straciłem w niej jednego z najwierniejszych A teraz... Teraz we dnie mruży niebo; w nocy przyjaciół — psa, który został gdzieś z autobusem mrużą szosy. We dnie ziemia jęczy od wybuchów pełnym oficerskiego bagażu? Że pochowaliśmy niemieckich bomb, a powietrze rwą serie karabinów jednego z kierowców, zmiążdżonego kołami w nocy, maszynowych. W nocy tworzą się na drogach na ciemnej szosie, podczas usuwania zatoru? Że olbrzymie zatory wozów, samochodów, ludzi...

mijały nas całe kolumny wspaniałych samochodów, Jest wojna. Mimo to przyroda wysiła się na które oprócz żon i sekretarek dygnitarzy — wiozły najpiękniejszą jesień, a w ciepłe wrześnieowego słońca

dywany i nawet kwiaty w doniczkach, podczas gdy dla po leśnych polanach drugi raz zakwitły fiołki. Tylko rannych żołnierzy nie było miejsca? Że bładziliśmy po że nie pachną.

wertepach bocznych dróg, omijając legendarne czołgi

— Cóż chcesz? — mówi Zygmunt. — To niemieckie, które miały gdzieś tam odciąć nam drogę?

przecież wojenne fiołki.

Wszystko to nie ma już żadnego znaczenia: oto przed nami most graniczny i na nim dwie flagi — polska i

rumuńska.

Kres. Koniec jakiegoś rozdziału. Coś, co będzie Pod Dubnem „zbuntowałem się”. Razem ze mną znaczyło etap w naszym życiu, w tej wojnie, może w

„zbuntował się” Zygmunt i dwóch sierżantów.

historii.

Postanowiliśmy utworzyć oddział pieszy i wracać do Warszawy, bo tam się biją.

Po południu wyszliśmy na szosę, żeby werbować Teraz to wszystko jest już poza mną, ale jest ludzi. Setki takich, którzy chcieli słuchać jeszcze we mnie i wydaje mi się, że tak zostanie na czyichkolwiek rozkazów, byle się bić, ciągnęły na zawsze.

południe. Ale my przyjmowaliśmy do „naszego Staliśmy na wysokim brzegu rzeki i patrzyliśmy wojska” tylko tych, którzy mieli karabiny i amunicję.

na ten most, czekając swojej kolei. Wojsko szło i Kto nie miał, musiał się wpierw o nie postarać, aby szło; pieszo, na samochodach, wozami. Nowe, zostać przyjęty.

wspaniałe czołgi, które ani razu nie były w ogniu; W dwie godziny mieliśmy sześćdziesięciu dział przeciwlotnicze; motocykliści z karabinami żołnierzy; do wieczora — przeszło dwustu. Ale nie maszynowymi; kompanie reflektorów; saperzy z było mi sądzone dowodzić tą wspaniałą kompanią, pontonami...

która — jestem przekonany — biłaby się jak legion Żołnierze mieli łzy w oczach. Przechodząc spartański. Gdy zamierzałem na jej czele wyruszyć do przez most oglądali się za siebie zupełnie tak Dubna, gdzie pewien dzielny pułkownik artylerii samo jak pogorzelnicy, których widziałem pod organizował ośrodek oporu, zjawił się nasz hetman i płonącymi Rykami. Niektórzy ukradkiem całowódz, pułkownik W. Powiedział nam, że idziemy do wali rąbek trzepocącej na wietrze polskiej flagi...

Rumunii, by stamtąd natychmiast uderzyć na Ruszyliśmy. Pryszczyk prowadził wóz trochę Niemców.

Miało tam jakoby czekać na nas tysiąc nieprzytomnie. Jego łobuzerska, bezczelna gęba z pięćset nowych samolotów angielskich.

zadartym nosem, pełna piegów i zwykle Cóż — przekonał mnie. Ale rozkazowi zde-zawadiacko uśmiechnięta, była teraz blada jak mobilizowania mojej kompani oparłem się stanowczo i papier.

odesłałem ją do Dubna temu pułkownikowi artylerii, Wolno mijaliśmy obie flagi. Coś mnie ści-który chciał się bić mimo rumuńskich perspektyw.

snęło za gardło. Nie patrzyliśmy na siebie, ale w Dałem im cichaczem półciężarowy samochód z pewnej chwili wzrok nasz zawadził o biało--

czerwony strzęp płótna i przywarł do niego jak ktokolwiek zdołał ochłonać z wrażenia. Tylko się urzeczony. Nasze głowy odwróciły się w prawo.

zakurzyło za nim; rznął na pełnym gazie z powrotem Już...

— do Polski!

W tej chwili spojrzeliśmy po sobie: Maryśka, Wrócił po kwadransie — pieszo, w towarzystwie Zygmunt, ja i Pryszczyk.

dwóch rumuńskich żandarmów, bardzo zawstydzony

— O rany! — westchnął ten ostatni. — To swoim wybuchem. Patrzył w ziemię i milczał.

my już nie w Polsce...

Położyłem mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na Milczeliśmy. Zdaje się, że energiczne wy-mnie zaczerwienionymi oczami.

tarcie nosa uratowało mnie od łez.

—Znaczy... wszystko przepadło, panie kapitanie?

Czarne myśli jak kruki obsiadły mi głowę,

— zapytał stłumionym głosem.

choć ponura rzeczywistość ciągle jeszcze wyda-

—Chodźcie do wozu, Pryszczyk — odrzekłem.

wała mi się nierealna, nieprawdziwa. Pakty na-

— Pogadamy później. Trzeba jechać.

gromadzone przez dni kilkanaście nie osiadły Dał się uprowadzić jak dziecko i siadł za jeszcze w mojej świadomości, lecz dotykały jej kierownicą. Pojechaliśmy dalej.

jakby z wierzchu. Wrażenia miały smak wrażeń, W drodze uspokoił się trochę i zaczął wydziwiać: jakie się odczuwa czytając dziwną, przygnębia-

— Jakie to szosy mają w tej Rumunii! Tłucznią jąca powieść lub patrząc na przebieg tragedii w nawalili, nie uwalcowali, i dosyć. Chałupy gliniane, a teatrze. Wewnętrznie rzecz biorąc, byłem ich podobnie tylko kukurydzą jedzą. O, jakie to słupy obserwatorem, nie uczestnikiem.

telegraficzne, panie kapitanie! Żeby choć jeden Tylko najbardziej osobista, prywatna troska o prosty! najbliższych, kochanych, którzy zostali daleko, Istotnie szosa była podła, słupy zaś koślawe, odgradzeni ode mnie falą wojny, zalani przez nią, spróchniałe i rachityczne.

być może tonący bez ratunku w jej odmętach,

— „Leje” się ich złote nazywają — ciągnął

tylko te myśli o nich, rozpaczliwe i bolesne jak rozgoryczony Pyszczyk na pół do siebie, a na pół zaognione i nie gojące się rany, wwierały się w do mnie. — Ale podobnie za jedną naszą serce, żarem paliły mózg. O, jakże ciężko z takimi złotówkami tych „lejów” cały worek można było myślnie! przed wojną dostać. Hy, tyż mi pieniądze! Ru-muński, cholera... A jak to gadają? Kto taki język Na punkcie kontrolnym stanęliśmy na skraju wymyślił? Dobry dzień to u nich — „sa na tatę”.

szosy, aby przepuścić kolumnę. Nasze trzy ręczne Jak tu żyć w takim kraju?

karabiny rzucone na stos do rowu trzasnęły sucho zamkami. Pistoletu nie oddałem.

Potem wszyscy czterej wysiedliśmy z samochodu i patrzyliśmy. Żołnierze podchodzili z opuszczonymi głowami, omijając w ponurym milczeniu Rumunów i ich wyciągające się po broń ręce. Rzucali z rozmachem karabiny i bagnety i odstępowali w tył. Jeszcze mam w uszach szczęk rzucanej broni.

Pyszczyk stał obok mnie z opadniętą szczęką i opuszczonymi rękoma. Wyglądał jak uosobienie zwątpienia i rezygnacji. Wtem drgnął. Jakiś oficer polski z broni pancernej zajechał motocyklem przed nasze stanowisko, zsiadł, zbliżył się do grupy rumuńskich wojskowych i zaczął z nimi rozmawiać.

Jednocześnie z pierwszego samochodu ciężarowego zaczęto wyciągać „szczeniaki”. Nowiutkie, ani razu nie używane, lśniące cienką powłoką tłuszczu w jaskrawym blasku słońca.

Wtedy z Pyszczykiem stało się coś dziwnego.

Krzyk zabulgotał mu w krtani, twarz wykrzywiła się dziko i z oczu pociekły łzy. Nagle rzucił się naprzód, wyrwał z rąk żołnierzy pierwszego „szczeniaka”, cisnął go do przyczepki motocykla.

— Nie dam — ...synom! Nie dam!... Nasze polskie „szczeniaki”... Nie dam!... — krzyczał spazmatycznie.

Skoczył na siodło, kopnął rozrusznik i gwał-

townie ruszył w stronę granicznego mostu, zanim Jechaiiśmy dalej. Chmara dzieci, brudnych, zwisających niemal do samej ziemi...

smagłych jak Cyganięta, wylęgała w każdej Wtem zaszczekał pies i to nieoczekiwanie wiosce przed chaty i wołała swoje sanatate.

rozzewniło Pryszczyka.

Pryszczyk niezmiennie pomrukiwał: „i na mamę

— O rany! — chlipnął. — O rany, panie tyż”, samochód rwał kołami tłuczeń z szosy, kapitanie: pies po polsku szczeka...

krzywe słupy pozdrawiały nas ukłonami drutów Spomiędzy wzgórz Storożyńca, Radauti i Sytuacja wyraźnie pachnie obozem inter-Suczawy, przez Falticeni wjechaliśmy w dolinę nowanych z perspektywą na baraki i druty kol-Seretu i Mołdowy, a później w step, co się słał jak czaste, nie zaś angielskimi samolotami, które nam okiem sięgnąć po obu stronach rzeki. Olbrzymie, obiecywano.

nie objęte wzrokiem łany złotej kukurydzy, Robimy więc dokładniejszy wywiad i po-pastwiska sięgające od jednego do dmigiego stanawiamy nie dać się odrutować. Takich jak my krańca horyzontu i pustka, pustka, pustka... Tylko dwaj jest zresztą wielu i wszyscy zamierzają żurawie studzien w szczerym polu spoglądają w dostać się do Bukaresztu. Tam jest nasza po-niebo nalane słonecznym blaskiem jak miodem.

selstwo i attache wojskowy. Stamtąd mo>zna bę-

Tylko gdzieś na rozdrożu Chrystus rozpięty na dzie jakoś wyrwać do Francji, żeby się dalej bić.

próchniejącym krzyżu. Tylko osiadłe, porośłe A tu...

głogiem starodawne kurhany, bodaj z tych czasów

— Nie! Tu nie zostaniemy.

jeszcze, kiedy tu były Dzikie Pola, tratowane Wracamy po godzinie do Maryśki i przed-przez tatarskie zagony... Wypalone skwarem stawiamy mu nasz plan: kupić jaki taki cywilny trawy, ziemia spękana od suszy, tumany pyłu przyodziejek i różnymi środkami lokomocji, po wzdłuż drogi za

każdym samochodem.

dwóch i pojedynczo przemknąć się do

Gdzeniegdzie, daleko, daleko — stada rogatego bydła zagubione w tej pustce. Kraj przestrzenny, rozłożysty, jeszcze nie ujęty w płoty, w miedze, w graniczne kopce. Kraj przywodzący na myśl dawność; tęskny jakiś, rozlewny, cierpliwie zapatrzony w niebo, o bożym świecie nie wiedzący, a złoty od słońca i dojrzałej kukurydzy, płowy od pastwisk latem wysuszonych, soczystą zielenią i niebie-skością Seretu jak falbaniastą wstęgą przepasany.

Przebywamy w bród Mołdowę pod miastem

Roman, Bystrzycę pod Bacau i jeszcze parę rzeczek po drodze do Focsani. To w Rumunii sposób o wiele pewniejszy niż Jazda przez mosty, przeważnie popsute, prawie nigdy nie naprawiane. Nie wiem tylko, jak się tu jeździ w czasie gdy rzeki są wezbrane, nie zaś wyschłe jak teraz.

W Focsani zatrzymują nas rumuńskie władze wojskowe. Mają się tu zbierać kolumny po pięćdziesiąt wozów i stąd prawdopodobnie pod eskortą jechać na Brailę do Tulczy. Wcale mi się to nie podoba. Ani mnie, ani Zygmuntovi, A już Pryszczykowi — najmniej.

Wysiadamy, żeby się czegoś dowiedzieć i rozprostować nogi, a Maryśka pozostaje na straży wraz z drugim naszym kierowcą.

rumuńskiej stolicy. Ale Maryśka nie może się sam wojewoda Michał na portrecie w cafeanie i zdecydować: ma skarbowe pieniądze, ma ludzi, ma pyskował głośno, spluwając raz po raz przez zęby, samochody...

czym widocznie imponował całej dokoła zebranej

—A was żandarmi złapią, zanim się stąd publiczności.

ruszycie.

Odwołałem go na bok i wypaliłem kazanie. Co to za

—Hy — mówi Pryszczyk z lekceważeniem —

wiec tu urządza? Czy chce nas wszystkich wsypać? I rumuńskie żandarmy?!

jeżeli ma zamiar jechać autobusem, to czemu nam o Rozstajemy się wtedy z Maryską, który wypłaca tym nie powiedział?

nam odprawę w nowych szeleszczących banknotach i Kręcił się niespokojnie, pociągał nosem i idziemy szukać ubrań.

spoglądał zezem na swoich konduktorów.

Nigdy w życiu nie miałem na grzbiecie takiej

—Autobusem? Nic podobnego, panie kapitanie.

tandety. Wyglądamy dość podejrzanie: ja w

—Więc po jakiego diabła tu sterczycie?

zrudziałym kusym garniturku i w za wielkiej

—Ja tak... orientacyjnie, panie kapitanie. Badam cyklistówce — na dezertera; Zygmunt w pomidorową teren.

kratę — na handlarza żywym towarem; Pryszczyk w Przyrzekł, że będzie ostrożniejszy i wsiąkł gdzieś smokingu i w zielonych pumpach — zgoła na między ludzi. Ale gdy nadszedł autobus, pierwszym złodziejaska...

pasażerem, który do niego wsiadał, był Pryszczyk.

Decydujemy się we dwóch z Zygmuntem jechać Mrugnął na mnie porozumiewawczo, że nas widzi, pierwszym autobusem do Rymnicu Sarat; tam wsiąść choć według instrukcji udaje, że nas wcale nie zna, i do pociągu, przesiąść się w Buzau na torpedę jakby nigdy nic usiadł przy oknie.

bukaresztańską, ale nie dojeżdżać nią do końca, bo Okazało się, że bilet już ma kupiony, właśnie podobno torpeda jest tam szczególnie kontrolowana; przez żandarma, że wszystko wie lepiej niż my i że przesiąść się więc w Ploeszti znów na autobus i jedzie do Rymnicu Sarat wraz z nami.

dojechać nim aż do śródmieścia Bukaresztu.

Zasłoniliśmy się rumuńską gazetą, żeby go nie Pytamy Pryszczyka o jego plany, ale Pryszczyk widzieć, ale robił tyle ruchu i zamieszania, że skóra na jeszcze nie wie, jak tę podróż odbędzie. W każdym nas cierpła. Najpierw — szarmant, psiakrew —

razie już on sobie da radę.

wyrwał jakiejś dziewczynie walizkę, żeby ją umieścić

— Forsy — powiada — mam jak lodu, choć te na półce, i wyrznął nią w łeb konduktora. Potem zaczął

dranie po dwadzieścia lejów za złotówki dają i bogacą się przystawiać do swojej sąsiadki, jędrnej, czarnookiej się na nas cholernie. A forsa to w tern kraju grunt.

Rumunki tak natarczywie, że się w to wmieszał jej Pożegnaliśmy więc z kolei Pryszczyka, który mąż, drab wielki i groźny jak sam Taras Bulba, i omal miał pójść jeszcze „koleżkie jednego podbaj-tlować, nie doszło do awantury. Wreszcie swoim „parle wu żeby z nim razem wiał”.

Zapowiedzieliśmy mu, żeby franse", zwróconym do głuchawego starego chłopca, na stacji autobusów i na dworcu się nie kręcił, bo go wywołał powszechną sensację i dyskusję całego złapią, a sami poszliśmy do cafeany na turecką kawę.

autobusu na temat, kto to może być ten interesujący **Ale** gdy po kawie przechodziliśmy koło turysta.

przystanku, Pryszyk tam urzędował, rozmawiając Mimo wszystko do Rymnicu dojechaliśmy bez żywo z dwoma konduktorami. Nie wiem, po jakiemu przeszkód.

rozmawiali, bo Pryszyk wprawdzie potrafił kląć po Pryszyk od razu znikł nam z oczu, zapewne w rosyjsku, z francuskiego nauczył się w drodze „parte słusznej obawie, że mu natrę uszu za jego występy, a wu franse?", po rumuńsku zaś — sanatate i jeszcze my, kupiwszy bilety pierwszej klasy do Buzau, dwóch lub trzech słów, które przekręcał z warszawska, ruszyliśmy na poszukiwanie restauracji, gdzie można lecz na **tym** kończyła się jego znajomość obcych ję-

by coś zjeść.

zyków. Dość, że obaj urzędnicy w baranich czapach i Znaleźliśmy ją w pobliżu dworca i właśnie, brązowych kapotach spoglądali nań z szacunkiem i co zamówiwszy butelkę wina, głowiliśmy się nad trzecie słowo tytułowali go domnoa vostra, on zaś miał

rumuńskim jadłospisem, gdy drzwi otworzyły się z minę ważną jak

trzaskiem i wszedł Pryszyk obładowany paczkami, ze zwiniętą w rożek gazetą pełną

winogron, które pożerał spluwając na prawo i lewo do sposobu zamawiania potraw, jakim posługiwał się łupinkami.

ten ostatni.

Nie dostrzegł nas, bo siedzieliśmy w kącie, On tymczasem przysiadł się do rozszczebiotanej zasłonięci sztuczną palmą; przemaszerował przez pół

panienki i po. chwili czuł się już jak u siebie w domu.

sali stukając podkutymi wojskowymi buciorami i siadł

Zamawiał wino, rozprawiał — głównie gestami — i przy jednym ze środkowych stolików.

odbywał pierwszą lekcję konwersacji

Jakiś starszy pan w okularach, siedzący z żoną i Gdyśmy wychodzili, starszy pan w okularach córką obok, popatrzył na niego znad szkieł; dwaj żywo płacił za niego rachunek...

rozprawiający wojskowi zamilkli; zatopiony w gazecie Wsiedliśmy do przedziału pierwszej klasy, w grubas przerwał czytanie. Pryszyk obejrzał ich którym tylko dwa miejsca były zajęte przez jakiegoś

kolejno, ułożył troskliwie piramidę swoich paczek na generała i młodego człowieka o semickich rysach.

stole, pokręcił w obu rękach kartę potraw, przekrzy-
Spojrzeli na nas obojętnie i nie zwrócili uwagi
na nasz wiając głowę to w lewo, to w prawo, wzruszył

dość dziwaczny wygląd. Generał palił cygaro i czytał.

ramionami i psyknął na kelnera, kiwając na niego Młody człowiek coś notował czy też obliczał na
palcem.

marginesie handlowego listu.

— Psst, halo kelner — povtic *).

Pociąg już ruszał, gdy drzwi przedziału odsunęły Ponieważ jednak kelner nie bardzo się się i stanął
w nich, oczywiście, Pryszyk ze swoimi kwapił do niego, właśnie zmierzając ku nam, paczkami.
Zobaczył nas, poczerwieniał, zawrócił z bezczelne indywiduum złapało go w drodze za połę miejsca
— i wymiotło go jak wichrem. Odetchnęliśmy białej, mocno już sfatygowanej marynarki i nie z ulgą,
w nadziei, że pojedzie sobie aż do Bukaresztu zwracając uwagi na jego rumuńską gadaninę, tym
pociągiem.

pociągnęło do stolika starszej pary małżeńskiej z córką.

Aliści w Buzau, jak tylko wysiedliśmy, wysypał

— Povtic mi to, rumuńska twoja niedola — rzekł

się na peron cały sąsiedni przedział drugiej klasy, w szczerym warszawskim akcentem, wskazując
brudnym którym ten bęcwał jechał. Paczek było znacznie mniej, paluchem talerz z dymiącą baraniną
pod nosem natomiast hałaśliwe pożegnania towarzyszyły rozstaniu matrony. — Komprene? Parle
franse? Dawaj w try Pryszyka z jakąś hałastrą, która popijała z butelek i miga!

wznosiła okrzyki na cześć Polski, poklepując go po łopatkach.

My zdębieliśmy, ale kelner zrozumiał, matrona Na szczęście torpeda już stała na stacji.

obdarzyła Pryszyka miłym uśmiechem, a Skoczyliśmy do niej co tchu, żeby nas nie widział, i
siedemnastoletnia córeczka, wymalowana rumuńską wsiedliśmy do przepełnionego wagonu.
Pryszyk modą jak wielkanocne jajo, zaszczębiotała do niego zresztą wgramolił się zaraz za nami i
zajął ostatnie wcale niezłą francuszczyzną.

wolne miejsce — obok mnie. Konspirował się teraz Pryszyk zmarszczył się straszliwie z wysiłku,
nadzwyczajnie, nic nie gadał, tylko łypał na nas aby coś odpowiedzieć, i w tej chwili zobaczył nas...

oczyma i wiercił się jak na szpilkach.

Zacisnął powieki, zamrugał, i nagle wyprężywszy się Widziałem, że go trapi jakaś troska, ale na baczność, frontem w naszą stronę, po wojskowemu udawałem, że niczego nie dostrzegam. Więc on trzasnął kopytami, aż echo poszło po sali.

wreszcie zasłonił twarz dłonią od strony dalszych Zygmunta omal nie zemdleł. Ja zasłoniłem się sąsiadów i wykrzywiając ku mnie usta zapytał

gazetą, a wzrok wszystkich obecnych skierował się z półgębkiem:

kolei na nas obu.

—Panie kapitanie, a ile kosztuje bilet do Przekazaliśmy jakoś piorunujące wrażenie, które Bukaresztu?

zamurowało publiczność i wdaliśmy się w trudną

—Pięćset led — odrzekłem wprost przed siebie w konwersację z kelnerem. Niestety, umieliśmy po powietrze.

rumuńsku niewiele więcej niż Pyszczyk, więc Zmrużył powieki, zmarszczył się i aż syknął, musieliśmy wreszcie uciec się

jakby go sparzyła ta wiadomość.

— Nie macie biletu? — zapytałem.

Już chciał wyjechać ze swoim zwykłym „nic podobnego, panie kapitanie”, ale się zreflektował.

Westchnął ciężko i potrząsnął głową.

— Musicie zaraz powiedzieć o tym konduktorowi, bo wam każe zapłacić karę.

To oburzyło go do głębi. On będzie karę płacił? Rumunom? To go grubo nie znają z cywila.

— Nic podobnego, panie kapitanie. Już ja ich wykiwam.

Zaniepokoiła mnie ta obietnica.

— Kiwajcie ich, jak chcecie. Tylko pamiętajcie, że ani ja, ani kapitan Wasilewski nic wspólnego z tym nie mamy. No i — dosyć tej konwersacji, comprenez?

Gęba mu pojaśniała na to francuskie słówko.

Zrobił perskie oko, zamrugał, chrząknął, rozsiadł

się lepiej, trącając mnie łokciem, że to obaj lampę z Rumunów robimy i hecę odstawiamy, i zaraz

nabrał fantazji.

Zajrzał do gazety sąsiadowi na prawo, wyjął

z kieszeni nadłuczone lustro, chuchnął na nie, wytarł chustką od nosa, przejrzał się, włosy przygładził, poprawił węzeł czerwonego krawata i zaczął przewracać ślepiami do pani w doskonale skrojonym angielskim kostiumie, która siedziała naprzeciw niego. Ponieważ wszystkie te zabiegi pozostały nie zauważone, postanowił nieco się posilić. Wstał tedy i, świadom dobrego wychowania, podłożył sobie gazetę sąsiada na pluszowej ławce, nim na niej postawił nogę, by sięgnąć na półkę po resztę swoich zapasów.

Wyciągnął stamtąd pół tuzina tabliczek czekolady, rozwinął jedną z nich, rozdziawił

gębę, błysnął żółtymi, szczerbatymi zębami i zaczął chrupać, mlaskając, aż się rozległo.

To zwróciło wreszcie uwagę jego vis a vis.

Niewiasta w angielskich wełnach spojrzała nań spod oka i widocznie powstrzymywała uśmiech.

Istotnie Pyszczyk wyglądał pociesznie: sztywne, wybrylantynowane włosy wstrząsały mu się nad zmarszczonym czołem, brwi, uszy, grdyka i szczęki — wszystko było w ruchu, a błogość nie opuszczała jego piegowatej gęby. Przełknął

głośno, powiedział „opparą” i zabrał się do rozwijania następnej tabliczki. Czynił to bardzo wytwornie, trzymając ją daleko przed sobą dwoma palcami lewej ręki, rozcapierzywszy jak najszerzej trzy pozostałe palce. Prawą zdjął

cynfolię, zwinął ją w kulkę i wdzięcznie wy-prztyknął pod sufit. Kulka spadła na kapelusz Zygmunta; Pyszczyk skłonił się w jego stronę, powiedział „opparą” i okrągłym, wymownym ruchem podstawiał czekoladę pod nos damie.

Dama skłamała po francusku, że nie lubi czekolady, i wymawiała się jak mogła, bardzo zażenowana. Ale nie wiedziała, z jakim to ry-cerzem sprawa... Pyszczyk zaciął szczęki i uparł

się.

— Povtic! — rzekł uprzejmie, ale stanowczo i... zwyciężył,

Niesyt triumfu poczęstował w ten sam sposób sąsiada na prawo, obu sąsiadów damy, wreszcie zaś — Zygmunta i mnie.

Zgrzytaliśmy zębami, wzrok nasz miotał

pioruny, ale nie śmieliśmy odmówić, żeby nas nie zdemaskował.

Potem przyszedł konduktor. Stary, suchy, poważny, wcale nie do żartów. Sprawdzał bilety milcząc,

jak automat, bez cienia uprzejmości.

Pryszczyk aż się za uchem podrapał, kiedy go zobaczył. Zaczął demonstracyjnie wywracać wszystkie kieszenie swego niesłychanego garni-turu, szukać pod ławką, na półce, między paczkami i znów po wszystkich kieszeniach.

Biletu oczywiście nie było, bo i skądże miał

się wziąć? A tamten czekał, groźny, suchy i niewzruszony.

Cały przedział wziął udział w poszukiwaniach. My obaj z Zygmuntem — nie chcąc się wyróżniać, bo to zwróciłoby na nas uwagę —

szukaliśmy także, choć nas zła krew zalewała.

Konduktor stał nad nami jak prokurator, a Pryszczykowego biletu nie można było znaleźć.

Sytuacja stała się jednak naprawdę dramatyczna wówczas, gdy kolejowy sucharek wy-skrzypiał drewnianym głosem po rumuńsku jakieś pytanie, którego żaden z nas trzech nie zrozumiał. Pryszczyk wytrzeszczył na niego oczy, poczerwieniał, bąknął pod nosem coś, co brzmiało jak: „bodaj cie cholera utłukła” i rozejrzał się rozpaczliwie, zatrzymując wzrok na nas.

Wtedy stała się rzecz dziwna: wszyscy zaczęli gadać naraz i zrobił się straszny rejwach.

Dama w angielskim kostiumie złapała konduktora za guzik i trajlowała jak karabin maszynowy, prawy sąsiad zaklinał się — o ile mogłem zrozumieć — że na własne oczy widział bilet tego domnula pani z dzieckiem, siedząca przy oknie, Ale Zygmunt milczał, wążąc wnioski i dedukcje.

potakiwała gorąco; pan w meloniku gestykulował, jak Nie śmiałem mu przerywać. Wypaliłem papierosa i aktor, a uczeń ze znaczkiem Straja Tari piszczał, właśnie otwierałem okno, żeby wyrzucić niedopałek, jakby go kto ze skóry obdzierał.

gdy wagon wpadł na pierwsze zwrotnice torów Nic to jednak nie pomogło i Pryszczyk ujęty stacyjnych Ploeshti. Zaczęły go sobie podawać: na pod ramię przez władzę powędrował wraz z prawo, na prawo, na lewo, i znów na prawo, aż mną paczkami do służbowego przedziału, aby zapłacić rzuciło od ściany do ściany. Upuściłem cygarniczkę, czterokrotną cenę biletu.

schyliłem się, aby ją podnieść i — o zgrozo! — uj-

Żal mi się go zrobiło, a uczucie to widocznie rzałem strugę krwi wypływającą spod zamkniętych podzielał nasi towarzysze podróży, bo długo jeszcze drzwi służbowego przedziału...

nie mogli się uspokoić i gorąco dyskutowali o

— Patrz! — szarpnąłem Zygmunta za portki w krzywdzie, jaka spotkała w ich kraju sympatycznego pomidorową kratę. — Co to jest?

etranżera. Pryszczyk zaś nie wracał.

— Piwo — odrzekł z flegmą. — Chodźmy.

Torpeda zatrzymała się na stacji w Mizil, gdzie nikt nie wysiadł, z wyjątkiem kontrolera kolejowego w Ochłonałem widząc jego spokój, choć nie wygalonowanym mundurze. Obserwowałem go przez bardzo jeszcze wiedziałem, co mam o tym myśleć. Ale okno: podbiegł do bufetu i wrócił dźwigając sześć torpeda już zgrzytała hamukami i po chwili stanęła.

butelek piwa. Do wagonu wtłoczyło się jeszcze z

— Ploeszi! — darł się ktoś za oknem.

dziesięć osób, a Pryszczyka nie było widać.

Wysiedliśmy. Za nami wyskoczył kontroler, Ruszyliśmy. Konduktor też się nie pokazywał.

pognał do bufetu, porwał stamtąd sześć butelek piwa i Zygmunt zaczął przypuszczać możliwość wracał trochę rozfalowanym, ale szybkim krokiem.

rabunkowego morderstwa w przedziale służbowym na Obejrzałem się na wagon. W oknie służbowego osobie naszego Guliwera... Postanowiliśmy to zbadać i przedziału objęci przyjacielskim uściskiem stali przepchnęliśmy się z trudem na przód torpedy.

konduktor bez kurtki i Pryszczyk z powiewającym Zygmunt skradał się do oszklonych drzwi czerwonym krawatem. Każdy z nich w wolnej ręce przedziału jak sam Scherlock Holmes. Pokazał mi dzierzył butelkę.

odcisk brudnych palców na mosiężnej klamce, kurz na podłodze i zmiętą gazetę w kącie korytarza... Kręcił

Odwróciłem się prędko i poszliśmy zobaczyć głową i marszczył czoło.

rozkład jazdy autobusu. Najbliższy odchodził za

— To daje do myślenia — oświadczył.

godzinę. W Bukareszcie mógł być najwcześniej za trzy Usiłowaliśmy zajrzeć do przedziału, ale okna godziny.

były zasłonięte. Przez szparę widać było tylko zgodnie

—Pryszczyk dojedzie torpedą w trzy kwadransie kołyszące się na wieszaku: mundur ze złotymi

— westchnął Zygmunt.

guzikami konduktora i wyświecony smoking

—Ale zapłaci dwa tysiące lei kary i wsadzą go do Pryszczyka.

kryminału — dodałem pocieszająco.

—No, no — szepnął Zygmunt. — Kto by

—Zapłacił z pewnością za sześć butelek piwa —

przypuszczał...

odparł Zygmunt melancholijnie. — Następne

—Co? — zapytałem, szalenie zaintrygowany.

sześć postawił kontroler. O żadnej karze ani nawet o bilecie mowy nie ma. A już ci dwaj go przeszwarują, jak lepiej nie można. Cóż?

Chodźmy na kawę.

Poszliśmy.

Obóz w Dobratly

Zmyto nam głowy w ataszacie za nadmiar inicjatywy i kazano wrócić do Tulczy, by zająć się wysyłką ludzi do Francji: przede wszystkim podchorążych, podoficerskiego personelu latającego i co młodszych mechaników specjalistów.

My mieliśmy wyjechać dopiero później.

Spojrzeliliśmy na siebie ponuro i z twarzami czarnymi jak noc poszliśmy najpierw na wino, a później na dworzec kolejowy — spełnić rozkaz.

W Tulczy — małym miasteczku nad Du-najem w Dobrudży — zastaliśmy kompletny bałagan. Nie było co jeść, nie było gdzie spać, zarządzenia krzyżowały się i przeczyły jedne drugim, ludźmi nikt się nie opiekował i rozprzężenie groziło zupełną utratą panowania nad kilkutyśięczną masą lotników tu zgrupowanych.

Jednego dnia mieliśmy remontować zrujnowane koszary rumuńskie na zimowe leże; drugiego już-już mieliśmy jechać do Severin; trzeciego miano skoncentrować nas w Transyl-wanii; czwartego — oddzielić oficerów od szeregowców; piątego znów zostawaliśmy wszyscy w Tulczy...

Tak samo było z wyżywieniem ludzi, podobnie z rejestracją samochodów, z wypłatą poborów, z ewidencją, z kompetencjami władz polskich, rumuńskich, policyjnych i wojskowych.

Toteż gdy wreszcie uporządkowaliśmy jako tako koszary, gdy zorganizowaliśmy ludzi, dostawę żywności, kuchnię itd. gdy, jednym słowem, przygotowaliśmy się do spędzenia zimy w Tulczy, nagły rozkaz załadowania czterech tysięcy ludzi do trzydziestu wagonów, i to w czasie niespełna godziny, do wyjazdu w nieznane, na nowe miejsce postoju, wcale już nas nie zdziwił. Wiadomo było z góry, że rozkaz musi ulec zmianie, bo do trzydziestu wagonów zmieści się najwyżej tysiąc dwieście chłopa z bagażem.

Wiadomo było, że wagonów na czas nie będzie i że załadowany transport poczeka na stacji dziesięć godzin, zanim ruszy...

W praktyce okazała się dodatkowo, że wagony podstawiono dopiero nazajutrz, że podstawiono ich siedem i że władze rumuńskie nie wiedzą, dokąd nas zawieźć.

Dopiero trzeciego dnia pod wieczór otrzymałem nowy rozkaz załadowania mego oddziału złożonego w większości z podchorążych (w sile około trzystu ludzi), i wyjazdu wraz z pięciu oficerami do wsi Sarighiol w pobliżu granicy bułgarskiej, gdzie miano nam przygotować kwatery.

Przezornie zabrałem z koszar, co się tylko zabrać dało: kuchnię, trochę prowiantu, maty służące ludziom za posłania i — po piekielnej awanturze z władzami rumuńskimi — ciężarowy samochód, który wysłałem naprzód z kwatermistrzami, nie łudząc się ani przez chwilę, żeby Rumuni mieli istotnie przygotować nam kwatery w owym Sarighiolu.

Jechaliśmy koleją całą noc, a potem szliśmy pieszo osiemnaście kilometrów od stacji kolejowej Hamangea po okropnej drodze, poprzedzani przez tabor złożony z Miku chłopskich furek, na których jechały nasze rzeczy.

Pogoda była słoneczna, dzień — 13 października

— niemal upalny. Mijaliśmy wsie tonące w błocie, połamane, pozawalane mosty i mostki, puste pola i nędzne, źle uprawiane winnice albo jeszcze nie zebrane łany kukurydzy. Kraj wydawał się smutny: bezdrożny, zaniedbany, rzadko zaludniony, biedny, choć tłuste gleby, niemal w połowie leżące odłogiem, mogły stanowić nie lada bogactwo. Ziemia, zaledwie ruszona pługiem, nigdy nie nawożona, rodziła przecież wielekroć więcej, niż wart był trud rolnika jej poświęcony.

Chaty — ładne, czyste i zgrabne, ulepione z gliny i wybielone wapnem — stały, jak wszędzie w Dobrudży, wśród krzywych, walących się murków z kamienia, wśród trzcinowych pogniłych płotów, czerniejąc otworami okien często pozbawionymi szyb.

Otaczały je byle jak sklecone szopy, chlewy, obórki, walące się, z dziurawymi dachami, z prześwitującymi ścianami, garbate, koślawe.

Gorsze wrażenie czyniły na pół w ziemię wkopane, z dala od „reprezentacyjnych” domków umieszczone kuchnie. Przybudowane do chlewa lub do obórki, z oknami zatkanymi wiechciem kukurydzy albo gazetą stanowią one właściwe mieszkanie gospodarza i jego licznej zwykle rodziny.

Niepodobna sobie wyobrazić zaduchu i brudu, jaki wewnątrz takiej nory panuje. Składa się ona z ciasnego przedsionka, w którym prawie całą podłogę zajmuje gliniane palenisko, pod okapem mającym ujście do komina. Tu zimą tli się ogień z wysuszonego baraniego nawozu, którego wysokie sterty stoją tuż przy obórcie. Małe drzwiczki prowadzą z przedsionka do izby o nieco niższym poziomie. Izba jest tak niska, że stojąc w niej, głową dotyka się pułapu. Małe okienka, pozaklejane gazetami, wpuszczają nieco światła, które pozwala dojrzeć brudną podłogę z gliny i także podwyższenie wzdłuż ściany przylegającej do komina. To podwyższenie, przykryte cienką, trzciniową matą, stanowi wspólne łoże, ławę, stół — jednym słowem — całe umeblowanie izby. Jada przy nim, siedzi lub sypia na nim cała rodzina.

Białe, zwykle trzyizbowy dom z ładnym ganeczkiem lub werandą, zwrócony zawsze bokiem do ulicy, a frontem do podwórza, jest niezamieszany i służy tylko do wielkich uroczystości rodzinnych i do przyjmowania gości. Gliniane podłogi pokryte są w nim matami, na ścianach wiszą kilimy o pozerających się wzajem, wściekle skłóconych barwach, stoją pod ścianami kulawe ławki, jakiś rachityczny stół pośrodku i czasem, ale to bardzo rzadko, wielki gliniany piec, opalany z zewnątrz słomą. Panuje tu względna czystość, okna są duże i często mają całe szyby.

Sarighiol jest zupełnie podobny do wszystkich wsi Dobrudży. Mieszkają w nim prawie wyłącznie Bułgarzy. „Większość” rumuńską stanowią: pop, nauczyciel i żandarm. Poza tym jest jeszcze sklepikarz Niemiec i dwie czy trzy rodziny rosyjskie.

Kwater oczywiście nie było, a wysłany przeze mnie oficer z trzema podchorążymi na próżno o nie zabiegał u primara i żandarma, bo obaj ci dygnitarze nic nie wiedzieli o mającym nastąpić naszym przybyciu.

Bułgarzy, brodaci, w baranich czapach, bronili wejścia do swych chat, wyraźnie zrozpaczeni naszym najazdem. Pod osłoną żandarmskich bagnetów wprowadzałem tam moich ludzi...

Do pilnowania nas wyznaczono porucznika Grossu. Był to mały, koślawy człowieczek z bielmem na oku, wiecznie pijany, cuchnący potem i samogonem z winogron. Utrzymywał, że mówi po francusku, ale myślę, że każdy Murzyn z Sudanu mówi tym językiem lepiej niż on.

Już po kilku dniach pobytu w Sarighiolu zorientowałem się, dlaczego bułgarska ludność wsi przyjęła nas tak nieprzychylnie. Do kwatery Grossu codziennie przynosił jego ordynans (obdarty, brudny, bosi żołdat) pełną kobiałkę jaj, kur, winogron, sera i wszelkich produktów spożywczych, rekwirowanych prawem kaduka u chłopów. To samo robił plutonowy żandarm i tak samo żywili się jego podwładni. Haracz w naturze — papierosami, naftą, masłem i kawą —

płacili sklepikarze, wódką zaś — właściciel małej gorzelni. Ogólnie przypuszczano, że Polacy zażądają dla siebie takich samych koncesji, co dla wsi byłoby katastrofą.

Oczywiście za wszystko płaciliśmy gotówką, zorganizowaliśmy dostawę prowiantów z rumuńskich wojskowych magazynów w miasteczku powiatowym Babadag i prowadziliśmy własną kuchnię.

Wyniki tego postępowania nie dały na siebie długo czekać. Nasi mechanicy po prostu z nudów

zabrali się do naprawy bron, pługów, maszyn do szycia i wszelkich narzędzi swoich gospodarzy. Trzej brygadziści wraz z podchorążym, inżynierem od konstrukcji lotniczych, wyremontowali gorzelnię.

Chłopcy kupili i po-wprawiali szyby do wszystkich okien w swoich kwaterach. Uruchomiliśmy nieczynną od wielu lat kąpiel (łaźnię). W izbie chorych nasi lekarze zorganizowali przychodnię dla ludności. Potem ludzie zaczęli jeździć do robót w polu, a że każdy Polak pracował za czterech, karmiono i pojono ich z wdzięcznością i atmosfera z dnia na dzień zmieniała się na naszą korzyść.

Wreszcie Grossu, zaniepokojony naszą komitywą z Bułgarami, napisał raport do Babadag, pochwalając zresztą ostrożnie tę działalność. Potem przyszedł do mnie i wydoił flaszkę mojego rumu w dowód sympatii dla Polski, którą wyrażał w języku już zgoła niezrozumiałym, jakkolwiek w jego mniemaniu miał to być ciągle jeszcze język Racine'a i Balzaca.

Musiałem nauczyć się kilku najkonieczniej-szych zwrotów po rumuńsku, żeby się jakoś z nim dogadać.

Nieżyły był to zresztą człowiek ten nasz Grossu.

Toteż po zorganizowaniu łączności z Babadag, gdzie ulokowało się nasze dowództwo z płk. Liebichem na czele i gdzie mieliśmy centralę Ten, którego ujrzałem przed primarią, istotnie był

cywilnych ubrań oraz paszportów, obóz topniał szybko żółtawy na chudej twarzy o zapadłych policzkach, ale i bez wielkich trudności. Władze rumuńskie poza tym bynajmniej nie wyglądały groźnie. Nosił

zorientowały się jednak, że Polacy przeciekają im pince-nez, wybałuszał głupkowato oczy i gadał prędko między palcami i nasłały mnóstwo żandarmów na po rosyjsku, na próżno usiłując nadać swemu głosowi wszystkie nasze obozy, na drogi, na stacje kolejowe, ton nie znoszący oporu.

na etapowe punkty ucieczki. A na czele żandarmów To ma być on?! — pomyślałem rozczarowany.

przybył do Babadag płk Zoicaro.

Ale w tej chwili w drzwiach primarii ukazała się Wyjeżdżając z Tulczy wiedziałem o nim tylko masywna postać innego olicera i choć wyglądał zgoła tyle, że zdołał wreszcie — w przeciwieństwie do inaczey niż moje o nim wyobrażenie, to jednak tym swego poprzednika — jako tako uporządkować razem nie miałem żadnych wątpliwości: to był

rozpuszczoną bandę, jaką niewątpliwie wydawać się Zoicaro.

wówczas musiały nasze pomieszane i Na czerstwej twarzy o szpakowatych wąsach i zdezorganizowane rozbitki oddziałów stacjonujące w krzaczastych brwiach malowała się energia starego tym garnizonie. Jego drakońskie zarządzenia i żołnierza. W złych, zimnych oczach leżała chmura, z brutalność wywoływały wśród nas liczne odruchy której lada chwila mogły ukazać się

błyskawice niechęci, a później urosły w wersję o sadyzmie, który gniewu. Pomyślałem, że ten pułkownik istotnie może mu przypisywano.

wzbudzać lęk, zwłaszcza u ludzi tego typu co nasz Istotnie, Zakaro wpadał we wściekły gniew przy Grossu.

lada okazji lub zgoła bez powodu, ilekroć zdarzyło mu Zdałem mu raport, zupełnie zresztą fałszywy, się rozmawiać z Polakiem. W obecności płk Liebicha, podając liczbę ludzi na dwustu siedemdziesięciu, na ulicy, sprął po twarzy rumuńskiego żandarma za podczas gdy było ich stu osiemdziesięciu niespełna.

jakieś drobne uchybienie, a chłopca na szosie za to, że Grossu potwierdził, że jest nas tylu, i zameldował, że nie dość szybko zjechał z drogi przed jego sprawdzał wraz ze mną obecność na kwaterach tych, samochodem. Dał w pysk swemu adiutantowi i nieraz którzy jako chorzy nie przybyli na zbiórkę. (Chorych pokrwawił nosy swoim ordynansom. Jednym słowem wyznaczyłem poprzednio i Grossu istotnie liczył ich

— typ zbliżony do oficera rosyjskiego z carskiej armii.

wraz ze mną, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że Nasz Grossu drżał przed nim jak liść, plutonowy

„ozdrowieją”, aby uzupełnić na zbiorce brakujące żandarm bladł usłyszawszy jego imię. Zygmunt stany).

zgrzytał zębami, klął po angielsku i po włosku (oraz w Tymczasem zaczął padać deszcz. Pułkownik trzech innych niezrozumiałych językach) i przysięgał, milczał lub rzucał bladej cytrynie w pince-nez krótkie że mu w łeb strzeli przy pierwszej okazji, niech tylko rozkazy. Cytryna za każdym razem aż przykuciała pod Zoicaro do nas przyjedzie.

ciężarem tych słów i ołowianego wzroku Zeusa z Jakoż przyjechał.

Babadag, po czym prędko, obszernie i wyniośle Grossu zgłupiał do reszty i był prawie nietłumaczyła mi po rosyjsku, o co chodzi.

przytomny z nadmiaru służbistego strachu; żandarm Chodziło przede wszystkim o rozkaz ru-wytrzeźwiał w okamgnieniu, choć pił od rana w muńskiego Ministerstwa Obrony Narodowej, który karczmie; Zygmunt zaś, dowiedziawszy się o miałem odczytać przed frontem mego zgrupowania.

inspekcji, znikł z horyzontu i w żaden sposób nie Rozkaz napisany był po rumuńsku i „przetłumaczony”

można go było odszukać. Mimo więc, że byłem na język polski przez władze ministerialne.

niezdrów, poszedłem sam stawić czoło groźnej Przytaczam ważniejsze jego ustępy:

osobistości.

Wyobrażałem sobie pułkownika Zoicaro jako *Oficerowie, Podoficerowie i Żołnierze Polskie!*

złośliwego gнома o żółtej twarzy i złych, biegających *Los zechciał, aby się znajdowali na terytorii oczach, parskającego jeśli już nie dymem i ogniem Rumunii na położeniu uchodźców wojen-siarczonym, to w każdym razie żółcią.*

nych. Rząd i Naród Rumuński uczynili wszystko, aby Było to po mojej myśli. Wysłuchałem pogroźek z zabezpieczyć wasze jak najmożliwiej człowiecze udaną obojętnością, ale doskonale wiedziałem, że brak

-przyjęcie w ramach reguł i obowiązków mi około stu ludzi i że prędzej czy później się to wyda.

międzynarodowych nawiązanych przez sytuację.

Nie mogłem zresztą zaniechać dalszej ich wysyłki i *Dlatego też, aby ulżyć życie wasze, są przyjęte miary przemyśliwa-łem, w jaki sposób tego dokonać i jak zakwaterowania was, rozdzielając w innych miejscach samemu uniknąć więzienia. Nie miałem pojęcia, co łóżko z żołnierzem rumuńskim, w innych zaś miejscach powiem groźnemu Zeusowi z Babadag i czy w ogóle część wojska rumuńskiego została zakwaterowana u coś wymyślę, ale chciałem porozmawiać z nim „przez obywateli, aby zaproponować wam koszary... Za-stół”, wiadomo bowiem, że przy stole i przy winie wiadomiamy was tą drogą, że jest nie zbędnie, aby rozmawia się inaczej niż przed frontem. Chciałem go swoje się trzymali jako internowane wojskowe i poznać z innej, nie służbowej strony. Chciałem się posłusznie wypełniali wszystkie zarządzenia co do zorientować, co się da u niego osiągnąć i w jaki porządku, jakie panować musi.*

sposób.

Czynności nieprzyjazne, k szczęściu pojedyncze, Pchnąłem więc sierżanta-szefa do Zygmunta, przeciw kraju, który was przytulił, są nie do pojęcia.

żeby go o wszystkim powiadomić i żeby na tę noc w *Proszę wszystkich bacznie pilnować, aby odkryć każdym razie wstrzymać wysyłkę ludzi z obozu, i agitatorów i zdać im dowódcę obozu, żeby kara była poszedłem do popa.*

skierowana przeciw winowajców, a nie całego obozu.

Pop, młody, przystojny mężczyzna, wyjątkowo *Ci, którzy nie będą wypełniały zarządzenia dowódcy inteligentny i wykształcony, bardzo mi sprzyjał. Wiele obozu,*

będą

rzeczy rozumiał, sporo o naszych sprawach wiedział, a *ukarany..... apeluje do wyrozumiałości żołnierzy jeszcze więcej się domyślał. Mówił dobrze po polskich, aby zrozumieli położenie i za*

chowaliby się w francusku, do swojej ojczyzny odniósł się z mieszaniną ten sposób, aby ostrzec się incydentów z przykrej pogardy i pobrażenia, ale może i kochał ten na pół

skutkami, wiedząc, że będą przyjęte energiczne miary ucywilizowany kraj, bo dla Sarighioliu pracował rze-przeciw tych, którzy zapominają, że so wojskowe i nie telnie, niczym misjonarz kultury i samarytanin na wchodzi w ramy ducha porządku i dyscypliny.

wysuniętym kresowym posterunku. Poza tym — miał

złą żonę, ale za to dobre wino i bardzo dobrą kawę.

Minister Obrony Narodowej

Piliśmy właśnie to wino, rozmawiając o po-Generał Dywizji I. Ilcusu

trzebach i brakach obozu, o malaria (na którą nb.

choruje tu trzy czwarte ludności) i o konieczności Czytałem ten utwór wolno, z trudem chwytając zainstalowania w kwaterach pieców na zimę,' gdy jego sens i ubierając treść we własne zdania, aby nie zjawił się Zygmunt. Trochę mnie zdziwiło jego wywołać śmiechu moich oficerów i żołnierzy.

przyjście, ale zgłupiałem zupełnie, gdy po Dobrnąłem jakoś do końca, zyskując w oczach przedstawieniu się pułkownikowi i po wymianie audytorium nie lada poważanie, gdyż przypuszczano, pierwszych obojętnych zdań, przyjaciel mój z że tłumaczę tekst francuski na polski.

tajemniczą miną wyjawiał powód swej wizyty.

Gdy skończyłem, deszcz lał jak '% cebra.

— Wiem — rzekł stłumionym głosem — że pan Zapowiedziano mi jeszcze, że osobiście będę pułkownik

Zoicaro

postanowił

ukrócić

odpowiedzialny za ucieczkę każdego żołnierza, że niesubordynację naszych żołnierzy... My rzeczywiście czeka mnie sąd wojenny, więzienie itd. i że płk nie jesteśmy w stanie zapobiec ich ucieczkom, ale Zoicaro potrafi schwytać każdego, kto się ośmieli chcielibyśmy panu pułkownikowi dopomóc.

opuścić obóz.

Zanotował sobie stan ludzi, popatrzył swoim Tu łypnął na mnie spode łba i kopnął mnie w ciężkim

wzrokiem na Grossu i zabierał się już do kostkę pod stołem.

odjazdu, gdy z opłotków wyłonił się wielki parasol, a Omal nie wzruszyłem ramionami na taką pod nim pop, który przyszedł prosić nas na filiżankę dyplomację.

kawy i na wino.

—Jesteś głupi bawół — mruknąłem po Bodaj cię rekin zjadł — pomyślałem.

polsku. — Co ci strzeliło do łba?

—Około stu naszych żołnierzy ma dziś w

—Właśnie — podjął Zygmunt po rosyjsku, nocy uciec z Sarighiolu — wypalił Zygmunt, uśmiechając się słodko do cytrynowej glisty, tym razem po rumuńsku.

która tłumaczyła jego słowa na rumuński i

—Co?! — zerwał się Zoicaro.

zerkała na mnie podejrzliwie. — Właśnie

—Co?! — pisnął tłumacz.

kapitan polecił mi szczegółowiej to panu

—Co takiego?! — zdumiał się Grossu i za-przestawić. (Tu ponowne kopnięcie, tym marł w bezruchu z otwartą gębą.

razem w łydkę.) <-* Otóż słyszałem, że pan Omal i ja nie zapytałem „Co takiego?“, ale pułkownik na szczęście rozporządza większą zorientowałem się wreszcie.

liczbą żandarmów...

— Ryba wzięła — rzekłem z uznaniem. —

Zrozpaczony, robiłem dobrą minę do złej gry To nie jest źle pomyślane.

i zainteresowałem się ze swej strony dyslokacją Zaczęliśmy dalej działać wspólnie. Trzej posterunków, ale Zygmunt nie dał mi dojść do rumuńscy oficerowie nie mieli już żadnych słowa.

wątpliwości, że postępujemy względem nich lo-

—Nie przeszkadzaj! — warknął. — Przecież jalnie i że nawet jeżeli poprzednio nie przeciw-widzisz, że robię ich na szaro.

działaliśmy ucieczkom, to przecież teraz, wobec

—Kretyn jesteś — odrzekłem uprzejmie. —

perspektywy więzienia, będziemy sypali własnych ludzi. Tylko pop spoglądał na nas Oni nas zrobią na szaro.

niechętnie i jakby z pogardą. Zoicaro i jego Ale on przysunął się bliżej z krzesłem do adiutant klepali nas po ramionach, zaręczali, że pułkownika i oświadczył konfidencjonalnie, że będą mieli obfity połów i że nie minie nas na-pragnie mu się zwierzyć, ale to w najgłębszej groda.

tajemnicy i żeby nikt słówka o tym nie pisał, bo Pułkownik nas nie opuszczał. Żółtek zate-może się nie udać.

lefonował po rezerwę żandarmerii, która przybyła Zoicaro słuchał dość obojętnie. Żółty adiu-o zachodzie słońca i według jego wskazówek tant poprawiał co chwila pincenez i przyglądał się cichaczem i w wielkiej tajemnicy obstawiła wieś nam coraz podejrzliwiej.

gęstym kordonem.

— Dowiedziałem się — ciągnął Zygmunt —

Żandarmów było tylu, że mysz by się nie o planie uciezki...

prześlizgnęła przez ich łańcuch. Prócz tego na Poderwało mnie.

wszystkich drogach czatowały zdwojone i po-Zwariował chłop! — pomyślałem.

trojone posterunki, a po wsi krążyły patrole.

Ale byłem bezradny, bo samym wzrokiem

— Obawiam się, czy to nie zwróci uwagi nie udało mi się zasztyletować zdrajcy. Zoicaro naszych żołnierzy — powiedziałem do zainteresował się nagle, żółty strzygł uszami jak pułkownika. — Mogą zaniechać uciezki tej koń, a Zygmunt zapewne pękał wewnątrz z nocy, zwłaszcza że jest księżyc.

dumy i rozkoszował się wywołanym efektem, Lekceważąco machnął ręką.

robiąc obojętną minę, co osiągał przez kombina-

—Jeżeli kiedy, to właśnie dziś będą się cję podnoszenia brwi, marszczenia czoła i spu-starali uciec — odrzekł. — Wiedzą, że szczania powiek.

później będzie jeszcze trudniej. A jutro

— O jakiej ucieczce pan mówi? — spytał

zrobimy rewizję: oni muszą tu gdzieś mieć Zoicaro.

cywilne ubrania.

—Podśluchałem rozmowę — odrzekł Zy-

—Z pewnością — wtrącił Zygmunt. —

gmunt. — Naturalnie zupełnie przypadkowo Tylko tak pochowane, że ich nie można zna-

— usprawiedliwił się zaraz.

leźć.

—Czyją? — nacierał tłumacz, coraz bardziej Rozeszliśmy się wreszcie. Zoicaro odpro-
zaciekawiony.

Zygmunt się nie śpieszył. Zapalał papierosa i łypał na mnie swymi niebieskimi oczyma, w których,
jak zawsze, czaiła się wesołość.

—Ryba bierze — powiedział do mnie.

—Gruba ryba — mruknąłem. — Może

połknąć haczyk, wędkę i rybaka.,

patentowanego osła.

— Kapitan ma zupełną rację — oświadczył

mój przyjaciel. — Musimy panu pułkownikowi całkowicie zaufać.

wadził mnie do kwatery, przed którą, ku memu było na zbiorce stu siedemdziesięciu dwóch ludzi.

zdziwieniu, stał rumuński żołnierz z karabinem.

— Gdzie reszta? — zapytał tłumacz.

—Czy to ma znaczyć, że jestem aresztowany? —

Wzruszyłem ramionami, a Zygmunt sprężyście zapytałem pułkownika.

zameldował, że jest siedmiu chorych i dwóch

—Skądże znowu! To tylko tak... Widzi pan: kucharzy.

zwalniam pana na tę noc od wszelkiej od-Zoicaro wezwał żandarmów i kazał przeszukać

powiedzialności. Ja sam odpowiadam dziś za wieś. Nie znaleziono oczywiście żywego ducha.

każdego pańskiego żołnierza, ale — pan rozumie?

Rewizja też nie dała wyników, bo ubrania cywilne

— muszę mieć swoje środki ostrożności.

zawczasu zostały dobrze ukryte przez Zygmunta.

Prosił, żebym mu tego nie brał za złe i żebym nie Wtedy zdumienie ogarnęło Rumunów: jak to?!

wychodził z domu do rana. Jutro posterunek zostanie Więc pomimo kordonu, pomimo uprzedzenia ich przez ściągnięty.

nas, pomimo że czuwali i że sam groźny Zoicaro nie Życzył mi dobrej nocy, a ja jemu pogodnych zmrużył oka wężąc i obchodząc przez całą noc obóz, marzeń i rozstaliśmy się.

tych stu zdołało zbiec?!

Byłem pewien, że Zoicaro nie będzie spał do Zeus z Babadag nie wierzył własnym oczom.

jutra, i nie myliłem się: przez całą noc obchodził

— Jak? Którędy? Jakim cudem? — pytał to posterunki i taplał się w błocie po polach i drogach.

swego adiutanta, to Grossu, to znów miejscowego Jeżeli zaś miał jakieś marzenia, to zapewne o stu żandarma.

schwytanych uciekinierach, a te nie spełniły się Podejrzewał ich wszystkich. Podejrzewał swoich widocznie, bo Zeus z Babadag był nazajutrz wściekły.

żołnierzy, mnie, Zygmunta i popa. Do południa wisiał

Żołnierze, którzy pilnowali kwater moich przy telefonie w nadziei, że przecież gdzieś kogoś oficerów i mojej, mieli posiniaczone twarze i złapią po drodze, w autobusie, w pociągu lub na stacji.

pokrwawione nosy.

Na próżno... Stu ludzi wpadło jak kamień w wodę.

Pokazał mi ich mówiąc!

Więc spokorniał i zaczął z innego tonu. Najpierw

— Tak u nas w wojsku karze się niedbalstwo.

do Zygmunta, bo ja byłem bardziej obrażony: Ktoś musiał uprzedzić Polaków o moich

—Dlaczego oni uciekają? Czego im tu brak? Mają zarządzeniach. Cóż pan o tym myśli? — spytał

przecież co jeść, nie potrzebują pracować i są sarkastycznie. Krew uderzyła mi z lekka do twarzy, ale bezpieczni. I — dokąd uciekają?

się pohamowałem. — Jestem wdzięczny panu

—Bo ja wiem — wzruszył ramionami Zygmunt.

pułkownikowi za pokazanie mi, jak rumuńscy

— A rozkosznie to tu u was nie jest.

oficerowie biją swoich żołnierzy po mordzie —

Zoicaro całkiem zmiękł, obiecał przysłać piecyki odpowiedziałem. — Gdyby mi ktoś przedtem i lepszą żywność, a potem zaatakował mnie: opowiadał, że taka rzecz jest jeszcze

— Pan musi wiedzieć, dokąd i po co oni gdziekolwiek w Europie możliwa, nie uwierzyłbym. U uciekają.

nas oficer poszedłby za to pod sąd.

Zastrzegłem się, że o niczym nie wiem, ale wytłumaczyłem mu, że Polacy potrafili uciekać z To go doprowadziło do wybuchu wściekłości.

Syberii na Madagaskar, żeby mieć wolność i żeby o Nie będzie słuchał moich pouczeń. Polska armia?

nią walczyć. Ze dla nas wojna się nie skończyła, Polska armia uległa Niemcom w ciągu trzech tygodni.

zmieniły się tylko pola bitew.

Odpowiedziałem, że rumuńska uległaby w ciągu

—Hm — powiedział zamyślony. — Więc trzeba trzech dni, gdyby się w ogóle biła.

się spodziewać, że i pan prędzej czy później Nic już na to nie powiedział, tylko zgrzytnął pojedzie do Francji?

zębami.

—Zawiadomię pana pułkownika pocztówką z Potem zapytał, czy zbiórka gotowa, i poszedł ze drogi
— odpowiedziałem.

mną odebrać raport i sprawdzić stan.

Uśmiechnął się i podał mi rękę.

Tak jak przewidywałem, stawilo się na plac alarmowy wszystko co żyło, z wyjątkiem rzeczywiście chorych, którzy leżeli w małym szpitaliku, urządzonym obok plebanii. Razem

Góra Ojca

Wkrótce po wizycie Zeusa z Babadag roz-swego grzbietu każdego, kto by po niej jechał.

chorowałem się ciężko. Rzuciły się na mnie dyzenteria, Gdy mokry jesienny wiatr wieje od Morza grypa, zapalenie ucha i malaria, wszystkie razem. Były Czarne i pędzi niskie, ciężkie od wilgoci chmury, takie chwile, kiedy myślałem, że już wyciągnę kopyta i Góra Ojca nurza garbaty grzbiet w obłokach i że mnie pochowają na bagnistym sarighiolskim potężnymi barami stara się zatrzymać ich pochód.

mentarzu. Żegnałem się w myśli z najdroższymi, Szare chmurzyska długo kłębią się nad nią, nim którzy zostali w kraju, a czarne myśli i troska o ich los wreszcie przewala się przez szczyt i runą w dół po łączyły się z gorączkowymi majaczeniami. Nie miałem zbroczy, aż do podnóża, na którym rozsiadło się o nich żadnej wiadomości; nie wiedziałem czy żyją, i miasteczko.

gryzłem się tym okropnie.

Wtedy zaczyna mżyć deszcz. Pada niemal Wymigałem się jednak śmierci. Tylko byłem tak codziennie, a jeśli nie pada, to wisi w wilgotnym osłabiony, że nie czułem się już na siłach dowodzić powietrzu lub osiada mgłą na dachach, na bezlistnych obozem. Zostało w nim zresztą zaledwie drzewach, na niskich murach z kamienia, na osiemdziesięciu ludzi, którymi mógł dalej kierować koślawych uliczkach.

Zygmunt.

Babadag tonie w błocie i w biedzie. Nigdy nie Grossu martwił się tym bardzo i na pociechę naprawiane, zapadające się dachy z grubych, chował do własnej kieszeni żołąd wypłacany przez obrosłych mchem dachówek, niezdarnie wykonanych i Rumunów, fałszując stany ewidencyjne według moich nieporządnie ułożonych.. Okna zabite zmurszałymi wskazówek. Zoicaro był bezsilny; żandarmi albo brali deskami łub zatkane przegniłymi badyłami kukurydzy.

od nas łapówki, albo nie mogli nam przeszkodzić, bo Drzwi krzywo wiszące na połamanych zawiasach.

chłopi stali po naszej stronie: uprzedzali mnie o Niskie murki z kamieni ułożonych jedne na drugich,

mających się odbyć rewizjach, wywozili furmankami walące się bądź na zewnątrz, bądź do wewnątrz zdi-ludzi aż pod Konstancę i w razie potrzeby ukrywali czałych sadów i niechlujnych ogródków zarosłych zbiegów u znajomych w okolicy.

bujnie zielskiem. Ścieki cuchnące, zawsze pełne W tych warunkach postanowiłem odpocząć parę brudnej wody i gnijących odpadków jarzyn. Jezdnie tygodni i otrzymawszy zezwolenie Delegatury Polskiej wypełnione błotem po brzegi wyboistych i równie oraz władz rumuńskich, przeniosłem się do Babadag.

zabłoconych chodników. Krzywe zaułki, ślepe, strome uliczki, plugawe ściany, z których odpada tynk, nory sklepików, rachityczne kramy, wybite szyby, ruiny dawno zawalonych domów...

Baba-Dag znaczy po turecku Góra Ojca.

Nędza wygląda ze zwichrowanych ram Wznosi się stromo nad miasteczkiem tej okiennych, z połamanych progów i zza krzywych, samej nazwy, które rzekomo za tureckich czasów spróchniałych płotów. Nędza uśmiecha się drwiąco z liczyło około sześćdziesięciu tysięcy miesz-zamkniętych na kłódkę, niebiesko pomalowanych kańców, teraz zaś liczy niespełna sześć tysięcy.

drzwi Usina Electrica, nieczynnej od wielu miesięcy.

Wznosi się stromo od wschodu, pokryta gęstym, Opuszczony, odrapany meczet w dużym, splątany, jakby w śmiertelnych konwulsjach zachwaszczonym jak wszystkie ogrodzie spogląda z zamartłym dębowo-bukowym lasem. Karłowate wysoka smukłym minaretem, ale milczy: nigdy pokurcza dębów, krzywe, powyginane, poskrę-

nikogo tam nie ma, nigdy żaden głos się tam nie cane, niskie, mieszają się z takimiż bukami, z odezwie.

chaszczami krzaków i czernieją skołtunionym kozuchem od podnóża aż po szczyt Góry Ojca.

Wydaje się ten las nie do przebycia, tak jest gęsty, strzępiasty, dziki. Wrósł w płytką warstwę gleby na skałach, których zielonawe łysiny, tylko tu i ówdzie deszczami obmyte z gliniastej ziemi, wystają po bokach szosy, co wije się krzywo, dziurawa, zbudowana byle jak, unosząca ni z tego, ni z owego raz lewe, raz prawe pobocze, jakby zamierzała zrzucić ze Za to prłmaria, duży brzydki dom o pobiechodu wyłowią z ciemności całą ulicę jak długa i lonych wapnem ścianach, z wypłowiałą aż do szeroka, przemkną pomiędzy domami i pogrążą je w jednolitej szarości flagą na dachu, pełen jest zawięszych jeszcze mrokach. Zaszczeka pies, fałszywie wsze ludzi. Polskie samochody czekają przed zapiszczy ręczna harmonia z wnętrza kawiarni, zawyje wejściem. Półuniundurowani rumuńscy żołnierze wiatr i znów się uspokoi, aż z wolna cichnie wszystko i i podoficerowie wpadają i wypadają stamtąd w Babadag usypia niewygodnym, nędznym snem pośpiechu. Brodaci chłopci — Rosjanie i Bułgarzy, biedaka, któremu dokucza zimno na twardym barłogu a więc obywatele ostatniej klasy — czekają na coś pod przykryciem z łachmanów.

pokornie i cierpliwie, oparci o barierę otaczającą We dniu odzywa się z cerkwi dzwon. Niemal co

gmach państwowy.

dnia, a nieraz i parę razy dziennie. Bije co kilka sekund Cóż jeszcze? — Cerkiew jak z tektury, propo jednym tępym uderzeniu, beznadziejnie i ponuro.

sta, brzydka, otoczona zaśmieconym rumowis-To odbywa się jakiś pogrzeb.

kiem pełnym wzgórków gruzu i wadołów, które Ciągłe ktoś tu umiera. Aż dziw, że to smutne porastają chwastami; kilkanaście obskurnych, miasto nie wyludniło się dotąd całkowicie: malaria, lepkich od brudu kawiarni i herbaciarni; daleko na grypa i dyzenteria hulają wśród ludzi pozbawionych wyżynie ponury, nieproporcjonalnie wielki, szary uczciwej opieki lekarskiej i zbierają obfite żniwo.

gmach dworca kolejowego i, czasem, śmieszny Lecz kiedy w zimowy mroźny dzień rozpogodzi trzywagonowy pociąg z ostatnich lat XIX wieku, się niebo, kiedy śnieg okryje brudne, umorusane jak zapomniana zabawka z odległego dzieciństwa.

miasteczko, Babadag wygląda zgoła inaczej. Ni stąd ni Psy (całe stada psów), świnię, kury i gęsi zowąd dostrzegasz doprawdy ładny domek na ulicy, brodzą w błocie, włócząc się po zaułkach. Przektórą sto razy przechodziłeś i na której, przysiągłbyś, jeżdżają chłopskie furmanki zaprzężone w nędzne że go nie było. Trzeba bowiem przyznać, że Rumuni są konie, których gospodarz nigdy nie czyści, a urodzonymi architektami i gdyby nie to, iż nie napra-karmi — jak się da najrzadziej. Policjanci w wiają walących się płotów, murów i dachów, że budują brązowych płaszczach z czerwonymi wypustkami z tandetnych materiałów, ich domki wiejskie i i w wysokich futrzanych czapach, nadęci władzą małomiejskie swymi doskonałymi proporcjami, wobec małuczkich i Uniżeni wobec możnych; zgrabnymi gankami, werandami i kolumienkami żandarmi w niebieskich połatanych bluzach; czyniłyby wrażenie prostoty i piękna.

Turcy odziani w brudne fezy, łachmany i obwisłe W taki jasny, szklany dzień, kiedy powietrze w kroku porcięta; Rosjanie, przeważnie rybacy, o zdaje się dzwonić od mrozu, Babadag uśmiecha się rudych lub siwych brodach i czerwonych nosach, wysokimi głosami dzieci, które wyległy z saneczkami czy kupcy zbożowi i winni, opaśli, ze złotymi na pochyłe, strome uliczki, błyszczą ścianami domów łańcuszkami od zegarków na wypiętych wybielonych przez śnieg i słońce, zasłania dyskretnie a brzuchach; szary, biedny tłum plugarów przemyślnie nędzę wewnątrz kwiatami szronu na bułgarskich i urzędnicy rumuńscy, wężący, gdzie szybach. Jest niemal wesoły i pogodny. Jest niemal by wziąć łapówkę i załatać dziury w domowym sympatyczny i miły.

budżecie, załamującym się wskutek Wspiąwszy się po stromej ścieżce na szczyt Góry wielomiesięcznych zaległości w wypłacie Ojca, można zobaczyć wielki szmat Dobrudży, aż po głodowych pensji...

Morze Czarne. Biały od śniegów, szeroki, rozłożysty Gdy zmrok zapada, w krzywych okienkach kraj, uwieczony na horyzoncie złocistą strzałą wody.

zapalają się kopcące lampki naftowe, a po wyboistych, ciemnych uliczkach błędzą światelka Tam

daleko jest port. A w porcie statki. Statki, latarni stajennych, niesionych przez przechodniów.

które popłyną do Francji...

Czasem zaczyna przeraźliwie warczeć Usi-na I ja zamierzałem popłynąć do Francji, ale stało Electrica, zabłysną rzadko na słupach rozsię inaczej: w pierwszych dniach stycznia mieszczono żarówki, świecą słabo godzinę lub dwie, po czym elektrownia znów się psuje i milczy przez parę tygodni, aż do nowej próby.

Czasem reflektory schlastanego błotem samo-otrzymałem rozkaz przedzierzgnięcia się w cywila i Tam wyposażono mnie w dokumenty, instrukcje i wyjazdu do Targu-Jiu w charakterze „dyrektora”

pieniądze, po czym pewnego mroźnego dnia Angielskiego Funduszu Pomocy Internowanym styczniowego wysiadłem z wagonu na małym dworcu Żołnierzom Polskim. Zamiast więc na wschód, do Targu-Jiu, gdzie spotkałem Alojzego T. i gdzie Konstancy, pojechałem na zachód, do Bukaresztu.

nauczyłem się pracować tak, jak on pracować potrafił.

Targu Jiu

Komendantem okręgu wojskowego był generał

Oprescu, mały, tłusty, wesoły oficer z dawnej austriackiej armii. Uśmiechał się do nas na poły uprzejmie, na poły podejrzliwie, kiedy Alojzego poznałem w roku 1938 w Łodzi.

zameldowaliśmy się u niego, aby mu przedstawić Był tam dyrektorem YMCA, a ja przyjechałem z nasze upoważnienia wydane przez Ministerul de odczytem dla młodzieży do tej właśnie instytucji.

Razboi i przez ambasadę brytyjską. Słuchał jednym Od razu przypadliśmy sobie do serca i teraz w uchem tego, co mówił Alojzy po niemiecku, uściskał

Rumunii Alojzy najpierw dopomógł mi do nam ręce z roztargnieniem i spławił nas do pułkownika przedzierzgnięcia się w cywila, a potem zażądał

Dimitrescu, który dzierżył władzę nad obozami.

mojej pomocy.

Pułkownik Dimitrescu był zgoła inny. Inny niż Zobaczyłem go na peronie dworca w Targu-generał i niż większość rumuńskich oficerów. W

Jiu, jak stał w tłumie, drobny, niepozorny, dodatku miał dobre serce, a jego wygląd budził

ruchliwy, i jak patrzył bystrymi ciemnymi oczami sympatię. Dimitrescu był wysoki, dość tęgi, ale nie spod jasnych, rudawych rzęs w okna pociągu.

gruby, czerstwy, szpakowaty, przystojny, z jasnym, Wydał mi się jeszcze dziwniejszy niż wówczas, szczerym spojrzeniem i miłym uśmiechem. Mówił

gdy go po raz pierwszy widziałem w Łodzi. Bo doskonale po francusku, a jak się później Alojzy przy swej niepozornej postaci ma głowę dowiedziałem, był prezesem Królewskiego Koła lwa: zmarszczone szerokie czoło z wielką grzywą Myśliwskiego, przyjmowanym na dworze Karola, jasnych, złotawych włosów, głęboko osadzone, człowiekiem bogatym, wychowanym i wykształconym nieduże, bystre oczy, zawsze trochę zmrużone i za granicą.

trójkątną, nadmiernie szczupłą twarz o dość szerokich ustach. Przy tym wygląda Wysłuchał nas bardzo uważnie i życzliwie.

zadzierzycie, trzyma się prosto i tę swoją lwią Obiecał pomóc, ale widać było, że zdaje sobie sprawę głowę nosi wysoko, z godnością.

z trudności, jakie nas czekają.

Wyskoczyłem z wagonu, a on zobaczył mnie od razu i bez żadnych wstępów zabrał mnie sa-niami do obozu, tłumacząc po drodze, co i jak mamy robić.

Gdyśmy tam przybyli, sytuacja wydała mi się rozpaczliwa. Długie szeregi drewnianych baraków otoczone gęsto kolczastym drutem, z dala od miasta, zawiane śniegiem w szczerym polu. Bez światła, bez wody, bez kanalizacji, bez pieców.

Sześć tysięcy żołnierzy polskich, obdartych, zrozpaczonych lub zrezygnowanych, wydanych na łaskę losu, bez opieki oficerów, pod strażą rumuńskich солдатów. Brak jakiegokolwiek organizacji, brak opieki lekarskiej, nędzna strawa dostarczana przez złodziejskich mtendetow.

żadnych, naferostszych nawet urządzeń sanitarnych, żadnych pism, książek, żadnej nadziei na poprawę bytu. Jednym słowem — nędza.

W pobliżu, w murowanych koszarach ru-muńskich, ale całkowicie osobno i też za drutami, był

obóz internowanych oficerów, niewiele lepszy niż żołnierski. Tam przebywało trzystu naszych oficerów z różnych rodzajów broni.

— Wasi żołnierze są zdemoralizowani —

powiedział. — Warunki ich życia tutaj są złe i ja to dobrze rozumiem. Nasz żołnierz jest do tego przyzwyczajony. Mieszka i jada tak samo jak Polacy, którzy tu są internowani, a poza tym — pełni służbę.

Ala wy macie inny element w wojsku: przyzwyczajony do czystych koszar, do komfortu, o jakim w Rumunii nie ma co marzyć. Element inteligentny, ambitny; za to niesforny i, w istniejących okolicznościach, bardzo trudny do prowadzenia. Ci ludzie są teraz pozostawieni samym sobie,

rozgoryczeni, psychicznie załamani. W

obozie panuje anarchia. Nie chcą nic robić, nie słuchają rozkazów, a gdy wezwałem kilku polskich oficerów, żeby zaprowadzili tu jakiś wojskowy porządek, żołnierze omal ich nie rozszarpali w barakach. Może wam, panowie, uda się lepiej...

Potem przedstawił nas pułkownikowi Porfirianu, krwistemu grubasowi, który sprawował obowiązki komendanta obozu żołnierskiego.

Porfirianu, oficer niedawno powołany z rezerwy, był z zawodu krupierem- kasyna gry w Skiaia. Jeżeli potrafił w tym kasynie ciągnąć takie uboczne zyski z gry, jakie tu ciągnął ze swego stanowiska, to prawdopodobnie odłożył sobie wcale piękny kapitał.

Był typowym rumuńskim oficerem. Lubił przemawiać i robił to przy każdej sposobności, płynnie i kwieście, wcale niezłą francuszczyzną, a przy tym był „łatwy w pożyciu” za niewielkie sumy i podarunki w naturze.

Lubił dobrze zjeść i jeszcze lepiej wypić, lubił bawić się wesoło, uwielbiał ładne kobiety, obiecywał

wszystko, o co się go poprosiło, i nie dotrzymywał

nigdy tych obietnic. Był gościnny i wylewnie serdeczny, a do mnie od razu zapłonął wielką sympatią. Ja lubiłem go zresztą także i udawałem, że nie wiem o jego drobnych złodziejstwach i gałgaństwach. Przyrzekłem mu nawet kiedyś uroczyście, że się wystaram dla niego o wysoki order w zamian za przychyłość, jaką w pewnych sprawach

„ewakuacyjnych” okazał internowanym polskim żołnierzom. Ponieważ jednak otrzymał wówczas ode mnie cztery pary angielskich butów i dwa koce z transportu nadesłanego przez ambasadę brytyjską, uważam rachunek za wyrównany, tym bardziej, że nigdy nie miałem zamiaru (a możliwości — w ogóle) obdarowywać go orderami albo się o nie dla niego starać.

Cała ta sprawa odnosi się oczywiście do czasów o wiele późniejszych. Nasze poznanie z Porfirianu odbyło się gładko i uprzejmie, z obustronną ciekawością i wymianą komplementów, po czym zaczęła się praca w obozie, o wiele trudniejsza niż wstępne rokowania z Rumunami.

Nasi żołnierze nie rzucili się na nas wprawdzie, kiedy weszliśmy, nie bez emocji, do zatłoczonych, cuchnących brudem i potem baraków, ale zignorowali nas całkowicie. Po prostu nikt nie chciał z nami gadać...

Zamierzałem powiedzieć im o naszej armii tworzącej się we Francji, o obowiązkach żołnierza, o ojczyźnie, lecz Alojzy uszczypnął mnie w ramię.

— Ani pary z gęby o takich sprawach!

Miał rację. Jak tu czegoś żądać od tych opuszczonych nędzarzy, stłoczonych po tlrzystu w ciemnym, śmierdzącym baraku, przeznaczonym na stu dwudziestu ludzi? Jak przemawiać do nich, gdy od paru miesięcy doznawali tylko rumuńskiej „opieki”?

Co im powiedzieć, skoro przez tyle czasu nikt nie zatroszczył się o nich tak, aby to odczuli?...

Więc przemówił Alojzy, i to całkiem z innej beczki.

— Wszy was gryzą — zaczął. — Leżycie w zaduchu i brudzie, jeden na drugim. Ciemno tu jak w lochu, a ten kulawy żelazny piecyk tyle grzeje, ile świeca w kościele.

Zrobiło się cicho. Dobrze wiedzieli, że tak właśnie jest, ale nikt im tego jeszcze nie powiedział, więc słuchali, gotowi zarówno do aplauzu, jak do obrzucenia mówcy podkutymi buciorami.

— Rumuni oddali dla was dosyć baraków, żebyście mogli bardziej po ludzku mieszkać — ciągnął

Alojzy, nie zważając na to, że natychmiast podniósł się pomruk wściekłości. — Baraków jest dosyć. Są cegły na zrobienie pieców tylko...

Tu podniósł się wrzask:

— Z pustym brzuchem piec będziemy stawiać?!

i— Gdzie te cegły? O kilometr stąd!

— Postaw se pan sam!

Celnie wymierzony but z górnej pryczy, gdzieś aż spod pułapu, śmignął w powietrzu, ale Alojzy dojrzał

go w mroku i złapał w lot.

— A papierosy macie?! — zawołał zagłuszając gwar. :

—Nie mamy — odkrzyknęli.

niedowierzaniem na te nasze poczynania. Nikt prócz

—Dawać fajki i chodu! — odezwał się jakiś pułkownika Dimitrescu nie wierzył, żeby to miało zachrypły bas.

jakieś znaczenie. Nikt nie przypuszczał, żeby nasza

—Zaraz dam — powiedział Alojzy. — A teraz praca wydała jakieś owoce. Żeby potrwała dłużej niż jeszcze jedno: pięć tysięcy cegieł leży koło kilka dni. Dimitrescu zaś powątpiewał, czy damy sobie magazynu, przy drugiej bramie. Za każdą cegłą, radę z różnymi trudnościami i z tymi żołnierzami,

którą mi tu kto z was przyniesie, płacę pięć lei którzy w ogromnej większości pozostawali przecież gotówką.

nadal apatyczni lub nawet wrogo usposobieni do nas, Odpowiedział mu wybuch śmiechu i kpin.

do oficerów, do jakiegokolwiek roboty.

—Gdzie te fajki? — pytali coraz natarczywiej i W tydzień po naszej pierwszej rozmowie groźniej.

pułkownik nagle przyjechał do obozu swoją czarną

—Papierosy mam w sankach. Chodźcie, to limuzyną i zaprosił nas obu do kancelarii rumuńskiego dostaniecie.

dowództwa. Był bardzo poruszony i zakłopotany.

Wyszliśmy przed barak, a za nami wysypali się Oświadczył, że potrzebuje naszej pomocy, ale z góry jego mieszkańcy, mrużąc oczy przed światłem.

jest przygotowany na wielkie trudności. Wątpi, czy Papierosów było dużo: 120 000 sztuk. Rozbędziemy w stanie choć częściowo zaradzić temu dzieliliśmy je na dwadzieścia baraków, niewiele dbając niespodziewanemu kataklizmowi, jak się wyraził.

o sprawiedliwy podział wewnętrzny, bo to nie było Oświadczyłem, że spróbujemy, i zapytałem o teraz ważne. Dla Alojzego ważne było, żeby ludzie szczegóły „kataklizmu”.

wyszli ze swoich barłogów; żeby ich mieć tu, na

— To jest zupełnie nadzwyczajne — powiedział

świeżym powietrzu.

Dimitrescu pocierając zatroskane czoło. — To jest tak Wskoczył na sanki i powtórzył obietnicę w nie po rumuńsku, że... No więc w paru słowach: sprawie cegieł. Odpowiedziano mu wymysłami, zwróciłem się do waszych oficerów w Rosiori i gdzie drwinami, w najlepszym razie — uśmiechami indziej, żeby tu przyjechali zaopiekować się niedowierzania. Ale w końcu jeden z szeregowców, żołnierzami. Żeby dobrowolnie zamienili obecną namówiony przez kamratów, kopnął się do magazynu i względną swobodę na pracę w obozie za drutami. I po dziesięciu minutach wrócił, niosąc trzy cegły.

wiecie, panowie co się stało?

Powitał go szmer zainteresowania.

Pewnie nikt się nie zgłosił — pomyślałem.

Wstydził się trochę kolegów, bał się, że go

— Zgłosili się prawie wszyscy — powiedział

wyśmieją, jeżeli dał się nabrać, i — nadrabiając pułkownik po dramatycznej pauzie.

bezczelnością — rzucił nam pod nogi te trzy cegły, Zawstydziłem się trochę mego przypuszczenia, a nadstawiając dłoń po pieniądze.

potem ucieszyłem się serdecznie.

— No, gdzie forsa?

— Jutro tu przyjedzie stu dwudziestu —ciągnął

Alojzy bez pośpiechu wyjął piętnaście lei, położył

dalej Dimitrescu. —

je na wyciągniętej dłoni żołnierza i przybił z klaskiem.

dwudziestu — powtórzył dobitnie. — Baraki dla nich

— Jest forsa — powiedział. — Kto na mam

stępnny?

Wtedy się zaczęło. To nie piętnaście lei wyrwało tych ludzi z apatii. I nie następne parę tysięcy.

(Płaciliśmy nazajutrz rano tylko po dwie leje za cegłę, a wieczorem po lei). Nie: tego żołnierza nie można było kupić. Można go było tylko przekonać, że przybyliśmy tu, aby mu rzeczywiście pomóc.

Alojzy potrafił to zrobić w bardzo krótkim czasie.

Trzeciego dnia mieliśmy dwunastu oficerów ochotników z sąsiedniego obozu, którzy zgłosili się na nasze wezwanie i utworzyli polską komendę. Dalszych stu obiecali Rumuni przysłać z RosiorideVede, Targoviste i z innych obozów.

Czwartego dnia zorganizowaliśmy polską intendenturę, sześć kuchen z polską obsługą i pierwszą kantinę. Powstał wydział kulturalno-oświatowy i zgłosiło się pięciu podchorążych, którzy później stanowili mój „sztab główny” i organ wykonawczy dalszego programu pracy. Zaczęliśmy też tego dnia organizować pierwszą świetlicę w pustym baraku.

Dowództwo rumuńskie patrzyło z pobłażliwym prawie gotowe, ale gdzie ona będą jadać? Ja im muszę dać jutro obiad o godzinie drugiej, rozumiecie panowie? Obiad dla stu dwudziestu oficerów... W kasynie obozu .oficerskiego to jest niemożliwe, bo tam jedzą, na trzy zmiany, i zresztą... Panowie

rozumiecie: wasi oficerowie, którzy tu są, z wyjątkiem kilkunastu, podpisali deklarację, że nie będą próbowali wyjechać z Rumunii. A tamci nie chcieli podpisać. Ja wiem, że istnieje pewien antagonizm między jednymi i drugimi. Zresztą sam więcej ufam tym, którzy nie podpisali owych deklaracji. Więc...

Powiedzieliśmy, że rozumiemy. Osobiście miałem ochotę uściskać dzielnego pułkownika, któremu rząd rumuński powierzył internowanych oficerów i żołnierzy, a który z wyraźną sympatią odnosił się do tych spośród nich, którzy nie chcieli zrezygnować z ucieczki.

Alojzy zamrugął jasnymi rzęsami, spąsował, ruszył wystającą grdyką i oświadczył:

— Jutro o drugiej będzie obiad dla stu trzydziestu dwóch polskich oficerów i dla Rumuńskiej Komendy Obozu w kasynie, tu na miejscu. Zrobi się, panie pułkowniku.

Dimitrescu nie zrozumiał.

—W jakim kasynie? Przecież...

—Będzie kasyno — oświadczył Alojzy. —

Zrobi się.

Pułkownik spoglądał na nas z wyraźnym powątpiewaniem, a potem wskazał nam pusty barak, który można było zająć. Wreszcie, bardzo zatroskany, pożegnał nas i odjechał, my zaś —

weszliśmy do środka.

Prawdę mówiąc, nie było się czym zachwycać. Podłoga zawałona gruzem, brak pieców, ściany ze szparami, przez które nawiało śniegu, nawet sufit nie obity papą. Poza tym pustka i zimno.

Pomyślałem, że Alojzy przeholował. Spojrzałem na niego i spotkałem jego bystre, czarne oczy utkwione w moich. Podniósł brwi, mrugnął

jasnymi rzęsami, uniósł się na palce rozkraczywszy nieco pałakowate nogi i powtórzył

z przekonaniem:

— Zrobi się.

Jakoż „zrobiło się”. Pracowaliśmy trzydzieści godzin wraz z pięciu podchorążymi, którzy wynaleźli paru znajomych fachowców spośród żołnierzy: stolarza, dekarzy, zduna i kucharza.

(Na kelnerów zgłosiło się z tuzin kandydatów).

Nazajutrz przed godziną drugą barak wyszorowany, obity od wewnątrz papą i wybielony, przybrany wycinankami, chorągiewkami, portretami, wyposażony w stoły i ławki, z ko-minikiem, na którym stał

model żaglowca sklepany z tektury, ani trochę nie przypominał tego rumowiska, jakie tu zastaliśmy. W dwóch żelaznych piecykach i na kominku szalał ogień. Za przepierzeniem była szatnia na płaszcze. W izdebce przy wejściu spiżarnia z zapasami, z wagą, ze stosami talerzy, szklanek, naczyń i szućców, z papierosami, winem i konserwami w puszkach. W kuchni gotował się obiad z trzech dań — na świeżo postawionym kuchennym piecu i w dwóch kotłach, które, zdaje się, zginęły z rumuńskich magazynów wojskowych. Na stołach przekąski, kieliszki i butelki.

O drugiej przyszli oficerowie i Rumuni z pułkownikiem Dimitrescu. Triumfowaliśmy...

Alojzy słusznie przewidział i docenił wagę tego, czego zdołaliśmy dokonać: gdyby tych stu dwudziestu oficerów nie miało na samym wstępie gdzie się podziać, gdyby nie dostali obiadu lub gdyby musieli go zjeść o spóźnionej porze o dwa kilometry od obozu, zmarznięci i zmęczeni drogą

— nie wpłynęłoby to dodatnio na ich chęci do dalszej pracy. Pierwsze wrażenie czasem na bardzo długo decyduje o stosunku do nowego miejsca przydziału. Oni, przygotowani na najgorsze, zastali gotową organizację, kwatery i kasyno. To w warunkach obozowych bardzo wiele znaczy.

Jeśli zaś chodzi o Dimitrescu, to zdobyliśmy jego przychyłość i zaufanie za jednym zamachem. Trzeba przyznać, że umiał to oikazać i że pomagał nam później więcej, niżby na to pozwalały jego funkcje komendanta obozów internowanych.

Przy tej pomocy i wspomagana obficie pieniędzmi z Brytyjskiego Komitetu pracowaliśmy dalej, a po wyjeździe Alojzego do Bukaresztu pracowałem ja i zorganizowani już oficerowie, podoficerowie i szeregowcy.

Kiedy w kwietniu opuszczałem Targu-Jiu, cały obóz zmienił się nie do poznania. Z brytyjskich pieniędzy wydałem około trzech milionów lei, nie licząc różnych przedmiotów, które otrzymałem dla żołnierzy w naturze, jak na przykład 2500 par butów, 1200 ubrań, 6000 sztuk bielizny, 1000 ręczników, 2000 swetrów, 2000

koców itd.

Urządziliśmy i wyposażyliśmy dziewięć świetlic, wytwórnię kostiumów i dekoracji, przenośną scenę każda ze stołami i ławkami, z piecami i lampami, z i kulisy.

biblioteką, czytelnią pism, radioodbiornikiem, Założyliśmy trzy duże boiska sportowa z kompletem gier. Założyliśmy dziewięć sklepów bieżniami, urządzeniami do piłki nożnej, siatkówki i żołnierskich z odpowiednim wyposażeniem i ich koszykówki oraz salę ze sprzętem do boksu.

centralą hurtową. Zorganizowaliśmy szpital na W czterech barakach zorganizowaliśmy]

czterdzieści łóżek z izbami ambulatoryjnymi: skórna, warsztaty: masarski, stolarski, szewski, krawiecki, zakaźną, chirurgiczną i dentystyczną oraz z ślusarski i modelarsko-rzeźbiarski. Zatrudniały one kąpieliskiem o dwóch wannach i z instalacją do grzania ponad dwustu fachowców i uczniów,

wody. Przy szpitalu była apteka z zapasem lekarstw, Przeprowadziliśmy wodociągi i kanalizację na odpowiednie zapasy bielizny, środków opatrunkowych terenie całego obozu (2500 metrów bieżących! rowów itd.

i rur). Zasadziliśmy 3800 drzewek owocowych i Jeden z pustych baraków w obozie przerobiliśmy ozdobnych, uprawialiśmy pod warzywa i kwiaty 160

na kaplicę, wykonując wszystkie dekoracje, ołtarz itd.

000 metrów kwadratowych ziemi, splantowaliśmy i obsiali trawą 30 000 metrów kwadratowych pod Obóz miał własną krótkofalową radiostację boiska sportowe, urządziliśmy 1800 metrów bitych nasłuchową, o czym naturalnie władze rumuńskie nie dróg...

wiedziały. Wykorzystując tę stację, mogliśmy A co najważniejsze — wysłaliśmy około, trzech wydawać codzienne pismo, odbijane na własnych tysięcy ludzi do Armii Polskiej we Francji.

powielaczach. Pismo nie było jakie, bo na dwóch Prawda, mieliśmy dosyć pieniędzy od I arkuszach druku, a w niedzielę na czterech lub pięciu.

Anglików. Prawda, mieliśmy stu dwudziestu oficerów Zorganizowaliśmy referat oświaty i kultury, którzy do pomocy i sześć tysięcy żołnierzy do pracy. Ale otrzymał specjalnie urządzone barak szkolny.

ruszenie z martwego punktu, rozpęd do tej pracy, Kiedy na zawsze wyjeżdżałem z obozu, działało inicjatywa, są zasługą jednego człowieka.

tam siedem stałych szkół i cztery kursy fachowe, na Niepozornego, skromnego, a później nawet których uczyło się tysiąc ośmiuset ludzi i wykładało szkalowanego i prześladowanego. Człowieka o czterdziestu nauczycieli. Sekcja odczytowa wulkanicznej energii, który nie miał zwyczaju wahać zorganizowała ponad sto odczytów, a teatralna —

się przed żadną pracą, który zawsze mówił: „Zrobi się”

dwadzieścia sześć przedstawień teatru żołnierskiego, i robił za dziesięciu, porywając innych swoim który miał własną

przykładem. Jednym słowem — Alojzego T.

Pryszczyk wieje

Pryszczyka spotkałem w obozie Targu-Jiu zaraz Złapali go. No cóż? Złapali... Ale nie żadne w pierwszych dniach mojego tam pobytu. Rzucił mi Rumuny, tylko „tajniak” niemiecki. A wszystko przez się na szyję w obecności rumuńskiego sztabu, uściskał

naszą ambasadę... Gdyby sam podróżował dalej, mnie, aż mi dech zaparło, i rozbeczał się ze pewnie

byłby teraz we Francji i może kierowałby wzruszenia. Potem, zignorowawszy Rumunów, samochodem samego generała Sikorskiego.

zaciągnął mnie do swojego baraku, gdzie miał pryczę Łypał na mnie spode łba, czy się nie ujmę za w kącie „na piętrze”. Palił moje papierosy, częstował

ambasadą i czy nie wydaje mi się zbyt nie-nimi brać żołnierską dokoła i opowiadał.

prawdopodobny ów przypuszczalny przydział do generała. Ja zaś bawiłem się doskonale i ani mi w mają być ogoleni i oszczydzeni we własnym zakresie głowie było podawać w wątpliwość jego słowa, choć

— brzmiał jeden z jego sławnych rozkazów1...

nawiasem mówiąc, jak to z całej opowieści wynikało, Takiego więc towarzysza przeznaczył los Pyszczyka zgubiła nie tyle polska ambasada, ile jego Pyszczykowi na wstępie do jego eskapady, a sądząc z wrodzona szarmanteria dla dam.

dalszego jej ciągu, sierżant Krówka nie zmienił się od A było tak:

owych czasów, w których był moim przełożonym.

W Bukareszcie Pyszczyk wycygał paszport od Musiał wprawdzie postarzyć się trochę, ale umyślowo starszego sierżanta Krówki, który „miał stosunki” w się nie rozwinął, a poczciwość i znajomość regulaminu ataszacie wojskowym. Dostał ten paszport oczywiście służby wewnętrznej nie na wiele by mu się przydały w

„na lewo”, czyli sposobem nielegalnym, bo nie chciał

Rumunii, gdyby nie Pyszczyk, który obiecał mu czekać swojej kolejki, podobnie jak sam Krówka.

pomóc w zamian za ów paszport z lewej ręki, który Co się tyczy tego ostatniego, to znałem go w Krówka dostarczył.

czasach bardzo już zamierzchłych, bo w okresie, kiedy Dowiedzieli się, że na to, aby otrzymać ja-Krówka był sierżantem-szefem w Krakowskiej Szkole kąkolwiek wizę, trzeba mieć najpierw plecary, to jest Pilotażu w roku 1919. Wtedy też był starszym rumuńską wizę wyjazdową. Poszli tedy razem do sierżantem, czyli sztabowym, jak się wówczas mówiło.

urzędu policyjnego, jak do smoczej jamy i wkręcili się Wcale mnie nie zdziwiło, że nie awansował przez tyle do samego najwyższego dygnitarza, który owe plecary lat; natomiast zawsze się zastanawiałem, kto w ogóle wystawiał.

mógł go kiedykolwiek mianować podoficerem, nawet Dygnitarz — jak dygnitarz: brał grubą łapówkę w austriackiej armii, z której pochodził.

hurtem, od głowy, i wszystko mu było jedno, kto z Krówka był duży, zwalisty, czerwony na twarzy, Rumunii wyjedzie, a kto nie. Ujrzawszy Krówkę z o rudawym zarostem, a tępy jak pień: Roch Kowalski w Pryszczkiem, wziął ich paszporty, obejrzał, wyczytał

najtańszym wydaniu... Miał przy tym wysokie w rubryce „zawód”, że zarówno Pryszczyk, jak mniemanie o swojej inteligencji i wiedzy wojskowej, Krówka są inżynierami, uśmiechnął się dobrodusznie i którą nabywał latami w kancelarii kompanijnej. W

wyraził zdziwienie, że wśród Polaków opuszczających rzeczywistości ta wiedza ograniczała się do regulaminu jego ojczyznę tyłu jest inżynierów. Pryszczyk służby wewnętrznej, który Krówka umiał na pamięć, uśmiechnął się również i — jak twierdzi —

inteligencja zaś przejawiała się głównie w adaptowaniu odpowiedzi po francusku, że „faktycznie”. Krówka wyrażen zaczerpniętych ze stylu pism służbowych. W

zaś nie odpowiedział nic, bo po pierwsze nie wiedział, dodatku pan sztabowy nie zawsze rozumiał te o co chodzi, a po drugie po francusku nie umiał.

stylistyczne „szymle” i stosował je dość dowolnie w Wtedy dygnitarz napomknął domyślnie o polsidsm swoich przemówieniach, udzielając nam nauk wojsku we Francji. Na Pryszczyku skóra ścierpła: moralnych, strofowań i uwag przy odczytywaniu temat był niebezpieczny...

rozkazów dziennych szkoły. Lubiliśmy go zresztą, my, Dygnitarza zapewne ubawiło zakłopotanie uczniowie-pi-loci, bo nie był to zły człowiek i petentów.

traktował nas właściwie z ojcowską pobłażliwością.

— Niech się pan przyzna — powiedział do

—Jednoroczny freiwilliger Herbert — mawiał do Krówki. — Przecież pan wcale nie jest inżynierem, mnie, zastawszy mnie w sali podoficerskiej tylko majorem albo kapitanem polskiej armii.

siedzącego na stole. — Jednoroczny Herbert, co z Przepadło — pomyślał Pryszczyk, a widząc, że wami jest? Wczoraj widziałem was na wyżej Krówka tylko wytrzeszcza oczy i sapie, odrzekł 2

wymienionym stole jeść — dzisiaj widzę was na determinacją:

nim siedzieć, a jutro?... Jutro was pewnie zobaczę

— Ten domiul nie jest żadnym majorem, tylko urządzać na wspomnianym sprzęcie koszarowym generałem!...

latrynę, co?!

To wywarło wrażenie. Dygnitarz zrobił się

—Wymienieni w nagłówku jednoroczni niesłychanie uprzejmy. Zerwał się, przyniósł Krówce krzesło, natychmiast ostemplował paszporty i podał je z ukłonem zdumionemu sierżantowi.

— Łydki miała, panie kapitanie, że no! Niech Był tak uniżony i tak prędko gadał, że Pryszczykowi Królikoszczak powie...

aż się w głowie zakręciło. Trącił łokciem towarzysza i Królikoszczak potwierdził, że „faktycznie”.

mruknawszy „panie sztabowy, chodu-parochodu”,

— I ma się rozumieć, że rękawiczkie koło mnie wyszedł wraz z nim, nie pożegnawszy się z wysokim upuszcza. To Ja. podnoszę i powiadam pardą, urzędnikiem.

silwuple! a ona mówi: mersi bię. To ja znów mówię: Ale to właśnie dopełniło wrażenia. Dygnitarz proszę bardzo, nie szkodzi. Jak ona to usłyszała, jak wyleciał za nimi, nawymyślał woźnemu i żandarmom, nie wrzaśnie: wu zet Polone! — i jeszcze tam coś o ty rozpędził na cztery wiatry interesantów, żeby domnul narodowości. A Królikoszczak mnie szczypie, że niby generał miał wolne przejście, i głośno usprawiedliwiał

się nie wolno dekomspirować. Więc spokojnie jej się, że nie od razu poznał, z kim ma do czynienia.

mówię: nic podobnego, szanowna pani — ną Polone.

Krówka był przekonany, że chcą im odebrać Ale już było za późno, bo jeden agenciak, tajny paszporty, i teraz on ciągnął za sobą Pryszczyka, Niemiec, do nas posuwa i zaraz drakie z rumuńskimi zbiegając klusem po marmurowych schodach.

żandarmami o moją osobę urzędową „Draka”

Nikt ich jednak nie gonił, więc Pryszczyk znów skończyła się fatalnie dla Pryszczyka. Znalezione przy zaczął działać. Najpierw wymienił całą posiadaną nim pistolet i legitymację wojskową, a że paszport też przez nich obu polską walutę na leje, po dobrym nie był w porządku, więc odstawiono „inżyniera”

urzędowym kursie, przedstawiając aż sześć różnych prosto do kryminału. Przesiedział tam biedak prawie legitymacji w kilku bankach; potem zaopatrzył się w dwa miesiące, po czym odesłano go do Targu-Jiu pod prowiant, pobrał, gdzie się tylko dało, pieniądze na specjalną eskortą, okradzionego z pieniędzy, po-droge, naciągając i Czerwony Krzyż, i attache siniaczonego i wychudłego na szczapę.

wojskowego, i ambasadę; wreszcie zaprowadził

Mimo to Pryszczyk wcale nie stracił fantazji.

Krówkę na dworzec, kupił bilety do Konstancy, zajął

Nawet nie miał wielkiego żalu do Rumunów, tylko na cały przedział drugiej klasy i zabarykadował

się w nim niemieckich tajniaków był bardziej jeszcze zawzięty.

razem z Krówką.

— Az ambasadorami więcej się zadawał nie Do Konstancy dojechali bez przygód, ale tam będę — oświadczył wreszcie. — Jak wialiśmy z właśnie Pryszczyka zgubiła nasza ambasada, bo dał się panem kapitanem i z panem kapitanem Wasilewskim, namówić na wyjazd z całym transportem Polaków...

to żaden ambasador nic do gadania nie miał i było Dał się namówić dosyć łatwo, ponieważ taki dobrze, no nie?

przejazd nic nie kosztował. Dostali kwaterę z wiktem Zapytałem go o dalsze jego plany i wyraziłem na trzy dni, a czwartego zaprowadzono ich na dworzec lekkie zdziwienie, że dotychczas stąd nie zwiął.

morski razem z czterdziestu innymi „inżynierami”.

Pokazał mi wymownym gestem swoje łachy i Na dworcu pełno było policjantów i żandarmów, dziurawe kieszenie.

ale Pryszczyk nic sobie z nich nie robił, bo wiedział

— Ale jak pan kapitan już tu jest, to się zrobi —

doskonale, że są przez naszych opłacani. Natomiast zwrócił się do swoich towarzyszy.

niepokoili go niemieccy szpicle, których nie umiał

Nie mogłem zaprzeczyć, więc Pryszczyk wpadł w odróżnić od innych cywilów. „Pan ambasador” z zapał i zaczął wygłaszać pochwalną mowę na moją konsulat w Konstancy pouczył wszystkich, żeby nie cześć. Wyniosłem się zaraz po pierwszych kilku gadali po polsku, póki nie odpłyną. Więc Pryszczyk zdaniach, nie chcąc mu wprost powiedzieć, że łże jak z zacisnął szczęki i postanowił ani pary z gęby nie nut, ponieważ i o sobie też mówił mimochodem, puścić. Stali na tym dworcu morskim z godzinę i przyjąwszy wygodną formę pierwszej osoby liczby nudno było okropnie. Aż tu nagle jakiś statek mnogiej w tej epopei. Mimo to zdążyłem usłyszeć, jak przyplłynął i zaczęli wysiadać pasażerowie. No i trzeba to we dwóch ewakuowaliśmy całą składnicę dęblińską nieszczęścia, że obok Pryszczyka przechodziła i jak pojechaliśmy „łazikiem” przez most na drugą panienka.

stronę Wisły pod same pozycje Niemców...

Wkrótce potem wymieniłem Pryszczykowi jego autentycznej anegdoty w Rumunii.

łachmany na wcale porządny mundur i zająłem się nim Ludzie uciekali z Targu-Jiu rozmaicie. Najszczególnie], nie tylko dlatego, aby usprawiedliwić prostszy i najdłużej stosowany sposób polegał na

opinię,' jaką mi wyrobił, i zaufanie, jakie do mnie podkopywaniu się nocą w zaspach śnieżnych pod 'żywił, lecz również dlatego, że miałem pewne plany druty i na pełzaniu w śniegu aż poza zasięg wzroku co do jego osoby.

gęsto rozstawionych wartowników rumuńskiej gardy Pociągnęło to za sobą faworyzowanie przeze

*)). Uciekający używali przy tym białych płacht i mnie całej jego kompanii, bo Pryszczyk był

prześcieradeł ze szpitala. Mieli na sobie oczywiście koleżeński, dbał o swoich towarzyszy i upominał się o cywilne ubrania. Przedstawiali się potem polami i nich natarczywie przy każdej sposobności. Nie robię bezdrożami do miasta, szli do zorganizowanych przez siebie wyrzutów z tego powodu: same równe chłopaki nas placówek „ewakuacyjnych”, tam zostawiali przebyły w tej kompanii. Co zaś do owych planów ścieradła, otrzymywali przygotowane paszporty, dotyczących Pryszczyka, to chodziło mi o stanowisko pieniądze i bilety kolejowe i byli ekspediowani dalej, kierowcy samochodu pułkownika Porfirianu.

z wybranych przez nasz wywiad stacji kolejowych.

Porfirianu miał służbowo przydzieloną ogromną Poza tym masowe ucieczki stale zdarzały się przy brykę, Chevroletę, która w rękach rumuńskiego takich okazjach, jak przemarsz do łaźni miejskiej lub szofera psuła się nieustannie i przeważnie była w udział w pogrzebach żołnierzy zmarłych w obozie.

Z

remencie. Porfirianu wiedział, że nasz kierowca dałby uroczystości tego rodzaju wracała zwykle tylko sobie radę z jego landarą, ale bał się, że wyrwie przy połowa jej uczestników, mimo silnej straży pierwszej okazji, choćby mu przydać dwóch rumuńskiej, która miała pilnować, by nikt nie uciekł.

Rumunów, którzy by go pilnowali. Pewnie by mnie to Robiła się potem piekielna awantura., Porfirianu wszystko mało obchodziło, gdyby nie fakt, że zabraniał kąpeli i nie pozwalał na udział w Chevroleta miała z tyłu ogromny kufer-bagażnik.

pogrzebach, po czym szły do Bukaresztu skargi na

„niehumanitarne” traktowanie Polaków, ambasady: polska, W takim kufrze mógłby się doskonale zmieścić francuska i brytyjska interweniowały i wszystko człowiek, którego trzeba pewnie i bezpiecznie wracało do normalnego porządku rzeczy. Polscy do-wywieźć z obozu — myślałem. W takim kufrze można wódcy oddziałów wewnątrz obozu niecierpliwie przywieźć do obozu całą masę cywilnych ubrań...

czekali na kolejną kąpiel swoich ludzi lub kłócili się o PoiStanowiłem, że Pryszczyk zostanie kierowcą delegacje na pogrzeby swoich nieboszczyków.

pułkownika Porfirianu. Zaręczyłem, że nie ucieknie, Pamiętam, że gdy w jednym tygodniu zmarło aż

jak długo będzie pełnił te obowiązki. I Porfirianu trzech żołnierzy (co przy pięciotysięcznym stanie przyjął moje słowo...

obozu nie było znów tak nadzwyczajne, jakby się na Trudniejszą przeprawę miałem z samym pozór zdawało), jeden z oficerów, który spławił przy Pyszczykiem. Z początku nie chciał słyszeć o niczym tych okazjach większą partię swoich ludzi, podobnym.

powiedział. zacierając ręce:

— To po to mnie pan kapitan poratował, żebym

— No, wcale nieźle. Żeby tak co tydzień!

tu siedział? Te małpę rumuńskie będę woził, a prysnąć Ale Pyszczyk tylko pogardliwie się uśmiechał, nie mogę z powodu pana kapitana honorowego słowa?

gdy w jego obecności kto wspominał tego rodzaju No to gdzie sens?!

ucieczki.

Dał się wreszcie przekonać, ale zastrzegł sobie,

— To żaden fason — twierdził.

że co drugim pasażerem w bagażniku będzie jakiś jego Więcej uznania w jego oczach miały wyczyny kompan.

indywidualne.

Zgodziłem się. Cóż było robić?

Do takich należało „uprowadzenie” całego

— Pyszczyk, tylko bez lipy — powiedziałem.

oddziału — około stu dwudziestu ludzi — przez

— Nie zwiejecie bez mego pozwolenia, tak?

polskiego dowódcę, młodego oficera, który zresztą w Oburzył się.

swoim czasie (zapewne niezupełnie zdając sobie

— Co pan kapitan znowu?! To ja potrzebuję sprawę z tego, co robi) podpisał deklarację, że nie wariata z pana kapitana strugać,

opuści granic Rumunii. Otóż ten oficer, zgodnie z żęby Rumunów do 'wiatru wystawić?! Już jak ja będę regulaminem, prowadził swój oddział co rano na wrywał, to pan kapitan takie operę zobaczy, że no!

ćwiczenia. Bardzo się to podobało pułkownikowi Sportowem sposobem w butelkie jeich nabije, Porfirianu i wszystkim Rumunom, że choć jeden taki honorowo!

dowódca się znalazł, który wypełnia skrupulatnie ich Muszę przyznać, że dotrzymał tej obietnicy: zarządzenia. Nie wtajemniczeni Polacy dziwili się

„nabił Rumunów w butelkę” jak chyba nikt inny, choć znów żołnierzom, że im się chce na te ćwiczenia cho-nie brakło naprawdę dobrych pomysłów przy dzieć, bo nikt poza owym oddziałem nie ćwiczył. Ale organizowaniu pojedynczych i masowych ucieczek z po dwóch tygodniach plac musztry zaczęto plantować obozów. „Nabił” ich „sportowo” 1 rzeczywiście była pod boisko sportowe i oddział nie miał gdzie to „opera” pierwszej klasy. Przejdzie ona zapewne ćwiczyć... Więc obowiązkowy dowódcą, niewiele jeżeli już nie do historii, to w każdym razie do myśląc, z pieśnią na ustach wy-maszerował na czele Zameldował się służbiście u Porfirianu, którego! omal oddziału za bramę, na łąki. Posterunek, widząc zwartą krew nie zalała, i wyjaśnił spokojnie, że] jego oddział

kompanię, nie protestował, tym bardziej że przy nie chciał się ani rusz zatrzymać w marszu.

bramie stał Porfirianu i przyglądał się z zadowoleniem

—No, a pan pułkownik rozumie, że przecież nie dziarskiej postawie maszerujących żołnierzy. Stał i mogłem opuścić moich żołnierzy. Mu-j siałem przyglądał się jeszcze, jak porucznik ćwiczył na łące ich gonić i goniłem do końca. Zatrzyma-! łem się

„czwórki w lewo zwrot” i „dwuszereg w prawo front”, dopiero na samej granicy, ale... ja podpisałem tę a potem potrzęsnał głową z uznaniem i poszedł do nieszczęsną deklarację, panie pułkowniku.

swojej kancelarii. Porucznik zaś zakomenderował raz Gdyby nie to...

jeszcze „czwórki w prawo zwrot”, potem, wcale nie

—Gdyby nie to, to co?! — wrzasnął Porfirianu.

przepisowo: „kierunek za mną” i — „marsz!”

Porucznik wyprostował się, trzasnął obcasami i Pomaszerowali przez łąkę, weszli na drogę, rzekł:

minęli miasto, wykręcili na szosę i... po dziewiętnastu

— Melduję posłusznie, że goniłbym ich aż do godzinach znaleźli się w Turnu-Seve-rin, tuż obok Francji.

jugosłowiańskiej granicy...

Wszystkie wyżej opowiedziane sposoby „wiania”

Nie potrzebuję chyba dodawać, że nikt z muszą jednak zblednąć przy bezczelnej ucieczce żołnierzy nie wrócił do Targu-Jiu — pojechali gładko Pyszczyka. Ta właśnie bezczelność w połączeniu z do Francji, bo nasze placówki ewakuacyjne w Tumu naiwnością środków, którymi się Pyszczyk przy Severin działały bardzo sprawnie...

reżyserii swojej ucieczki posłużył, najlepiej chyba go Przepraszam: wrócił porucznik, dowódca maluje. Bo Pyszczyk wiał lub, ściślej mówiąc, oddziału. Wrócił via Bukareszt, gdzie przez trzy dni wychodził z obozu w mundurze, razem z trzema bawił się jak król, pił i używał życia.

swymi najbliższymi kompaniami, na oczach rumuńskich oficerów, komendanta gardy i posterunków, które ustąpiły mu z drogi. Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że Pyszczyk ucieka. Nikt go nie zatrzymał. Nikt nie zaprotestował.

Niewątpliwie pierwowzorem dla planu Pyszczyka stało się powyżej opisane uprowadzenie z obozu całego oddziału przez jego dowódcę.

Pamiętam, że Pyszczyk wtedy wyrażał się nader pochlebnie o owym poruczniku.

— Bardzo analogicznie wykompinowane —

orzekł i zamyśliwszy się głęboko, zamilkł na dłuższą chwilę, co mu się zdarzało tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach.

Nie wiem, czy już wtedy ułożył swój plan czy dopiero później, w każdym jednak razie musiał

działać w sposób bardziej skomplikowany i w okolicznościach mniej sprzyjających, bo w okresie przejściowego pogorszenia się stosunków z Rumunami.

Stało się to w trzy miesiące po mianowaniu Pyszczyka kierowcą wozu pułkownika Porfirianu.

Pyszczyk pewnego dnia przyszedł do mnie bardzo zafrasowany i zaczął rozmowę o pogodzie. Że się wiosna robi i śniegu prawie nie ma, tudzież że takiego błota w życiu swoim nie widział. Potem poinformował mnie jeszcze, że takie wiosenne powietrze jest bardzo zdradliwe, bo gdy zaś zrozumiałem wreszcie, nie mogłem

„rematyz w nim siedzi i człowieka łapie”, a on, powstrzymać uśmiechu.

Pyszczyk, okropnie do „rematyzu” jest skłonny.

Pyszczyk i jego trzej koleżkowie „mierzyli”

Wiedziałem już, dokąd ta rozmowa zmierza, więc drogę, używając do tego celu tyczki z długim na

zapytałem wprost, o co mu chodzi.

dwadzieścia metrów sznurkiem, na którego końcu

—Mnie?! — zdumiał się, podnosząc wysoko brwi uwiązany był srebrny kieszonkowy zegarek i marszcząc czoło. — Nic podobnego, panie Królikowskiego. Ten ostatni wbijał tyczkę pośrodku kapitanie. Wcale w zupełności o nic mi nie drogi, Bizun rozciągał sznur, ten z Czerniakowskiej chodzi, tylko... tu jeden by się nadał na moje opuszczał w dół koniec sznura z zegarkiem, miejsce, niby za szofera do pana pułkownika odgrywającym rolę ciężarka u pionu. Pryszczyk zaś Porfiriana, więc przyszedłem, żeby mnie pan najpierw sprawdzał, czy sznur jest wyciągnięty kapitan puścił.

równoległe do rowu, potem stawał za Królikowskim,

—Pewnie już wszystkich swoich chłopaków poprawiał tykę i wreszcie ganiał do mieszkańca wywieźliście, więc teraz sami chcecie bryknąć, Czerniakowskiej, z namaszczeniem brał zwisający tak?

zegarek do ręki, patrzył, która godzina, potrząsał

Powiedział, że „nic podobnego”, ale właściwie głową, notował coś w zeszycie i przyzywał Królikow-

„faktycznie”, bo tylko Królikoszczak, Maniek Bizun i skiego z tyką, żeby ją wbić nieco dalej.

jeszcze jeden koleżka z Czerniakowskiej z nim zostali.

Porfirianu wymanewrował rozmowę na sprawę

— A co my z panem pułkownikiem Porfirianem jakiegoś przyjęcia w rumuńskim kasynie, na które sto dwadzieścia sztuk wywieźli, to wywieźli, może mnie zapraszał. Odpowiedziałem, że przyjdę i dałem nie?

już spokój deskom: siedziałem jak na szpilkach, Świdrował mnie oczyma, drapał się za uchem i rzucając ukradkiem spojrzenia przez okno i z bijącym widać było, że tak czy inaczej dłużej go tu nie sercem czekałem, co będzie dalej.

utrzymam, więc musiałem się zgodzić. Zastrzegłem Trzeba było jednak rozmawiać, żeby nie sobie tylko parę dni na formalne załatwienie sprawy wzbudzić podejrzeń Porfirianu. Zapytałem więc, aby zmiany kierowcy.

tylko oos powiedzieć, kto weźmie udział w Jakoś to tam wykręciłem i rzeczywiście w dwa uroczystości i co będzie do jedzenia, a on skwapliwie dni później już nowy szofer prowadził Chevroletę podjął ten temat.

pułkownika Porfirianu. Pryszczyk zaś — ku memu Tymczasem kilku oficerów i podoficerów,

zdmieniu — z zapalem wziął się do pracy przy wygrzewających się na słońcu przed

kopaniu rowu odwadniającego wzdłuż głównej ulicy barakiem rumuńskiej komendy obozu, podeszło bliżej obozu, choć nikt go o to nie prosił.

ku drodze, pewnie żeby popatrzeć na inżynierskie poczynania Pryszczyka, który dotarł właśnie do bramy, Zobaczyłem go przy tej robocie także nazajutrz i strzeżonej przez sentinelę i dyżurnego plutoniera.

jeszcze bardziej mnie to zaintrygowało, ale nie miałem Plutonier stał na suchej wysepce wśród fantastycznego czasu się tym zajmować. Zauważyłem tylko, że błota i gapił się na obłoki, oparty plecami o poprzeczną Pryszczyk zdążył już objąć kierownictwo nad belkę wrót, gęsto pokratowanych kolczastym drutem.

kopiącymi. Dyrygował nie tylko Królikowskim, Pomyślałem, że Pryszczyk nie wziął pod uwagę takich Bizunem i tym trzecim z Czerniakowskiej, ale również okoliczności, że się przeliczył, że zaraz zacznie się innymi. Gadał jak nakręcony, krytykował, poprawiał i awantura, albo że w -tym wszystkim kryją się nie znane

„był za dyrektora”, czyniąc wiele hałasu i ruchu dokoła mi jeszcze sprężyny, które lada chwila zaczną działać: swojej osoby.

zapalą się baraki, gdzieś na drugim końcu obozu? .cię-

Następnego dnia miałem kilka spraw do żarowy samochód z prowiantem wpadnie na słup i omówienia z Porfirianu. Siedziałem w jego kancelarii, rozwali bramę? jakiś alarm odwróci uwagę której okna wychodziły na bramę i ową wewnętrzną Rumunów?...

ulicę obozu, gdzie właśnie ukończono kopanie rowu.

Nic podobnego nie nastąpiło. Nie było żadnych Rozmowa z pułkownikiem szła dość gładko. Chodziło ukrytych sprężyn.

jeszcze tylko o jakieś deski, które mieliśmy dostać jak W chwili gdy Porfirianu zaczął opisywać sposób zwykle imediat i których wydanie magazynier przyprawiania tsujki na gorąco, Pryszczyk zawołał

codziennie odkładał, obiecując, że myjne dimi-nata głośno od swojej tyki:

będą już na pewno. Zdaje się, że do spółki z

— E! Domnul plutonier! — i wymownym pułkownikiem cichaczem sprzedali te deski, bo gestem kazał mu się odsunąć na bok.

Porfirianu wykręcał się od tematu jak piskorz. Ja zaś Podoficer zawahał się: błota było po kostki...

chciałem mieć deski jak najprędzej i przemyślałem Będzie wsypa — pomyślałem. — Jest ich właśnie, jak to osiągnąć, gdy nagle mój wzrok, czterech przeciw całej gardzie, są oficerowie...

szukając natchnienia za oknem, padł na rozgrywającą Przesolił chłopak; to się nie może udać... Plutonier się tam scenę.

zaraz go zaaresztuje.

Nie od razu zrozumiałem, o co właściwie chodzi,

— No już: wytyki do Ameryki — przynaglił go rezolutnie Pryszczyk, przystępując do tajemniczych Gdy — ciągle celebrując z tyką, sznurkiem i praktyk z zegarkiem.

zegarkiem — oddalił się poza zasięg mego wzroku, Podoficer jeszcze się wahał, ale wtem jeden z ogarnął mnie jednak niepokój ' i nieprzeparta rumuńskich oficerów huknął na niego ostro, żeby nie ciekawość: co będzie dalej? Nie pozwolą im przeszkadzać Polakom w robocie. Pryszczyk sprężyście przecież w ten sposób po prostu odejść do miasta?!

zasalutował i uśmiechnął się w stronę oficera. Potem Zawrócą ich z drogi; zapyta-ją, co to ma znaczyć; zmierzył bramę w poprzek, wezwał gapiowatego zatrzymają...

plutoniera do pomocy, otworzył wrota i zaczął

Oczekiwałem, że lada chwila wybuchnie sprawdzać pionowe ich zawieszenie. Spoglądał raz po strzelanina, rwetes, awantura, i coraz mniej dorzecznie raz na zegarek, to znów zawieszał go na sznurku, odpowiadałem na pytania Porfirianu. Zdaje się, że wiercił się z tyką tu i tam, drapał się końcem ołówka za wreszcie zauważył moje roztargnienie i poczuł się uchem, liczył, pisał, marszczył się i w ogóle był ważny trochę dotknięty. Spojrzał przez okno, a ja spojrzałem jak przysięgły geometra. Wreszcie z zadowoleniem także w tę stronę z obawą, nie mogąc ukryć potrząsnął głową i zaczął mierzyć dalej, ale już poza zmieszania.

bramą...

Ale za oknem wszystko było jak zwykle: Wracał jeszcze dwa razy do wewnątrz; liczył

plutonier wycierał sobie buty wiechciem słomy, słupy ogrodzenia, złościł się to na Królikowskiego-, to opierając kolejno nogi, ubabrane błotem po kostki, o na Bizuna, roztrącał pętających się gapiów i tak był

poprzeczną belkę bramy; sentinela przechadzał się przejęty widoczną wagą spełnianych zadań, że każdy wolno tam i z powrotem po drugiej stronie drutów z mu ustępował z drogi. Grał swoją rolę doskonale, z karabinem na sznurku przewieszonym przez ramię; prawdziwie aktorskim temperamentem i z iście oficerowie siedzieli na ławce nad rowem, pałac warszawską fantazją.

papierosy.

Odetchnąłem. Powiedziałem coś o bólu głowy, żeby się usprawiedliwić i podziękowałem za uprzejmie ofiarowane mi miejsce w Chewrolecie, którą pułkownik miał wkrótce pojechać do miasta.

— Pójdę pieszo. Spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi.

Wyszedłem spiesznie i skinąwszy głową plutonierowi, który mnie dobrze znał, minąłem bramę.

Zobaczyłem czterech „geometrów” o dobre pięćset kroków od niej, mierzących dalej: drogę. Ruszyłem ku nim szybko — za chwilę miał tędy jechać Porfirianu.

Już po minucie przekonałem się, że nie zdążę: za mną warczał samochód.

Byłem wściekły na siebie. Czemu nie pojechałem z pułkownikiem? Mógłbym opóźnić jego wyjazd; mógłbym zająć go rozmową; od-wrócić jego uwagę mijając zbiegów...

Może się zatrzyma i raz jeszcze zaproponuje mi, że mnie odwiezie — pomyślałem.

Ale Chevroleta minęła mnie szybko. Porfirianu spoglądał w inną stronę i wcale mnie nie zauważył.

Stanąłem i patrzyłem.

Zaraz się to skończy...

Samochód rwał ku miastu. Zaryczał klakson.

Pryszczyk i jego towarzysze usunęli się-na bok ze swoimi przyrządami mierniczymi

Kierowca zwolnił. Cztery postacie w mundurach wyprężyły się na baczność, salutując. W otwartym oknie mignął rękaw płaszcza z naszywkami pułkownika. Porfirianu odsalutował niedbale i —

pojechał dalej!

Nie tu jest jednak koniec Pryszczykowej przygody; bo oto, gdy nazajutrz przyjechałem jak zwykle rano do obozu, pierwszym interesantem, który zameldował się w moim biurze, był Pryszczyk.

Zapukał do drzwi, wszedł i — trzasnąwszy wściekle obcasami — stanął przede mną z chmurnym i zaciętym obliczem.

W pierwszej chwili pomyślałem, że go złapali w drodze, którą miał odbyć wraz ze swymi kompanami przez Tumu Severin. Ale Pryszczyk powiedział, że

„nic podobnego”.

—Więc co się stało? Gdzie są tamci: Bizun i Królikowski, i ten... jakże mu tam?

—Pojechali — oświadczył 2 goryczą. — Za żydowskimi paszportami ich wysłali, panie kapitanie.

Niby że do Palestyny za emigrantów jadą...

—No, a wy?

Skrzywił się niemiłosiernie. (To miał być uśmiech zakłopotania).

—Te tyczkie i śpagat odniosłem, panie kapitanie, żeby posądzenia nie było — zaczął, jak zwykle, bałamutnie i od końca.

—Jaką znów tyczkę?

—No te, cośmy drogie mierzyli. Jak raz trzech wracało ze santinelem, co po pocztę chodzą, to się przyłączyłem, a plutonier wcale nie poznał, że to nie jest Bizun i Królikoszczak, i ten trzeci koleżka; owszem, bardzo grzecznie sanatate mi powiedział, no i jestem z powrotem nazad w obozie.

—Ale dlaczego nie pojechaliście z nimi?! —

zapytałem z naciskiem. — Rozmyśliliście się, czy jak? Zostajecie tu? Nie chcecie już jechać do Francji?

Obraził się: jak to? On miałby tu zostać?

— Nic podobnego, panie kapitanie! Tylko ten paszport...

Co za paszport?

Wyciągnął złożony w czworo arkusz z ko-kieteryjną fotografią, zrobioną jeszcze w Bukareszcie: smoking, krawat jak postronek i narciarska koszula w kratkę. Podał mi go z rezygnacją.

— Za tern paszportem miałem jechać, panie Polaków.

kapitanie? — zapytał z gryzącą ironią.

.. Tego dnia generał osobiście chodził po barakach, Rozłożyłem dokument i czytałem: Izydor Pupko.

złościł się krzyczał na żołnierzy; wymyślał adiutantom, Urodzony dnia... miesiąca... roku... w Lidzie.

kłócił się z pułkownikiem Porfirianu i wyładowywał

Wyznanie: mojżeszowe. Zawód: pachciarz... itd.

swój. gniew, na zaczerwienionych gębach santineeli, Pryszczyk mówił dalej ze szczerym rozżaleniem: okładając je siarczystymi policzkami.

— Przecież, panie kapitanie, jak ja bym za I właśnie w takiej chwili Pryszczyk, pachciarza Pupka się przedstawił, to już koniec...

najnieudolniej jak to sobie można wyobrazić — „bez Takie nazwisko to nawet Żyda może zgniewać. I to pojęcia i talentu” — spróbował przemknąć się w jest faktycznie świństwo, coś takiego wykompimować cywilnym ubraniu przez bramę, przy której stoły

— Pupko! Dopieroż by się chłopaki ze mnie nabijali!

zdwojone posterunki...

To co miałem robić? Wziłem ten paszport i Naturalnie złapano go i odstawiono przed groźne przyszedłem tu nazad z powrotem, żeby mnie pan oblicze generała. Ten ostatni spioruno-wał go kapitan nie dał tak poniewierać.

wzrokiem i zapytał, co to ma znaczyć.

Żal mi się go zrobiło. Pomyślałem bezstronnie,

— Ja, panie generale, jestem refugiat —

że i mnie pewnie by nieprzyjemnie było nosić taki oświadczył rezolutnie Pryszczyk — mechanik z pseudonim.

cywila. Szukam roboty. Myślałem, że może tu by mnie pan generał zatrudnił...

— No więc jak chcecie się nazywać? —

Generał się zirytował: co za bezczelność! W

zapytałem rzeczowo.

Rumunii dość jest bezrobotnych Rumunów, a on ma tu Pryszczyk rozpogodził się w mgnieniu oka.

zatrudniać polskich przybłądów? Refugiatów?!

— Paderewski Ignacy, melduję posłusznie, panie

— Wyrzucić go za bramę! — rozkazał. — Kto kapitanie — wypalił bez namysłu.

go tu wpuścił za druty bez przepustki? Tacy właśnie Długo musiałem mu tłumaczyć, że choć Rumuni przemycają zakazane gazety, alkohol, cywilne z drudem rozróżniają polskie nazwiska, to jednak ubrania, paszporty. Komendant warty — do raportu!

Paderewskiego poniektóry pamięta. Zgodził się Posterunki — do paki!

wreszcie na Korzeniowskiego, pod warunkiem, że Ignacy będzie mu na imię, a co do fachu — to już Rumuński podoficer niebacznie chciał coś może być mechanik, nie koniecznie inżynier.

wytłumaczyć i natychmiast dostał w pysk. Porfirianu

— No, a jak się stąd wydostaniecie? — za-spojrzał uważnie na „rzemieślnika, poznał go, zdaje pytałem po uzgodnieniu tych personaliów, które sobie się, mimo cywilnego przebrania i już otwierał usta, zanotowałem, aby mu nazajutrz dostarczyć paszport żeby się wtrącić w tę sprawę, gdy generał wpadł nań z wprost do rąk własnych, w obozie.

całym impetem:

— Okazyjnie — odrzekł. — Już ja sobie

— To także pańska wina, Porfirianu! Pan za to poradzę. Tylko jakieś cywilne łachy mi pan kapitan odpowie! Za takie stosunki! Za łapówki!

każe dać, to się sposobność zdarzy.

Za wszystko!

Sposobność zdarzyła się w czasie inspekcji Porfirianu zawahał się. Nagle oczy błysnęły mu dokonanej przez generała Oprescu. Działo się to —

chytrze. Trącił mnie w bok i mrugnął na mnie jak już wspomniałem — w okresie czasowego porozumiewawczo, wskazując ruchem głowy generała, pogorszenia się naszych stosunków z Rumunami, a potem Pryszczyka.

podczas wzmożonej kontroli i surowego

—Idiot — powiedział półgłosem. — Il s'enfuira, przestrzegania przepisów przez ich władze wojskowe.

ce.

Okresy takie trwały po parę tygodni, mijały i

—Za bramę tego refugiata, powiedziałem!—

następowały znowu. Wtedy właśnie (w początkach wrzasnął Oprescu. — Natychmiast!

nieprzychylnej dla nas koniunktury) odbywały się Rozkaz spełniono *T* pośpiechem. Domniemany inspekcje, zbiórki, apele, po czym sypały się dotkliwie refugiat pomknął do miasta, generał zaś poszedł dalej kary na wartowników, podoficerów i oficerów zaprowadzać porządek i dyscyplinę, które miały rumuńskich, którzy nie dość sumiennie pilnowali zapobiec ucieczkom.

W drodze do Frameil

Mój wyjazd z Targu-Jiu odbył się z wielką pompą, według wszelkich prawideł rumuńskiej sztuki

reprezentacyjnej. Była więc pożegnalna kolacja w rumuńskim kasynie; Porfirianu wygłosił mowę, z której jasno wynikało, że jeśli po wojnie Polska i Rumunia nawiążą serdeczne stosunki sąsiedzkie, to prawie wyłącznie dzięki mojej działalności w obozie; była delegacja rumuńska na dworcu kolejowym, był wreszcie adres dziękczynny Straja Tsari... Bardziej wzruszyło mnie jednak skromne przyjęcie w polskiej świetlicy obozu i mocne uściski dłoni żołnierzy, którzy od początku pracowali ze mną, oraz powściągliwe słowa uznania OTonovana, prezesa Polish Relief Found, z którego wypom-powałem te miliony lei na wszystko, co w obozie trzeba było zrobić.

W Bukareszcie miałem zostać tylko trzy dni, to jest tyle, ile trzeba było na załatwienie formalności przed wyjazdem do Francji. Ale siedziałem dłużej, ponieważ przeznaczono mnie do „wielkich zadań” na miejscu. -

Niestety, nie mogę jeszcze zdradzić, jakie to były zadania, choć mam na to szaloną ochotę.

Byłby to najzabawniejszy rozdział tej książki, jeśli pominąć głębszy sens całej sprawy.

Nieudolność, naiwność i głupota łączyły się w niej z takim komizmem sytuacji, rozmów i nieoczekiwanych pomysłów, że trzeba było albo powiesić się z rozpacz, albo śmiać się do rozpuku.

Wybrałem to drugie, ale nie mogłem długo wytrzymać i w pierwszych dniach maja 1940 roku zbuntowałem się ostatecznie. Oświadczyłem, że jako lotnik podlegam kompetencji władz lotniczych, które od dawna wzywają mnie do Paryża, że nie będę nadal brał udziału w hecy traktowanej na serio tylko przez autora tego bzdurnego pomysłu i — rozstawszy się w gniewie z dygnitarzem, który mnie usiłował jeszcze zatrzymać — poszedłem zameldować się w eks-pozyturze lotniczej na sąsiedniej ulicy.

Tu wrzała praca, i to praca realna: tysiące lotników, mechaników, pilotów, obserwatorów, strzelców, „emigrowało” do Francji. Trzeba było zaopatrywać ich w dokumenty, ubierać, żywić, kwaterować i organizować transporty, które szły kilkoma drogami na zachód.

W gwarze i ścisku odnalazłem mnóstwo kolegów i znajomych, a między innymi także Zygmunta, którego straciłem z oczu jeszcze w Sarighiolu w Dobrudży. Naturalnie poszliśmy razem „wypić obiad”

i postanowiliśmy razem jechać do Francji.

Zygmunt przyjechał do Bukaresztu z Ro-siori-deVede, gdzie pokutował kilka miesięcy w oficerskim obozie jako adiutant polskiego komendanta. Wyrwał

stamtąd przed paru dniami taksówką i konspirował się w stolicy, oczekując, że lada chwila go przymkna.

Mimo to dał się namówić na pójście do pierwszorzędnej restauracji i nawet potem poszedł ze mną do „Nestora” na kawę. Nie chciał tylko przenieść się do lepszego hotelu i wrócił na noc do jakiejś nory, w której mieszkał bez paszportu, za wysoką opłatą.

Nazajutrz załatwiliśmy resztę wiz, dostaliśmy rozkazy, marszrutę, bilety, pieniądze i — żegnaj, Rumunio!

Ten ostatni retoryczny okrzyk podkreśliło ileś tam butelek wina, po czym... po czym oddaję głos Zygmunтови. Oto fragmenty jego dziennika podróży.

DZIENNIK ZYGMUNTA W.

Bukareszt, 9 maja 1940. Dano nam do wyboru trasę lądową i morską. Lądową przez Belgrad i Mediolan, a morską

przez Morze Czarne i Śródziemne. Naturalnie, ze względów turystycznych, wybraliśmy tę ostatnią.

Mundur i stare portki oddałem w amba-sadzie. Nie chciałem tego robić, ale powiedziano mi, że te rzeczy zawiezie kurier do Paryża; nie mogłem sobie odmówić takiej przyjemności. Bo niewątpliwie przyjemna jest świadomość, że dyplomatyczny kurier wali z Bukaresztu przez Jugosławię i Włochy do Paryża, wioząc moje stare portki.

Niech jadą spokojnie i bezpiecznie. Wydam odpowiednie rozkazy, aby nie zamykano ich w dyplomatycznym kufrze. Niech się przyjrzą cudownym pejzażom wiosennej Rumunii, niech kwiatów Jugosławii owionie je zapach, niech się nasycą gorącym słońcem Italii...

Bukareszt, 10 maja 1940.

Nie wiem, czy portki już pojechały, ale zapewne czują się bezpieczniej niż ja. Muszę siedzieć w hotelu, bo na ulicach włóczy się coraz więcej żandarmów. Przysłano ich specjalnie po to, żeby wyłapali zbiegów. Trzeba się będzie przenieść na przedmieście. W dużym hotelu w każdej chwili oczekuję obławy. Nawet w tak skromnym wydaniu jak moje, denerwujące jest życie „mr Flow, człowieka o stu twarzach”...

Konstanca, 14 maja 1940.

Wczoraj o godzinie 0.25 wyjechaliśmy z Gard de Nord i po siedmiogodzinnej podróży przybyliśmy do Konstancy, głównego rumuń-

skiego portu nad Morzem Czarnym. Odpływamy jutro statkiem „Transylwania”.

Pogoda okropna: deszcz i wicher. Morze wzburzone. Dla dodania sobie odwagi postanowiliśmy urządzić się wieczorem. Przyszło to nam bez żadnych trudności. Około pierwszej po pół-

nocy zasnęliśmy w zimnym pokoiku nędznego hotelu „Modernę”.

Konstanca, 15 maja 1940.

Tutejsza placówka konsularna organizuje masowe transporty morskie, liczące od stu do tysiąca osób. Trudno zakonspirować tłum żoł-

nierzy oczekujących na statki. Język polski słyszy się wszędzie, a ubiór — kurteczka i cyklistówka — zdradzają naszych od razu. Jeżeli nie ma aresztowań masowych, to tylko dlatego, że cała morskiej chorobie. Z tym zamiarem, idąc na przystań, policja i żandarmeria rumuńska zostały przekupione.

wstąpiliśmy z Herbertem do baru; i wypiliśmy butelkę I tak nie zawsze idzie ta ewakuacja gładko.

rumu pod turecki pieprz. Jesteśmy w dobrym nastroju Zmiana urzędników policyjnych i celnych, jakiś i teraz wszystko się nam szalenie podoba.

komendant służbista, a nawet kapitan statku, O godzinie 23 syrena grubym basem ryknęła trzy niejednokrotnie robią trudności.

razy. Wciągnięto pomosty, dało się odczuć lekką Jeżeli chodzi o agentów niemieckich, to nasz wibrację maszyn i granitowy brzeg morskiego dworca konsulatu, naturalnie w porozumieniu z Rumunami, zaczął się wolno odsuwać od burty naszego statku...

sporządza listy transportów operując tylko imionami: (Zdaje się, że tak powinno się pisać o odjeździe w Icek, Abraham, Mojżesz, Srul... Niemcy są zupełnie daleką podróż).

przekonani, że tysiące obywateli polskich Tysiące świateł Konstancy oddalało się coraz wyjeżdżających z Konstancy są wyłącznie bardziej i bardziej. Po godzinie zaledwie kilka jeszcze osadnikami, którzy udają się do Palestyny.

było widać, i to coraz słabiej, aż wreszcie zgasły Spodziewałem się wszystkiego, ale żebym jako zupełnie. Byliśmy na pełnym morzu.

Abraham Szpilman przez Morze Czarne płynął do Poszedłem na dziób statku. W górze było Bejrutu...

ciemno, a za burtą czarno. Kołysało wciąż silniej.

Zgodnie z rozkazem napisałem dziś list do Czuję, że coraz niżej się zapadam i coraz wyżej komendanta obozu w Rosiori-de-Vede tej treści: wznoszę. Było bardzo poetycznie i gdybym się nie *Uważam za swój obowiązek przeprosić Pana* bał, że upadnę — ramiona skrzyżowałbym na *Kapitana za wydalenie się z obozu, bez Pana wiedzy i piersiach...*

zgody. Udaję się do Francji, by wziąć czynny udział w Na kolację zjadłem befsztyk po angielsku: wolę walce o oswobodzenie mojej Ojczyzny. Wierzę w to i rzygać befsztykiem niż biskoptem; to jest bardziej po przypuszczam, że Pan także wiarę moją podziela, iż męsku.

walczyć będę również o zachowanie niepodległości Rumunii, pańskiej Ojczyzny.

Konstantynopol, 17 maja 1940.

Jeżeli wrócę do Kraju, niezwłocznie nadeślę swój adres, aby na pierwsze żądanie władz rumuńskich Po kilku godzinach pobytu w mieście, wró-

stawić się do ich dyspozycji. Zechce Pan itd.

ciliśmy na statek przed wieczorem. Za chwilę Miałem ochotę dopisać: „Pocałuj mnie w d..., ruszamy w dalszą drogę, przez morze Marmara do łobuzie", ale ponieważ rozkaz nie przewidywał

Grecji.

takiego postscriptum, z wielkim żalem dałem spokój.

Do Bosforu wpłynęliśmy rano. Po obu stronach wąskiej cieśniny wznosiły się wysokie, zalesione wzgórza. Rozsiane na nich białe pałacyki wyglądały Na Morzu Czarnym, 16 maja 1940.

jak piękna dekoracja w teatrze, Wrażenie to Wczoraj około godziny szóstej wieczorem potęgowały białe, wysokie, szpiczaste wieżyczki weszliśmy na pokład „Transylwanii", największego minaretów i prawie czarne, wy-i smukłe cyprysy.

statku rumuńskiej floty handlowej. Przydzielono nam Mijamy marmurowy pałac prezydenta Turcji, Kemala (naturalnie razem z Herbertem) dwuosobową kajutę I Paszy; potem wille i pałacyki zaczynają ustępować klasy. Kajuta jest bardzo elegancka. Ma jasnożółte miejsca wielkim blokom miejskich budynków, fabryk, obicia, pomarańczową kanapkę, wygodne łóżka, składów i wreszcie z daleka widać przystań portową lustra, mahoniowe szafy, kotary, firaneczki i dywany.

Istambułu.

Porcelanowy nocnik w pastelowe kwiatki harmonizuje Podpływa ku nam łódź motorowa z policją.

kolorem i stylem z całością wnętrza.

Spuszczają trapy, kilku cywilów i kilku po-, licjantów Zalecono nam koniecznie wypić przed podróżą wchodzi na pokład.

szklaneczkę czerwonego wina i zjeść parę

— Będą nas rewidować — powiada jakiś biszkoptów. Ma to być dobry środek przeciw oblatany chłopak spośród naszych żołnierzy.

Na przystani oczekiwał na nasz transport; polski attache wojskowy, a na mnie i Herber-ta— mój szwagier.

Mieliśmy przy sobie trochę prezentów żyw-nościowych: ja — salami i cukierki, Herbert — gęs i czekoladki. Oddając Herbertowi gęs do przeszwareowania przez kontrolę celną, pożegnałem się z nią już na zawsze: wiedziałem, że nic z tego nie będzie, Herbert szedł drobnymi kroczkami, ręce przycisnął do spodni i czerwony był jak burak.

Gdybym nawet nie wiedział, co ma między nogami, to przysięgłbym, że gęs!

Turek kiwnął palcem i coś powiedział po turecku (przypuszczalnie: „Oddaj gęś”), Herbert ją oddał i pojechaliśmy taksówką do mego szwagra.

Przedstawiono nas tegoż dnia konsulowi:

— Panowie uciekinierzy z Rumunii.

Mało mnie krew nie zalała: uciekinierzy!

— Nie, proszę pana, my nie jesteśmy uciekinierzy. Uciekały pułkownicy, generały, sztaby, naczelne wodze, emeszety, ale my nie! Lataliśmy, póki były samoloty, a gdy ich nie stało — pojechaliśmy do Rumunii „montować angielskie”. To nie nasza wina, że tych angielskich nie było...

Szkoda, że tak krótko zatrzymaliśmy się w Konstantynopolu. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się miastu. Herbert zdążył przyjrzeć się Turczynkom i mówi, iż miał rację Mahomet, że kazał im pozasłaniać buziaki.

Przed chwilą syrena ryknęła trzy razy, wciągnięto pomosty, dała się odczuć lekka wibracja maszyn itd.

P.S. Na żądanie Herberta umieszczam poniższe jego sprostowanie: *Nieprawdą jest, że przemyciałem gęś między nogami i że przyglądałem się Turczynkom.*

Natomiast prawdą jest, że Zygmunt dobrowolnie oddał

gęś Turkowi oraz że zaglądał Turczynkom pod czarczafy, za co omal nie dostał po mordzie.

Ja jednak obstaję przy swojej wersji.

Na Morzu Egejskim, 18 maja 1940.

Rano przybyliśmy do Pireusu. Jest niemal upalnie, słonecznie i bardzo zielono. W porcie wielki ruch. Setki małych i wielkich statków u wybrzeża; tysiączne tłumy „pireusiaków” na lądzie. Oblegają nas przekupnie z koszami owoców. Zabieramy na pokład kilku Żydów udających się do Hajfy, kilku Greków do Kairu i kilka ładniutkich tancerek, podróżujących z portu do portu.

O godzinie 13 podpłynął do nas mały stateczek-pilot. Pisnął cienko, myśmy ryknęli grubo, wciągnięto pomosty, dała się odczuć lekka wibracja maszyn itd.

Płyniemy wprost na południe. Za kilka godzin z prawej burty ukaże się „kolebka rodu ludzkiego”, Kreta.

Herbert jest bardzo dumny: z szyldów ulicznych w Pireusie nauczył się kilku słów po grecku, a mianowicie: hotel, Philips i koniak, Ma chłopak zdolności do języków!

Na Morzu Śródziemnym, 19 maja 1940.

Jesteśmy w połowie drogi do Aleksandrii.

Horyzont zupełnie pusty. Od wczoraj wieczór spotkaliśmy tylko jeden transportowiec egipski „Cairo City”. Morze jest lekko wzburzone. Na razie nas to bawi: chodząc zataczamy się jak pijani.

Herbert zatacza coraz bliższe kręgi koło lewantyńskich tancerek. Mówi, że „wyregulowałyby je wszystkie”. Z niewiarą odnoszę się do tej regulacji: na pewno jedną by poklepał, drugą uszczypnął, a trzecią może by nawet ugryzł...

Chociaż właściwie mogłoby się stać inaczej: pewnie pierwszą by ugryzł, a trzecią poklepał.

Wieczorem wpływamy na wody terytorialne Egiptu. Na przedni maszt wciągnięto zieloną flagę z białym półksiężycem. Z daleka widać niski piaszczysty brzeg i tysiące szarych domów Aleksandrii. Jest wściekle gorąco i taki blask, że mrużymy oczy.

Aleksandria, 20 maja 1940.

Stoimy w porcie i z daleka patrzymy na miasto, bo nie honorują tu naszych polskich paszportów, na co Herbert strasznie się oburza.

Jest w ogóle wściekły i zawiedziony: lewantyńskie tancerki wysiadły nie wyregulowane... Kiedy go spytałem, dość głupio zresztą, dokąd idzie z papierkiem w rękę i bez szelek, odburknął: — Na...ać na Egipt.

O godzinie 18 dała się odczuć lekka wibracja maszyn i piaszczysty brzeg Aleksandrii zaczął wolno oddalać się od statku, zupełnie tak samo jak odalały się dotąd brzegi kamienne.

Teraz zapada noc. Statek płynie spokojnie.

Jest niemal widno. Płyniemy wzdłuż lądu, skąd dochodzą tony jakiejś egzotycznej melodii.

Lokujemy żołnierzy i wracamy we dwóch do Wiatr stamtąd jest suchy i gorący.

Bejrutu, aby zakwaterować się w hotelu „Europe” na Rue de Port. Co prawda z Europą niewiele ma ten hotel wspólnego: wielka sala, podobna do podwórza Hajfa, 21 maja 1940.

czynszowego domu, oszklona na wysokości drugiego Nad ranem była burza, i to taka silna, że kapitan piętra, jest zarazem hallem, wokół którego w dwóch zdecydował się nie zawijać do Tel-Awi-wu jako do kondygnacjach bieżną galeryjki z wyjściami do po-zbyt niewygodnej i małej przystani. Wobec tego kojów. Pokoje są bez okien, podłogi z terakoty, a nad popłynęliśmy wprost do Hajfy, gdzie przybyliśmy w łózkami — baldachimy i siatki przeciw moskitom.

samo południe. Jest to nasz pierwszy port brytyjski.

Chcieliśmy jeszcze tego dnia rozpocząć Tłumnie zebrani „Anglicy” witają nas serdecznie zwiedzanie Bejrutu, ponieważ jednak zaczęliśmy od i hałaśliwie, po polsku, z pewnym, dobrze nam hotelowego baru, na nim się naturalnie skończyło.

znany akcentem. Krzyczą i, gestykulując z zapalem, Usługiwały nam jakieś „fakiry”, co Herberta z pokazują na migi, że Hitler będzie wisiał.

początku peszyło. Niedługo zresztą. Gdy pił pierwszy Około godziny szóstej wieczorem syrena naszego kieliszek, ręce mu się trzęsły z emocji, ale gdy statku ryknęła trzy razy, dała się odczuć iekka skończył pierwszą butelkę, drugą rozpoczął

wibracja itd.

bruderszaftem z najsympatyczniejszym „fakirem” Ben Pod ścianami portowych magazynów stali rzedem Alim, synem właściciela hotelu. Bardzo Herbertowi do robotnicy z rękami w kieszeniach. Za sztachetami serca przypadł ten „fakir”:

odgradzającymi port grupa żydowskich harcerzy

— G... jesteś, nie fakir, ty stary byku —

zegnała nas wesoło. Machali chusteczkami i z zapalem oświadczył. — Będę ci mówił: Alek, rozumiesz?

skandowali jakieś zdanie. Nie mogłem wyraźnie Potem zaczął się umawiać z Alkiem na jutro; dosłyszeć, ale zdaje się, że coś w tym rodzaju: Mają pójść na nargile... Ponieważ jestem zbyt

„Cześć! Cześć! — Makabi — Brześć!”

skromny, by wysłuchiwać takich projektów, poszedłem do pokoju wyłapać moskity.

Bejrut, 22 maja 1940.

Po dość burzliwej nocy nastał śliczny, słoneczny Bejrut, **23 maja 1940.**

ranek. Około południa ujrzeliśmy na horyzoncie góry Przez cały dzień zwiedzałem miasto. W dzielnicy Libanu; w dwie godziny później ukazały się u ich stóp europejskiej nie ma nic specjalnie godnego uwagi: białe budynki Bejrutu.

palmy, szerokie ulice, nowoczesne gmachy, wielkie Na przystani oczekiwał nas polski konsul i grupa sklepy — to wszystko. Za to stary Bejrut jest cudowny.

oficerów francuskich.

Z każdej uliczki, z każdego zaułka, zza każdego rogu Nadjechały samochody ciężarowe, na które odsłaniają się nowe, coraz piękniejsze widoki: mury i załadowało się nasze wojsko. Żołnierze

ciekawie murki, skarpy, filary, płaskie dachy, tarasy, przypatrują się wszystkiemu. Najwięcej interesują ich zakratowane okienka, ostre sienie, oślepiający blask egzotyczni koledzy: czarni Senegalczyki w słońca, egzotyczny tłum, zakwefione Arabki. (Herbert czerwonych portkach, drobni Indochinowie i Malaje o mówi, że to nic nie szkodzi...)

czarno malowanych zębach.

Długo siedziałem na wytartych schodkach Jedziemy piękną nadmorską szosą do koszar stromej, ocienionej uliczki. U jej wylotu, w jaskrawym odległych o trzy kilometry od miasta. Mijamy słońcu, otwierał się widok na wysadzoną palmami pomarańczowe gaje, grupy prześlicznych palm, nadmorską aleję. Wysokie czekoladowe pnie rysowały kilkumetrowe kaktusy o dziwacznych kształtach, się wyraźnie na tle granatowego morza, a ich jakieś wspaniałe kwiaty, ogromne, jaskrawe motyle.

jasnozielone wachlarze — na tle niebieskiego nieba.

Po drodze spotykamy karawanę wielbłądów Niebieskiego z fioletowym odcieniem. Na dalszym wychodzących gdzieś w pustynię...

planie widać było łańcuch szczytów Libanu.

Potrącił mnie osioł, obładowany owocami.

Między palmami nadmorskiej alei ukazał się długi szereg wielbłądów ze skulonymi na nich białymi sylwetkami Arabów...

Jak to dobrze, że na palmach nie siedziały małpy, za wielbłądami nie ciągnęły słonie, a po słonecznej stronie nie wygrzewały się węże boa dusiciele! Zwariowałbym na pewno...

Bejrut, 24 maja 1940.

Francuzi zaproponowali nam wycieczkę do położonej o 150 kilometrów od Bejrutu miejscowości Baalbek i zwiedzenie ruin jakiejś starożytnej świątyni. Wyjechaliśmy rano autobu-sami, kierowanymi przez Anamitów, doskonałych kierowców. Trasa prowadziła przez góry sięgające trzech tysięcy metrów. Jest to droga do Damaszku i Bagdadu.

Baalbek ukazał się nam z daleka, skąpany w słońcu, biały, otoczony palmami i kaktusami.

Autobusy zajęły do koszar Legii Cudzoziemskiej. Batalion, który tu stoi garnizonem, przygotowuje się do wyjazdu na front do Francji.

Nasz przyjazd sprawił ogólną sensację, a specjalnie ucieszył żołnierzy Polaków: obstąpili nas tłumnie i gorączkowo zaczęli wypytywać, skąd jesteśmy, dokąd jedziemy i dlaczego tak prędko wojna w Polsce się skończyła...

Obaj z Herbertem bardzo chcieliśmy zwieńczyć świątynię, ale jeszcze bardziej chcieliśmy pogadać z legionistami. Toteż, podczas gdy inni koledzy poszli podziwiać starożytne kolumny, freski, sklepienia, rzeźby i inne gruzy, my, otoczeni legionistami, udaliśmy się do pobliskiego baru, aby pogawędzić przy szklaneczce wina.

Zresztą z okien baru świątynia widoczna była jak na dłoni. Nawet niegorsza jakaś świątynia.

Podzieliliśmy żołnierzy na dwie grupy: jedną wziął Herbert do stolika, a ja z drugą stałem przy bufecie. Opowiadaliśmy legionistom, jak to było i dlaczego tak było. Może to i dobrze, że nie piliśmy wina, tylko rum? Jakoś łatwiej nam było mówić, a im słuchać.

Potem kieliszki zamieniliśmy na szklaneczki, a nasze kapelusze na żołnierskie kepi. Niewiele brakowało, by Legia Cudzoziemska powiększyła swój stan o dwóch dzielnych, wytrawnych żołnierzy. Niestety Herbert się zalał i zaczął

przemawiać po rosyjsku. Mało tego: uparł się iść do świątyni, żeby zobaczyć westalki!

Moje perswazje nie pomogły i wkrótce cała nasza paczka opuściła knajpkę i udała się w kierunku ruin.

Herbert szedł na czele, śpiewając tango „Fatmo, powiedz mi bajkę o szczęściu...”

Wróciliśmy do Bejrutu późnym wieczorem.

P.S. Na kategoryczne żądanie Herberta notuję poniższe jego sprostowanie:

Nieprawdą jest, że przemawiałem po rosyjsku, że chciałem zobaczyć westalki i że śpiewałem tango

„Fatmo, opowiedz mi bajkę o szczęściu” Natomiast prawdą jest, że Zygmunt przemawiał po francusku, że on poszedł na westalki i on śpiewał tango „Fatmo, nie opowiadaj nikomu, jak mi dałaś dwa razy szczęście”.

Możliwe, że tak było: pokręciło mi się wszystko.

Bejrut, 26 maja 1940.

Pobyt nasz tutaj dobiega końca: jutro odpływamy do Marsylii. Szkoda, że tak prędko: na trzysta stroncik bedekera dojechaliśmy do pięćdziesiątki.

Herbert bardzo się zmienił: jest poważny i ponury. Pewnie ma wyrzuty sumienia po Baalbeku.

Ostatniego plastra dał starej żebraczce, a zakonnika pocałował w rękę. Gdy go spytałem, czy czasem nie zwariował, powiedział mi, że jestem świnia. Tak, to na pewno po Baalbeku.

Na Morzu Śródziemnym, 27 maja 1940.

Dziś rano wyszliśmy w morze. Płyniemy wielkim, francuskim transatlantykiem, 35 000 ton, całkowicie pomalowanym na khaki, nie wyłączając mosiężnych balustrad i metalowych ozdób. Natomiast okienka kajut zapacykowano ultramaryną.

Publika bardzo różna. Przeważa wojsko: kilkuset Francuzów, w tym dwustu oficerów, kilkudziesięciu Anglików, trochę Murzynów w czerwonych portkach i kilkunastu Czechów.

Wieczorem stajemy na redzie portu w Haj-fie, ponieważ tak nam dziwacznie wypada droga. Mamy tu nocować. Prawdę mówiąc — znudziła mi się ta Palestyna: jestem w niej co tydzień.

Wzdłuż brzegów Palestyny, 28 maja 1940-Może bym wytrzymał, lecz niestety zaczęły Rano ruszamy w dalszą podróż. Przeprowa-się śpiewy. Ktoś zanucił barytonem:

dzono ćwiczenia w nakładaniu pasów ratunko-Gdzie wy tiepier, kto wam cielujet palcy?

wych. Dostałem przydział, razem z Herbertem, *Kuda uszoł wasz kitajczonok z Li?* Tu do łodzi numer 12. Różne miewałem przydziały...

już mnie cholera wzięła.

—Panie — rzekłem poważnie — skąd pan Na morzu, 30 maja 1940.

wie, że kitajczonok pochodził z Li?

Zaręczam panu, że był z Płocka!

Jesteśmy na wysokości Benghazi. W jednym

—Nie rozumiem, o co panu chodzi — po-z portów Egiptu załadowano na nasz statek 8000

wiedział zaskoczony baryton.

bel bawełny.

—Wiem, że pan nie rozumie, ale jednego Jest gorąco. Leżąc na trzciniowych kanapkach może pan być pewny: skąd kitajec pochodził, na pokładzie, prowadzimy inteligentne dysputy: to cholera jego wie, ale napewno nie z Li; a

—Ale te mewy! Latają i latają, i wcale się poza tym komunikuję panu, że tyle rokfor ma nie zmęczą.

wspólnego z Oxfordem, ile Oxford z Francją,

—E, zmęczą, się, cholery.

Rolls-Royce z rolmopsem, sandwicz z sanda-

—Pewnie, że się zmęczą. O, patrz pan; jedna czem, a Dardanele z Lardellim!

ma już dosyć, usiadła na falach.

Wieczorem Herbert powiedział mi, że się

—Rzeczywiście usiadła, ale może się naciąć, zrobiłem straszny nerwus. Długi czas tłumaczył

bo ją rak za kuper złapie i będzie miała.

mi, że powinienem się oszczędzać itd., a potem

—Skądże rak? W morzu raków nie ma.

prosił mnie, żebym mu wyjaśnił, skąd pochodził

—W głębokim nie ma, ale tu jest ich do kitajec.

cholery.

—Myśli pan, że tu płytko?

Na morzu, 3 czerwca 1940.

—Pewnie, że nie głęboko. Patrz pan: zielony W ciągu paru dni przebyliśmy Cieśninę grunt przebija.

Mesyńską, minęliśmy Korsykę i Sycylię, i oto Z początku bawiła mnie ta błyskotliwa i dziś ujrzałem z daleka Marsylię. Ubieramy się dowcipna rozmowa, ale wszystko ma swoje pośpieszenie. Jesteśmy bardzo podnieceni. Herbert granice. Kiedy jeden z kolegów, widocznie półgłosem nuci Marsylianę, ale mu to ani rusz znawca serów, obiecał nam solennie, że nareszcie nie wychodzi.

we Francji, w Oxfordzie (!) użyje sobie na Około południa wyladowujemy się ze statku i rokforze, zaczęło mnie coś zalewać. Obawiam stajemy na ziemi francuskiej. Może za parę dni się, że była to zła krew.

będziemy już w mundurach? Znów będziemy mieli broń i znów będziemy mogli się bić w powietrzu. Niech żyje Francja!

La douce France

Niech żyje Francja! Tak: niech żyje Francja, ale nie ta z czerwca roku 1940. Nie ta!

Długo nie było samolotów dla Polaków.

Długo im nie dowierzano, że chcą walczyć i że walczyć potrafią. A gdy w marcu roku 1940

przyszły maszyny myśliwskie dla polskiej grupy w Bron (Lyon), to do połowy maja **nie było do nich** ani jednego karabinu maszynowego.

Natomiast ktoś uporczywie rozpuszczał pogłoski, że całe polskie eskadry z cysternami benzyny przelatują na stronę niemiecką. Całe eskadry —

podczas gdy nie istniała jeszcze żadna.

A później przyszedł czerwiec. Wyznaczono Polakom obronę lotniczą różnych obiektów przemysłowych, parcelując ich po dwóch, po trzech na tak zwane kominy i klucze. Wtedy dowiedli, że latają i walczą lepiej niż Francuzi.

Wtedy zaczęto ich cenić. Zbyt późno...

Dostali zadanie obrony Lyonu, potem Pa-ryża, potem rejonu północnej Sekwany. Ten ostatni rejon był duży i trudny, ale było tam przecież także kilka dywizjonów francuskich. W

Polsce stosunek sił był dla nas dwukrotnie gorszy.

Więc — co tu gadać — wdzięczność dla Francuzów zalała nam serca: braterstwo broni, za naszą i waszą, i tak dalej.

Tylko te maszyny...

Caudron Cyklon nie chciał iść w górę.

Prędkość miał, owszem. Wyglądał zgrabnie i mi-

ło. Nawet uzbrojenie było nie najgorsze. Lecz jeśli nieprzyjaciel leciał o pięćset metrów nad nami, nie sposób było go zaczepić...

Potem zaczęły wyłazić defekty. Silnik się grzał, przestawał działać automat do zmiany skoku śmigła, psuły się amortyzatory i zegary, zacinał się mechanizm do chowania podwozia, rozdymała się maska przy nurkowaniu z dużą prędkością...

Wreszcie zaczęły odpadać w powietrzu stery...

Fabryka przysłała swoich mechaników, bo

— oczywiście — nasza obsługa była „niefa-chowa”. Fachowcy najpierw zjedli dejeuner; potem się zdrzemnęli; potem obejrzel uszkodzenia i bezradnie rozłożyli ręce.

—Co tu można poradzić?

—Wasi mechanicy są wspaniali — powiedział inżynier kierujący tą ekipą. — To wcale nie ich wina. Ja mogę tylko powiedzieć prywatnie: trzeba zawiesić loty na Cyklonach.

Francuska komisja wojskowa zawiesiła loty na Cyklonach, ale nazajutrz Polacy polecieci na zadanie. Lepiej było latać na tych trumnach niż nie latać wcale, a tylko taka alternatywa stanęła przed nami. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że Francuzi mogli byli nam dać kilkanaście Curtissów albo Devoitine'ów spośród spalonych wkrótce w składnicach Bourges i Tuluzy. Tego nikt z nas im pewno nie zapomni;

resztę mogliśmy przeboleć i puścić w niepamięć.

cych się tu i ówdzie miejscowych patroli francuskich.

Wielu z nas pewnie zapomniało i przeboleło tę Francuzi znów lojalnie zameldowali, że Polacy spuścili resztę. Wspominam tylko drobną jej część, bez pięciu Niemców w ich rejonie; my żegnaliśmy trzech gniewu już i bez bólu. Raczej z uśmiechem naszych kolegów, którzy zapłacili życiem za to politowania. Bo czy nie na taki właśnie uśmiech zwycięstwo.

zasługuje tani frazes w jednym z ostatnich rozkazów Pamiętam i to, że w parę dni po tej bitwie francuskiej Kwatery Głównej, że „żołnierz polski wysłuchaliśmy komunikatu radiowego z Paryża o okazał się godny tradycji żołnierza francuskiego”?

„bohaterskim ataku polskiego dywizjonu, który w Myślę, że polski żołnierz nie zasłużył na dziesięć maszyn rzucił się na sto samolotów i zestrzelił

porównanie z francuskim z roku 1940. Polacy kilkadziesiąt". Na sprostowanie nie było czasu.

okupywali honor życiem, nie na odwrót. I...

Pamiętam wreszcie, jak 18 czerwca — już po Warszawa broniła się do końca, choć — tak samo jak rozejściu się wiadomości o zawieszeniu broni —

Paryż — była „miastem otwartym”.

podczas niemieckiego nalotu na Rochefort, Ale mniejsza o to: są to sprawy na wielką skalę i wystartowali do walki tylko dwaj Polacy. Wynie do mnie należy ich poruszanie.

startowali na dobrych samolotach, które dywizjon Są natomiast sprawy drobniejsze, bardziej, że tak zaczął właśnie otrzymywać: na Blochach. Francuzi —

powiem, osobiste, o których trudniej zapomnieć, ilu ich było — patrzyli z ziemi na tę ostatnią walkę.

choćby się tego pragnęło. Sprawy koleżeństwa w Patrzyli ciekawie, przejmowali się, ale nie polecieci z powietrzu między lotnikami.

odsieczą.

Nic na to nie poradzę, że te sprawy jeszcze dziś Jeden z oficerów zaczął bić brawo, kiedy spod wracają jako wspomnienie.

obłoków zwały się dwa Heinkle, zestrzelone przez tych dwóch polskich szaleńców. Popatrzyłem mu z Na dwa dni przed zawieszeniem Cyklonów nasz bliska w oczy. Zaczerwienił się i odszedł zawstydzony.

patrol złożony z trzech samolotów spotkał w powietrzu dwanaście Messerschmittów 110. O 2000

Dywizjon zdobył piętnaste i szesnaste zwy-metrów wyżej patrolowała francuska eskadra cięstwo w tym ostatnim dniu kampanii francuskiej, ale Curtissów, ale żaden z Francuzów nie przerwał tej ogółem Polacy zestrzelili we Francji ponad nudnej pracy, aby przyjść z pomocą Polakom. Za to pięćdziesiąt maszyn niemieckich.

po wylądowaniu zgodnie potwierdzili, że polski patrol Nie wiem, czy Francuzi będą nam to pamiętali.

zestrzelił czterech Niemców.

Może...

Pamiętam, że francuskie dowództwo grupy myśliwskiej nie tylko nie zaliczyło Polakom tych czterech zniszczonych Me-110 (ponieważ walka 23 czerwca, po wielu przejściach, których odbywała się w rejonie owej eskadry Curtissów), lecz częściowo nie pamiętam z powodu nawrotów malarii, udzieliło nagany dowódcy pa-ti-olu za atak na znalazłem się w małym porcie St. Jean de Luz i czterokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Między załadowałem się na transportowiec brytyjski innymi uwagami na ten temat, francuski dowódca

„Arandora Star”, który po dwudniowej podróży dotarł

grupy podał na odprawie do wiadomości dowódców do Liverpoolu.

eskadr odstraszący przykład lekkomyślności innego Byłem otępiały jak kłoda drewna. Poruszałem się Polaka, mjr. W., który tegoż dnia na czele trójki Cy-mechanicznie, mało zwracając uwagi na to, co się klonów, mając za sobą tylko jeden klucz francuski wkoło mnie dzieje.

(również trzy maszyny) — zaatakował osiem Me-109.

Wylądowaliśmy się na czarne, zadymione molo.

Lotnicy francuscy nie uznali za stosowne mieszać się Wtem gdzieś z boku podniósł się zgiełk i gwar głosów.

do tego rodzaju polskich awantur i wylądowali na

— Vive la France!

lotnisku, a polskiej trójki dotychczas nie ma... Pewnie Obejrzałem się. Po trapie małego, umorusanego w ogóle nie powróci.

sadzą parowca maszerowali francuscy żołnierze-Nazajutrz po zawieszeniu lotów na Cyklonach ochotnicy, którzy razem z nami przybyli na tę Wyspę polski dywizjon zaatakował

Ostatniej Nadziei.

osiemnaście Me i pięćdziesiąt Do nad Sekwaną w Niech żyje Francja! — ta Francja, która walczy okolicy Rouen, nie licząc bynajmniej na pomoc kręca-

nadal.

Wyspa Ostatniej Nadziei

Maszerowaliśmy przez ulice Liverpoolu zabrał nas ze zbornego obozu do stacji Royal Air czwórkami. Anglicy wołali: Lang live Poiand! i Force w Gloucester.

pokazywali kciuki obu rąk. Co chwila witały nas Tam się zaczęło pisać wykazy ewidencyjne, oklaski. Za co?... Bo ja wiem? W każdym razie dzielić personel latający i techniczny na grupy i wzruszyło nas to serdeczne przyjęcie po ostatnich podgrupy, itd. Wreszcie moja grupa jeszcze innym przejściach i po widoku chmurnych, obrażonych pociągiem pojechała do Błaekpool. To już był koniec Francuzów.

sierpnia.

Pociąg nasz ruszył z jakiegoś dworca i zatrzymał

Blackpool jest tanią miejscowością kąpielową się na jakiejś stacji po kilku godzinach. Szliśmy znów nad morzem. Brzydki, rozciągnięty wzdłuż morskiego parę mil, do wielkiego parku otaczającego lordowską brzegu, zbudowany z czerwonej cegły, ze wspaniałym posiadłość, gdzie stało całe miasto namiotów. Potem

„wesołym miasteczkiem” i niezliczoną ilością privates trzy dni mieszkaliśmy w tych namiotach, a potem hotels. w których nas zakwaterowano.

inny pociąg

Nie mieliśmy żadnych zajęć poza porannymi zaznał wojny od wielu stuleci, wytrzymuje ze zbiórkami oddziałów. Nic się właściwie nie działo.

spokojem bombardowania niemieckiej Luftwaffe. I —

Tylko Niemcy po nocach bombardowali pobliski są pewni zwycięstwa. I — nikt się tu nie przejmuje ani Liverpool, a z Londynu przychodziły coraz to inne

„wojnę nerwów”, ani propagandą niemiecką. I pogłoski o nowej organizacji naszego lotnictwa w lotnictwo brytyjskie jest wspaniałe.

Wielkiej Brytanii. My zaś chcieliśmy latać i bić się.

A poza tym ludzie są tu przychylni sobie. Ostatecznie zorganizowano to lotnictwo szybciej i nawzajem. Łatwi do uśmiechu, wybaczący nam, lepiej niż we Francji, ale w Black-poolu czas dłużył

cudzoziemcom, tysiące popełnianych głupstw i tysiące się nam okropnie. Pewnie dlatego pierwsze nasze wykroczeń. Koty, psy i ptaki ufają tu ludziom: nie są obserwacje były bardzo krytyczne wobec tej wyspy i płochliwe, bo nikt ich nigdy nie krzywdzi. Uczciwość jej ludności. Nie znaliśmy języka, a choćbyśmy go jest zdumiewająca. Uprzejmość ujmująca. Powinniśmy znali, trudno było z początku dogadać się z ludźmi, się tego od nich uczyć.

którzy jeszcze mniej wiedzieli o Polsce i o nas, niż my. Tylko Zygmunt nie zamierza niczego się uczyć.
Z

o Wielkiej Brytanii i o nich.

pogardą, pesymistycznie spogląda na Wyspę Ostatniej Nadziei. Nie zamierzam teraz opisywać ani tych ludzi, ani Nadziei. Raz tylko w przystępie pogodniejszego tego kraju. Inni zrobili to lepiej, obszerniej i z głębszą nastroju oświadczył, że w Anglii są zaledwie trzy znajomością rzeczy, niż ja mógłbym zrobić po kilku rzeczy lepsze niż u nas: herbata, drogi i to, że dookoła miesiącach pobytu w Blackpool. Chcę tylko oddać jest morze.

ówczesny nasz nastrój i dlatego — zdając sobie sprawę

— Ale gdyby Polska była w Anglii — dodał —

z powierzchowności pierwszego spojrzenia na nowe mielibyśmy lepszą herbatę i jeszcze lepsze drogi. No i dla mnie zjawisko — notuję kilka wrażeń z tego w ogóle nie byłoby Niemców.

okresu.

Anglicy na swoich weekendach nudziliby się jak mopsy, gdyby nie Pleasure-Beach (rodzaj wesołego miasteczka), Jest rzeczywiście imponujące. Zawiera się tam znajomości z angielskimi blondynkami i rudymi Irlandzami. Kiedy się ściemnia, pary ściskają się na ławkach nad morzem, a w nocy polskie adonisy ha-

łasują u zamkniętych drzwi pensjonatu.

Nie tylko po to jednak chodzi się do Pleasure-Beach, żeby uwodzić anemiczne ekspedientki sklepowe, szwaczki i kelnerki, które przyjechały na holiday (wakacje). Są tam także automaty. Automaty pasjonują zarówno Anglików, jak Polaków. Już za jednego pensa możesz wygrać parę spinek, wodę kwiatową, albo zgoła pięć papierosów. Za trzy pensy

— nawet zegarek. Mistrzem w tych sprawach jest Zygmunt. Dziś wygrał dwa strusie, puder,

porcelanowy kałamarz i solniczkę. (Solniczkę podarował naszej gospodyni, bo sitko się nie dokręca).

Morze ciska się i pluje pianą, która przelatuje kłakami przez całą szerokość promenady. Fale stają dęba, wicher zrywa bryzgi z ich czubów i rzuca je na czerwone chodniki. Mewy, jak klamry rozpięte na niebie posiniałym od ciężkich chmur, leżą w nurcie wichury, wyginając elastyczne skrzydła. Przewody tramwajowe syczą, gwizdzą i buczą, w kominach wyje, a Anglicy się kąpią... Brr!...

Anglicy... Jakże dalekie od rzeczywistości były nasze wyobrażenia o nich. Albo może to, cośmy o nich wiedzieli, było ty liro legendą z dawnych, bardzo dynamicznych czasów? W każdym razie spotkało nas rozczarowanie...

Lecz jesteśmy tu gośćmi: nie będę mówił źle o gospodarzach.

Ta Wyspa Ostatniej Nadziei sama jedna po upadku Francji bije się dalej. Ten naród, który nie Czas mijał. Wietrzne i dżdżyste angielskie lato Z

zamelduje się itd. Trochę mnie zdziwiło, że jestem rzadko ukazującą się imitacją słońca (Lovely day

„Pilot-Officerem” i dlaczego przez dwa f, ale okazało informowali mnie w takich dniach wszyscy tubylcy, się, że to po angielsku, a po polsku tyle co poczynając od właścicielki pensjonatu, Mrs Stevens, a podporucznik, bo w Royal Air Force stopień zależy od kończąc na konduktorze tramwaju i barmanie w funkcji. Teraz dochodzę do wniosku, że i tak mnie za

„Casino”) — angielskie lato schyliło się smętnie ku wysoko ocenili, ale z początku, jako dobry żołnierz, na-jesieni i wyblakłe niebo na dobre zaszło chmurami, tychmiast schudłem w biodrach, uczesałem się na jeża, przeorywanymi przez wichry. Morze rozbijało się o zapakowałem rzeczy i zameldowałem się „na froncie”.

ścianę promenady; wesołe miasteczko pustoszało w *Przyczailiśmy się pod jednym z wielkich miast* dni powszednie, zapełniając się po dawnemu tylko *przemysłowych, siedzimy cicho jak mysz pod miotłą* i podczas weekendów; cztery drzewa na Południowym *dotychczas Niemcy zostawiają nas w spokoju, ale* Skwerze, wytargane wichrem, zmaltretowane i *dokoła latają co noc. Strzelanina jak diabli, huk jak zziębnięte, zaczęły tracić liście; na kominku w cholera, a najgorszy ze wszystkiego nieustanny warkot* smoking-roomie płonęły węgle, dymiąc na cały *silników nad głową. Przez pierwsze dwie noce w ogóle pensjonat, a Mrs Stevens wyciągnęła z szafy cuchnące zasnąć nie mogłem, ale teraz wynalazłem sposób na* naftaliną futro, które wietrzyło się w łazience.

wroga: odkręcam na cały regulator kurki w umywalni, Tymczasem przychodziły wiadomości o two- kładę się do łóżka i spokojnie zasypiam, marząc o rzących się wciąż nowych polskich dywizjonach strumyczkach i malowniczych wodogrzmotach.

myśliwskich i bombowych. Co parę dni można było *Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie braki w mojej* spotkać kilku co młodszych kolegów z roześmianymi *angielszczyźnie. Dubluję Anglika,*

oficera uzbrojenia i gębami, jadących na przydziały bojowe. Starsi, tacy ani rusz nie mogą się z nim porozumieć. Znam już wiele jak ja — przed i po czterdziestce — spoglądali na nich wyrazów technicznych: wiem, jak po angielsku nazywa z zazdrością, albo dziękowali Bogu że nie muszą, się śrubka, sprężynka i trzpień; ale nie wiem, jak po zaleźnie od temperamentu.

ichniemu jest „daj buzi”, „sznycel”, „idź do diabła” —

Należałem do pierwszych, choć nie miałem *bez których to podstawowych pojęć życie staje się* żadnej nadziei: po dwudziestu dwóch latach pilotażu, *nieznośne...*

po ostatnim wypadku w kampanii wrześniowej w *Jeżeli fs&daiej pójdzie, to chyba zrezygnuję i* Polsce nadawałem się — zdaniem „czynników wróć do Blackpoolu, o ile nie powierzą mi funkcji decydujących” — tylko do szkolenia... Obiecano mi *precyzyjnego mechanika, bo i z tym działem pracy też posadę instruktora w szkole pilotów, która miała się nigdy nie miałem nic wspólnego.*

dopiero zorganizować, i kazano czekać. I tale w *Ściskam Cię serdecznie*

oczach wielu uchodziłem za wybrańca losu...

Zygmunt

Zygmunt wyjechał dość nagle i niespodziewanie.

Nawet nie pożegnał się ze mną i dopiero w tydzień Drugi list od Zygmunta przyszedł dopiero w później dostałem od niego list.

grudniu, już z bojowego lotniska dywizjonu, ale też raczej pesymistyczny. Zygmunt pisał, że ostatecznie *My dear! W związku ze stanem moich nerek* znaleziono innego geniusza techniki uzbrojeniowej na *oczekiwałem rozkazu takiej mniej więcej treści: kpt.*

jego miejsce, a on został nawigatorem; że jednak i *obs. Zygmunt W. odejdzie do szpitala na leczenie.*

nadal nie lata na bojowe zadania, bo dywizjon ciągle *Tymczasem rozkaz nadszedł, ale taki: Pilot-Officer* jeszcze się organizuje, a przy tym warunki *Zygmunt W. otrzymuje przydział do dywizjonu* atmosferyczne są pod psem: że — wreszcie — spotkał

bombowego w Bramcote, gdzie

się z Pry-

szczykiem... Ten ostatni odbył jakiś kurs me-najstarszy z nas wszystkich, bo 1 lat ma czter-CHANIKÓW, nauczył się kłąć i flirtować po angielsku dzieści dwa, i jeszcze w legionach służył. Fach (prywatnie) i należy do brygady obsługi przy wojskowy zna doskonale, bo kiedyś posiadał w samolocie Zygmunta. List kończył się tak: piechocie niezłe początki obijania się, a przez długi okres późniejszej służby w lotnictwie za-

Życzę Ci, żeby nadchodzące radosne święta były dziwiająco się w tej sztuce wydoskonalił, co mu dla Ciebie jak najmniej smutne. Czuję się fatalnie: zresztą nie przeszkadza być jednym z najlepszych od dwóch tygodni siedzimy tu beczynninie. Koledzy nawigatorów lotniczych jakich znam Chłop jest cieszą się ze zdobycia Sidi Barrani, ja jednak zwalisty, w biodrach zwłaszcza szeroki; oblicze uważam, że zdobycie tej baraniny będzie miało też tam nie nadzwyczajne, jako że tylko kobiety akurat taki sam wpływ na nasze losy, jak miałby mogą być piękne, a u mężczyzny wyraz twarzy na przykład nieudany połów łososi na Alasce. A Ty dużo znaczy. Trochę śladów po ospie na tej

— jakiego jesteś zdania?

twarzy, oczy niewielkie, ale dowcipne i uśmiech Zbrzydło mi tu bez Ciebie. Zawsze marzyłem o łatwy i miły ma ten mój przyjaciel. Teraz się wolnym zawodzie. Chcę sobie kupić harmonię i zakochał w naszej Lordównie, do spółki z nauczyć się kilku kawałków. Czy grasz na gitarze Górale, który jest ha kobiety kat numer jeden.

albo na okarynie? Byłby niezgorszy due-cik. Piszę Siła by złego narobił ów Góral (spod Nowe-o tym dlatego, że wakuje w naszej załodze go Targu jest rodem) gdyby śpiewał, bo włosy ma stanowisko tylnego strzelca. Może byś plunął na tę jak artysta długie, lekko kędzierzawe i facjatę też swoją obiecaną instruktorską posadę i przyjechał

mętą, a kobiety — zwłaszcza Angielki — śpiew tu?

lubią. Z Lordówną i Zygmuntem przy kominku i Twój Z y g m u n t

odpowiednim blaek-oucie w kasynie sobie siadują. Zygmunt na harmonii gra, i na przemian Ostatnie zdanie tego listu zelektryzowało ją zapewniają, że life is so beau-tifuł! Poza tym mnie i zadecydowało o moich losach. Zacząłem Góral jest dowódcą na pokładzie Genowefy i starać się o ten przydział...

pierwszym pilotem naszej załogi.

To nie było takie łatwe: po pierwsze, sta-Inną zakałą tego zespołu jest Merkury, który nowisko było podoficerskie, a ja byłem starym w cywilu był agentem firmy handlowej w Gdyni.

kapitanem; po wtóre, takich jak ja amatorów Wzrostu — jak sam uparcie twierdzi — jest zgłosiło się dwudziestu. Ale przecież wreszcie, po

„więcej niż średniego”, nogi ma pałakowate, a kilku tygodniach zabiegów, zdobyłem odporęce — jak orangutan. Dość długi handlowy wiedni rozkaz, pojechałem do S. i oto jestem tU

żywot wyszlamował z niego całe romantyczne już od miesiąca.

podejście do świata. Tylko rzędniejące rudawe włosy i koźli wzrok świadczą, że i on miał swoją młodość górną i chmurną. Musiał się w tej Nie gram ani na gitarze, ani na okarynie, ani młodości

dostatecznie wyłajdaczyć, bo teraz na na żadnym innym instrumencie, więc do kobiety patrzy jak na kołki w płocie. Za to utworzenia dueciku z Zygmuntem nie doszło. On trunkowy jest i jak wypije kilka głębszych, naprawdę kupił sobie harmonię, która oddaje mu wspomina jaśniejsze karty swojej przeszłości. Na teraz nieocenione usługi w zabiegach około naszej Genewefie siedzi obok Górala, bo pełni funkcję chrzestnej matki dywizjonowej, Lordówny, jak ją drugiego pilota.

nazywa sierżant Koza, radiotelegrafista, kronikarz Pięknie i bogato zapisaną kartę życia (i ewi-i poeta.

dencyjną też) ma sierżant Koza. Na obczyźnie Tu — jak mi się Wydaje — trzeba już ko-dorobił się dwóch walizek, a jak tak dalej pójdzie, niecznie opisać całą załogę Wellingtona „Geno-to kilkorga dzieci też się dorobi, bo na rozkosze wefa*“, bo tak się ten nasz dwusilnikowy grat cielesne jest łasy i ma ogromne powodzenie w nazywa.

okolicy S. Fasoniarz też jest pierwszej wody, bo Ponieważ była mowa o Zygmuncie (i to już sypia na spodniach, żeby kanty były, a poza tym nie raz w tej książce), t aczynam od niego. Jest godnie i z zapałem reprezen-tuje życie intelektualne całego dyonu. Pisze nowych obywateli, choć polscy współpracownicy mianowicie sonety i pamiętnik, by potomności ze źle ukrywanym chłodem odnoszą się do spraw choć niematerialny swój dorobek przekazać, matrymonialnych. Z Lordówną pewnie by się skoro całą forszę na kobiety, wino, śpiew puszcza.

chciał niejeden ożenić, ale inni by do tego nie Sprawiedliwie trzeba przyznać, że o ile sonety są dopuścili, bo Lordówną jest „ekstraklasa miss“ i do chrzanu, o tyle pamiętnik zupełnie dobry.

poza tym dyon straciłby chrzestną mamusię. A Alkohol też ten poeta grzmoci nie najgorzej, a w inne miss-ki... inne miski słodzą życie tym radiotelegrafii jest czarodziejem zgoła nad-zabijakom, ale „to jest sacharyna angielska, nie zwyczajnym.

zaś polski cukier“ — jak to obrazowo określił

Na tym ponurym tle naszej załogi korzystnie sierżant Koza.

rysuje się postać przedniego strzelca, pod-Alians z brzydką płcią ma inne podłoże, o chorążego Bujaka. Ten Bujak — jak sama nazwa wiele głębsze. Mamy w dywizjonie kilku wskazuje — ma kłapacz od ucha do ucha i jest angielskich oficerów, stanowiących sztab optymistą. Pryszczyk powiada, że „nieszczęsne są taktyczno-administracyjno-dowódczy, z którymi rodzice, których synowie kiedyś pod Józkiem zawarliśmy prawdziwą przyjaźń. Czasem trudno Bujakiem służyć będą“, bo człek ten cholernie w nam zrozumieć ich powolny sposób myślenia i czystości się kocha, tak w duchowej, jak w brak wyobraźni. Są inni niż my, ale ożywiamy ich cielesnej, oraz w narzeczonej, którą w Polsce wszelkimi sposobami i staramy się, by tu po nas zostawił. Dżin, whisky czy sherry — nie robi mu pozostało coś więcej niż wspomnienie o żadnej różnicy, bo nie pija prawie nic prócz romantycznych żołnierzach bez ojczyzny. A od herbatki z mlekiem, a już od wody sodowej nich pewnie też coś niecoś weźmiemy z sobą do dostaje zawrotu głowy. Podobno dawniej równy Polski, bo nie same wady mają ci brytyjscy był chłopak, ale tak go życie wojenne zepsuło.

koledzy, ale także i zalety, których nam właśnie Ostatni do golenia — sam autor. Proszę sobie brakuje, a wytrwałość i odporność przede wyobrazić chłopisko długie i kościste, nie wszystkim.

całkiem jeszcze zdezelowane, dość milkliwe, w Mówimy im o Polsce, o sobie i nawet o tych ogóle bez znaków szczególnych i do żadnego z naszych wadach otwarcie i szczerze. Książki bohaterów własnych powieści niepodobne.

angielskie o naszym kraju im kupujemy i Teraz parę słów o brygadzie obsługi.

kształcimy ich, jak umiemy i jak możemy, w Jest ich sześcioro, tak jak nas. Sześcioro stałych, naszej historii, śmieszna angielszczyzna — jak nie licząc „dochodzących” elektryków i serce dyktuje — o sprawach tych mówiąc.

zbrojmistrzów. Z dawnych czasów znam tylko Martwią się ci nasi Angliczanie razem z nami o brygadziście, sierżanta Talagę, który był kiedyś naszych najbliższych, którzy w Kraju zostali, mechanikiem w mojej eskadrze, oraz Pryszczyka, niepokoją się, gdy lecimy, cieszą się, gdy wracają naturalnie. Dwaj motorowcy i dwaj kaprale od camy, i smucą się, gdy ginimy — wcale nie po płatowca są z wileńskiego pułku i jeszcze nie angielsku. Może tak już rozmiękli pod naszym przyjrzałem się im dokładniej. Wiem tylko, że jak wpływem, a może zawsze byli tacy — kto ich tam nie ma roboty, trudno o sprytniejszych łazików; wie?...

ale jeżeli trzeba, nasza Genowefa ma najsumienniejszą, powiedziałbym, najczulszą Pierwsza moja wyprawa bombowa bardzo opiekę.

mnie onieśmielała. Mieliśmy lecieć na Boulogne.

No i wreszcie o współzyciu z Anglikami. O

Zaledwie czterysta dwadzieścia mil w obie współzyciu na gruncie służbowym i towarzyszy-strony, % czego tylko sto mil nad Kanałem i skim.

brzegiem francuskim. Ale po raz pierwszy w Trzeba z miejsca stwierdzić, że współzycie i życiu nie ja miałem trzymać stery samolotu; po współpraca istnieją, i to na obu gruntach.

raz pierwszy miałem go bronić ogniem kara-Współpraca służbowa od niedawna daje piękne binów, umieszczonych daleko w tyle, na samym wyniku przy bombardowaniu zawojowanej przez końcu ogona, w ruchomej wieżyczce. A w do-Niemców Europy, towarzyska zaś — jak mi się datku Zygmunt po odprawie zachowywał się tak, zdaje — przysporzy Wielkiej Brytanii

jakby szukał trzech do bridża, zamiast wziąć się do opracowania trasy, i to mnie denerwowało najbardziej. Nawigatorzy pozostałych pięciu samolotów ślęczeli nad mapami, kreślili, obliczali, kombinowali. On najpierw łąził między długimi stołami sali nawigacyjnej, przystając i gadając z tym i owym; połam czytał gazetę; potem drzemał przy kominku, a wreszcie zaczął

się informować, jak po niemiecku jest: bandyta, złodziej i podlec. Dopiero uzyskawszy te Genowefa

była w ostatnim stadium reumatyzmu, wiadomości, na marginesie gazety zanotował parę który siedział we wszystkich jej stawach. Góral cyfr, zajrzał komuś przez ramię do mapy i wykręcał w prawo na lewym silniku, po czym oświadczył, że jest gotów.

pociągnął obydwoma i wtedy przez szyby Właśnie ciemno się zrobiło, więc — otrzy-zobaczyłem rozplywające się w ciemności mawszy na drogę torebki z suszonymi owocami i sylwetki mechaników. Każdy z nich wznosił

czekoladę — pojechaliśmy na lotnisko.

wysoko odgięte kciuki obu rąk.

Genowefa stała rozkraczona, zaraz pierwsza

— Good luck!

z brzegu, w poważnym stanie, z brzuchem cięż-

Przewinał się rząd lamp startowych, błysnęły kim od bomb. Talaga wylażł z kabiny i przysiadł

ostrzegawczo czerwone światełka na dachu na pękatym pneumatyku koła. Raz po raz hangaru, jakiś samochód mrugnął reflektorami, spoglądał to na nas, to na start, gdzie rozstawiano zamigotał sygnał ręcznej latarki: zwrot do startu!

ostatnie światła. Potem, gdy zaczęliśmy wchodzić

— Halo, halo, Genowefa...

po stopniach do wnętrza maszyny, wstał i Ostatnie zdania, zawsze te same przed od-podszedł blisko. Zdaje się, że był bardzo lotem, i znów:

podniecony; chciał coś powiedzieć, i jakoś nie

— Good luck!

umiał. Wyciągnął rękę, żeby pomóc nam wejść, Genowefa wysila się, stęka, jęczy, wyje i żeby podtrzymać i cofnął ją w pół drogi: nie drga. Ciemność ruszyła z miejsca i pędzi pode trzeba?...

mną, nade mną, po bokach. Odsądza się i przypada bliżej, goni i zostaje w tyle, przysiada, Mnie ścisnął za ramię nad łokciem. Wtedy cwałuje, bije falami i odpływa, aż wreszcie opada poczułem, jak mu drży mocna, sękata dłoń i zo-w dół, odcinając jak nożem bolesny skowyt baczyłem w mroku jego zatroskaną twarz. Za-amortyzatorów.

trzymałem się na chwilę i spojrzałem mu w oczy.

Jesteśmy w powietrzu i po chwili kładziemy Puścił mnie natychmiast.

się w zakręt. Niebo, jasne jeszcze na zachodzie,

— W porządku, panie kapitanie, w porządku — przechyla się, jakby chciało zajrzeć do mojej ku-

wieżyczki, ale Genowefa zamiata ogonem (i Oparłem się na jego szerokich barach i da-mną) po horyzoncie i już się podnosi z wirażu.

łem nura do kabiny. Zobaczyłem jeszcze jasną

— Odchodzimy na kurs do celu — melduje plamę jego twarzy przez kwadratowy otwór Merkury, po czym zapada długie milczenie.

wejściowy; potem ktoś usunął schodki i kłapa. To milczenie jest dla mnie szczególnie szcęknięta, oddzielając nas na cztery godziny od dziwne: jako pilot rozmawiałem ciągle. Nie z zewnętrznego świata.

ludźmi wprawdzie, ale zawsze była to rozmowa.

Jeszcze nie dotarłem do mego stanowiska, Z zegarami na tablicy rozdzielczej, i silnikiem, z zaczepiając co chwila o występy kadłuba, o że-busolą, z mapą. Pilot, radiotelegrafista, nawigator bra, złącza i wręgi, kiedy lewy silnik zakrztusił

i przedni strzelec mają z kim rozmawiać i mają się, sapnął, zagdakał i ruszył, a zaraz po nim temat. Strzelec tylny bardzo rzadko, zwłaszcza w warknął prawy i już wspólnie rozdygotały locie do celu. Tamci widzą, co się dzieje w tej dreszczem rezonansów całą maszynę.

stronie dokąd lecimy, a radiotelegrafistę łączy z Poskładałem się jak scyzoryk w mojej wie-ziemią fala jego stacji. Natomiast strzelec tylny życze, włączyłem słuchawki i mikrofon,

„stoi na warcie”, tylko pilnuje. Przy tym jest sam, namacałem koniec przewodu tlenowego i daleko od reszty załogi i jedynie w chwilach usłyszałem wezwanie na start.

ataku z powietrza staje się niezbędny, a tylko Ruszyliśmy z chrobotem ł bębnieniem, z bezpośrednio po bombardowaniu ma coś do cmokaniem i dobijaniem amortyzatorów, jakby powiedzenia: melduje o jego skutkach.

Pilot myśliwski jest głównym elementem latającego zespołu, jaki tworzy wraz z samolotem.

Silnik, skrzydła, stery, karabiny i działka to jego organy, których używa, którymi się posługuje. To on kładzie się w zakręt, mierzając jednym swoim skrzydłem w ziemię, a drugim w zenit nieba. To on przewija się w beczce i przeciąga w pętli. To on spada w dół, co wkręca się w korkociąg, on tryska świecą w górę.

Natomiast ja, tylny strzelec?...

Mnie wydaje się teraz, że należę do organizmu tego Wellingtona — potężnej bestii latającej. Jego

mózg — to nawigator. Ośrodek nerwowy koordynujący ruchy — to pilot. Radiotelegrafista —

A po chwili Wellington przypomina sobie o mnie słuch. Przedni strzelec — wzrok. Ja zaś — żądło; i pyta głosem Górala:

organ obrony przed napaścią innych, podobnych

—Herbert, nie śpisz?

potworów powietrznych.

—Nie śpię — odpowiadam przez ściśnięte gardło, Nie, nie czuję się już samoistną, oddzielną doznając takiego uczucia, jakiego powinna jednostką; jestem częścią składową. Jestem narządem, doświadczyć moja zdrętwiała noga, gdy się o nią tak właśnie jak żądło jest narządem pszczoły. To nie ja zatroszczę.

lecę na bojowe zadanie, lecz Genowefa, która między

—Może byś przestrzelał swoje spluwaczki? —

innymi składa się także i ze mnie.

dobrotliwie proponuje latający potwór.

To uczucie jest dziwne i zupełnie nowe; jakieś Proponuje, czy myśli? Po prostu: chce! A ja nieludzkie. Przeciwnie naturze. Mojej naturze, naturze ulegam jego woli. Wykonuję funkcję jego organizmu: pilota. Po raz ostatni — w Polsce — ja miałem po prostu funkcjonuję...

samolot. Teraz Wellington Genowefa ma mnie —

Krótki, suchy werbel serii — to mój głos; drganie tylnego strzelca. On jest całością, ja — jedynie zdwojonych karabinów maszynowych i półobroty fragmentem, bynajmniej nie najważniejszym, wieżyczki w lewo, w prawo — to mój ruch; smugi potrzebnym tylko czasami...

pocisków, miotanych w przestrzeń — to moje Pewnie można do tego przywyknąć. Nawet działanie. Działanie żądła...

można tego wszystkiego nie dostrzec. Góral na Lecz... co to?! Jakiś cień, czarniejszy niż noc, przykład mówi:

zamajaczył powyżej mnie, trochę w lewo... Rozpłynął

— Ta nasza pocziwa Genowefa — i traktuje się i zamajaczył znowu na wprost, za ogonem gada jak domowe oswojone bydlę, które wozi całą Genowefy...

załogę, bomby i jego, Górala, nad cel, posłuszne woli Jest, czy nie ma go tam?...

pilota.

Jest! Zbliża się! Rośnie!!!

Ale ja w tym pierwszym bojowym locie nie mogę Zupełnie machinalnie (czy może: zupełnie tak myśleć o Genowefie. Dla mnie żyje ona swoim instynktownie?) podnoszę sprzężone lufy kae-mów na oddzielnym życiem, tak jak inne, jej podobne. I to nie jego wysokość i w tej chwili widzę cztery ogniste my lecimy na niej bombardować Boulogne, tylko ona języki wyskakujące jakby z pyszczków czterech tam leci, posługując się nami: swoim mózgiem, jaszczurek, ustawionych rzędem przede mną. nerwami, słuchem, wzrokiem i żądłem...

Poprawka? — Niepotrzebna!

Od czasu do czasu słyszę, jak Zygmunt wymienia Naciskam spust, prowadzę za cieniem, za nazwy mijanych w głębokiej ciemności, ogniem; sekunda — dwie — trzy... Jaszczurki niewidzialnych miast: Peterborough, Ely, Cambridge...

zamknęły pyszczki, cień rozplątał się, znikł.

Potem: Londyn i Chatham.

—Co tam? — pyta Góral. — Myśliwiec?

Nieco później Bujak — oko Genowefy — mówi,

—Chyba — mówię ochrypłym głosem.

jakby mówił wprost do niej:

—No i co?

— Wchodzimy nad Kanał. Pod nami morze.

—Odskoczył po pierwszej serii.

—Jak zwykle — konkluduje Zygmunt, nie wiem: z udanym czy szczerym znudzeniem.

I znów długie milczenie. Znów spokojny, równy warkot silnika. Tylko ja — żądło samolotu, jego organ obronny — jeszcze drzę. Czy nie tak właśnie, jak drży żądło skorpiona lub osy?...

Ktoś melduje zużycie paliwa, a potem Merkury oznajmia:

— Piętnaście tysięcy stóp.

— Brzeg! — woła głośno Bujak z przedniej wieżyczki. — Brzeg! — aż w słuchawkach dzwoni.

Fakty następują jedne po drugich z taką szybkością, jakby chciały wynagrodzić sobie

— Żebyście, dranie, wiedzieli, że te bomby długie godziny oczekiwania na to, że się miały stać; na rzucili Polacy, i niech was jasna cholera, wszystkich, tę chwilę, w której się dzieją. Kurs bojowy, zakręt, co do jednego wy tłucze!

poprawka:

To Zygmunt anonsuje nas niemieckiemu

— Jeszcze pięć stopni w prawo. Tak jak teraz, garnizonowi portu, a Koza, włączywszy radiostację na dobra.

nadawanie, patrzy w niego jak w tęczę. Chce mi się Warkot silników milknie, pęd gwizdże przy śmiać, krzyczeć, skakać i wymyślać także. Ale w tej burtach.

chwili słyszę głos Bujaka.

—

Ani jednego reflektora — mówi Bujak.

— Panie kapitanie, reflektory!

Artyleria milczy, więc może to strefa myśliwców?

Odwracam się gwałtownie, wyrznąłem

— Zaraz będzie basen numer trzy — odzywa się o coś brodą, chwytam tylce kaemów.

Zygmunt, leżąc na pokładzie, ze wzrokiem utkwionym Z dołu skośnie przebiły mrok dwa skrzyżowane w przeziernik.

groty białego światła.

Patrzę w dół: lecimy, zdaje się, równolegle do Podsadam się wygodniej, wykręcam wieżyczkę brzegu. Gdzie on widzi jakiś basen?

bardziej w lewo...

Aha: widać coś jakby port. Teraz — niewyraźne, Jest jeden: blask lśni na lufach, oczy bolą...

wrzecionowate kształty, jakby ziarnka zboża...

Grzeję — nic.

Ależ tak, to są barki i statki, które Niemcy Druga, trzecia seria — nic.

przygotowują na inwazję...

Za mała poprawka — przelatuje mi przez głowę.

—Uwaga — stęka Zygmunt.

Zakładam więcej, walę, nabrawszy pełne płuca Zatrzymuję oddech.

tchu, i trzymam, trzymam...

—Bomby!

— Zgasł! — krzyczy Zygmunt.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Dlaczego nic nie Istotnie, zgasł. Ale mogłem go nie trafić. Tego słyszeć?!

się, niestety, nigdy na pewno nie wie...

Sześć, siedem...

Tymczasem silniki zaczynają mrużyć i pożary

-Sa!

przez nas wzniecone oddalają się z wolna. Patrząc na nie ciągle, ostygając z emocji, w miarę jak zbliżamy Duch zniszczenia przebiegł po ziemi i wodzie!

się do angielskiego brzegu.

Gdzie stąpił, buchnęło blaskiem, ogniem, dymem! A Po dwudziestu pięciu minutach mijamy Dover.

potem noc jęknęła odgłosem wybuchów i rozszalała Nad Boulogne ciągle widać łunę, a Genowefa rży z się artyleria.

uciechy obu silnikami, piekielnica.

Podmuchy jej pocisków dosięgły skrzydeł

Spoglądam na zegarek: dochodzi północ. Między maszyny: wzdrygnęła się raz po raz, poderwała się w chmurami, pod którymi niesie nas w podmuchach górę, przepadła, gibnęła się na skrzydło i

milcząc sunie wiatru, przebłysku ją gwiazdy. Zdaje się, że deszcz dalej nad coraz jaśniejszymi pożarami, które odbija pada.

czarna, polśniewająca woda u stóp kratownic, doków i Zrobiło się zimno. Włazi za kołnierz, pełźnie po między stłoczonymi barkami.

grzbiecie i po ramionach w dół. A jednocześnie Wtem ktoś zaczyna mówić po niemiecku.

marzną stopy i ręce.

Mówić? Nie: wymyślać. Potok słów popłynął wartko Żeby prędzej było lotnisko!...

przez słuchawki, zmieszał się, zmacił, nabrzmiął pasją Ale droga powrotna dłuży się bardziej niż droga i runął wodospadem przekleństw.

do celu; w dodatku wiatr mamy północno-zachodni.

Byłem tak zaskoczony tą iście piekielną Góral znów pyta co chwila, czy nie śpimy: ja i niemiecką litanią, że z początku wydawało mi się, Bujak. Chce mi się spać istotnie i pewnie bym zasnął, jakby ją nam posyłała okupowana przez Niemców gdyby nie wewnętrzna wibracja nerwowa po tych francuska ziemia. Ale później do przekleństw pierwszych od tak dawna wzruszeniach nocnego lotu niemieckich dołączyły się równie soczyste polskie i na zadanie bojowe.

francuskie, a wreszcie dyszący wściekłością głos Mija znów pół godziny i wreszcie Zygmunt oznajmił:

mówi:

—Zaraz będzie lotnisko.

Wyłączam się z organizmu Wellingtona: od-

—Nic nie widzę — powiada Bujak. I zaraz czepiam kabel słuchawek, odkładam na miejsce potem:

pępowinę przewodu tlenowego, zamocowuję kaemy...

—Lotnisko pod nami!

Wyłazimy, zziębnięci i weseli; ja na końcu, ze Rzeczywiście, z czarnej otchłani mruga do nas zdrętwiałymi nogami, jakby mi nalano wody sodowej sygnał świetlny.

do żył i mięśni. Widzę jak Talaga liczy nas palcem, i Genowefa zawraca łukiem o 270 stopni, czuję, jak mnie dotyka.

wypuszcza łapy podwozia, otwiera klapy skrzydłowe i

—Zdrowi wszyscy, panie kapitanie? — pyta zaczyna tonąć. Na samym dnie ciemności zjawia się stłumionym głosem.

struga światła: to reflektor lotniskowy.

—Zdrowi, zdrowi. Wszystko dobrze — od-Siadamy z nieodzownym gruchotem całego powiadam podzwaniając melodyjnie zębami.

pułda, jakby się dom walił, i kołujemy za mrugającą

—A jak maszyna?

latarką, którą ktoś prowadzi nas na zwykle miejsce Góral mówi, że maszyna jak złoto, i widzę, jak postoję.

gęby mechaników rozjaśnia uśmiech dumy i Z mroku wyłania się narożnik drewnianego zadowolenia: to przecież ich zasługa!

baraku i znajomy strzępiasty świerzek tuż przy nim.

Potem cała załoga otacza mnie i każdy się Lewy silnik, prawy silnik, hamulce! Ogon Genowefy dopytuje, jak mi się podobało. Mówię coś w miarę do podskakuje na kretowiskach, zarzuca, staje. Zmęczone rzeczy i zaraz wszyscy razem zaczynają gadać o tym, motory klekocą wolno, wolno, wreszcie milkną jeden co i jak było. Wreszcie zajeżdża autobus, siadamy i po drugim i słyszę głos Talagi:

jedziemy na „spowiedź” do „inteligentnego” *).

— Schodki! Żywo!

Gorące kakao, papieros i — spać!

Boulogne po raz drugi, Calais, znów pewien ksiądz, który tego dnia kręcił się po lo-Boulogne, Brest, Ostenda; tydzień niepogody —

tnisku; ksiądz — wiadomo — przynosi pecha, jeszcze raz Boulogne i Brest i Le Havre,.. Ge-więc musiało się komuś przytrafić. I bardzo nowefa ciężko startuje w ciemnościach, leci, dobrze, że tylko tyle.

przebija się przez chmury, załamuje promienie Ostatecznie nawet Góralowi złość przeszła, księżycowego światła w swoich oszklonych wie-kiedy udało mu się gładko usadzić Genowefę i życzkach, wywija się reflektorom, kluczy przez kiedy — ku miłemu zdziwieniu całej załogi —

zapory artyleryjskie, upuszcza bomby i — wraca.

Można się do tego przyzwyczaić. Można uwierzyć, że tak będzie zawsze, choć inne załogi mają

rannych i zabitych, a czasem nie wracają...

„Zofia” straciła tylnego strzelca nad Bre-stem; „Helena” miała dwóch rannych w drodze powrotnej z Calais; „Cecylia” nie powróciła z Bre-my...

Genowefa dopiero w dziesiątym locie z nami lądowała przymusowo. Lądowała na brzegu angielskim, na jednym z lotnisk myśliwskich, bez żadnego wypadku zresztą.

Coś tam było nie w porządku z przewodami oleju. Wyrzuciliśmy bomby do morza zamiast

„do Ruhry” — jak z żalem mówił Koza — i Góral zawrócił, przeklinając motorzystów, Ta-lagę i angielski materiał. Tylko Zygmunt zachował

olimpijski spokój; jego zdaniem odpowiedzialność za niepowodzenie ponosił po prostu usłyszeliśmy na ziemi, w głębokich ciemnościach, i syna. Bardziej, niż się to da wypowiedzieć, jak pytanie niezbyt gościnne, ale za to po polsku.

sądzę.

— Kogo tam diabli..po nocy przynieśli? ; Okazało się Pani Bratowa przychodziła do nas czasem, żeby zaraz, że wylądowaliśmy w, polskim nocnym poradzić się mojej żony w sprawie swetrów. (Padały.

dywizjonie myśliwskim i że będzie można na wtedy niezrozumiałe terminy: słupki i półsłupki, ścieg miejscu .naprawić uszkodzenie w ciągu paru godzin.

ryżowy, ścieg gwiazdkowy, dwa oczka w powietrzu Góral został w maszynie, Zygmunt poszedł z innymi itd.). Była ładna, cicha i dobra. Stanowili dobrane, do kasyna, a ja spotkałem sierżanta Prota...

kochające się małżeństwo. Prot, który będąc Było to jedno z tych nieoczekiwanych spotkań, kawalerem trochę popijał i trochę się awanturował, przejmujących i dziwnych, które nagle odwracają jak pod jej wpływem stał się wzorowym podoficerem.

gdyby kilkanaście zapisanych kart życia i przenoszą Dzieci były zawsze czyste i porządnie ubrane. Lubiłem nas w przeszłość nie tak jeszcze dawną, a przecież już całą tę rodzinę, a Prota ceniłem szczególnie, jako oddzieloną od terażniejszości, odciętą szeregiem jednego z najlepszych instruktorów w szkole, gdzie zdarzeń jakże innych niż wszystko, co tę przeszłość sam byłem szefem pilotażu. Dlatego żywo interesował

stanowiło. Kiedy go zobaczyłem w baraku, ten prze-mnie los jego żony i dzieci.

rzut do ostatnich lat przed wojną dokonał się we mnie A teraz wydało mi się, że o nich zapomniał.

tak nagle, że nie mogłem z początku zapanować nad Siedział przede mną na żołnierskim łóżku w

kącie wzruszeniem i długo ścisnąłem rękę Prota bez słowa, barafcu, zwrócony ku światłu żarówki pod usiłując uporządkować myśli, pohamować obrazy i zakurzonym blaszanym kloszem i patrzył ze wspomnienia, które całym tłumem podniosły się skądś, zmarszczonymi brwiami w stronę, gdzie czterech jakby spoza mnie, i pędziły jak wichry, porywając za pilotów grało w bridża przy małym, kulawym stole.

sobą i rozwiewając na wszystkie strony całą moją Patrzył i pewnie wcale ich nie widział, podobnie jak świadomość i przytomność.

nie widział dwóch pozostałych, rozciągniętych na Opanowałem się wreszcie. Połączyłem jakoś, sąsiednich łóżkach. Oni też zresztą nie zwracali na nas powiązałem to co było, z tym co jest. Zaczęliśmy uwagi. Porozpinałe kombinezony wisiały na nich rozmawiać półgłosem, oddzieleni od reszty świata —

fałdziście. a żółtawe kauczukowe kamizelki do jak mi zdawało — niematerialną przegrodą wspólnych nadymania powietrzem na wypadek skoku do morza uczuć.

jeszcze bardziej deformowały ich postacie, rozply-

— Wiadomości x Kraju? — powtórzył Prot wając się w półcieniu tego baraku, gdzie flight B

ostatnie słowa mojego pytania. — Wiadomości z spędzał godziny oczekiwania na rozkaz do lotu.

Kraju, to znaczy — od moich?

Ci dwaj na łóżkach patrzyli w niski sufit, po którym Skinąłem głową i spojrzałem uważniej na jego twarz, łączyły senne muchy i w którego rogach czatowały nieco postarzałą, z wyraźnymi bruzdami biegnącymi pająki. Tamci czterej palili i grali w skupieniu, łukiem od nozdrzy do kącików ust, ze szramą przez rzucając półgłosem słowa bridżowej liturgii. Prot zaś brodę i kilku śladami po ospie na ciemnych, patrzył przez nich na wylot, gdzieś bardzo daleko i nie szczupłych policzkach. Zmarszczył brwi. i zamyślił

odpowiadał, jakby nie mógł dojrzeć tych, o których się, jakby to pytanie dotyczyło spraw dalekich i zapytałem.

dawnych. które dopiero trzeba wywołać w pamięci, by Nie przerywałem jego milczenia. Nigdy nie móc o nich mówić.

można przewidzieć, co się za takim milczeniem kryje: Zdziwiło mnie to. Znałem żonę sierżanta Prota i rozpacz? zapomnienie i zobojętnienie? jakaś tragedia, ich dwoje dzieci jeszcze z Dębłina. Ona była o której się nic nie wie? Może po prostu niechęć do nauczycielką w szkole powszechnej. Chłopiec miał

rozmowy o tych sprawach z człowiekiem, którego się wtedy ze trzy lata, a dziewczynka — Zosia, o ile znało wtedy, gdy wszystko było inaczej niż dziś?

pamiętam... tak, Zosia, tak samo jak matka — może

— Jakie ja mogę mieć wiadomości, panie cztery albo pięć. Prot kochał tę Zosię chyba najwięcej.

kapitanie? — powiedział nagle cichym, chrapliwym Bardziej niż żonę

głosem. — Pamięta pan kapitan tę łąkę, jak się szło nad Wieprz, koło stawu w parku? — zapytał, nabrawszy pełne płuca powietrza, jakby chciał jednym tchem wypowiedzieć wszystko od samego początku.

— Pamiętam — odpowiedziałem półgłosem, a on wstrzymał oddech i patrzył mi teraz prosto w oczy, badawczo i pilnie, czekając chyba, abym sobie tę łąkę przypomniał.

Pamiętałem ją zresztą bardzo dobrze: była rozległa, wilgotna, zarośnięta wysoką trawą, której nikt nie kosił, i pełna kwiatów. Latały nad nią czajki i nasze samoloty, a dzieci zawsze tam biegały w lecie robić bukiety. Dalej zaczynały się uprawne chłopskie grunty, dzień, podczas jesiennej „bitwy o Londyn”.

a jeszcze dalej, między piaszczystymi hałdami i Właśnie o nocne walki chciałem go zapytać, ale mieliznami płynęła rzeka obrosła po brzegach wikliną.

po tych jego przejmujących słowach nie miałem Tam chodziliśmy się kąpać.

odwagi pytać o cokolwiek.

— To było trzeciego września — zaczął znów Sam zaczął mówić po chwili. Najpierw wolno, z Prot, odetchnąwszy głęboko. — Trzeciego września, w przerwami, jakby mu trudno było wrócić od tej łąki niedzielę. Dęblin już był wtedy tak zbombardowany, że nad Wieprzem, gdzie niemiecki pilot zabił mu dziecko, nie przedstawiał żadnej wartości wojskowej. Tylko a potem już składniej i bez przerw, podczas których niektóre domy mieszkalne ocalały. Między innymi ten, wydawał się nieobecny.

w którym kiedyś pan kapitan mieszkał, zaraz obok na-

— "Wygasiłem ich dość, panie kapitanie. W

szego. Rano pozbieraliśmy ludzi i zorganizowało się na Polsce nie, bo nie było na czym. Ale we Francji, w nowo oddziały, a koło południa zaczęły

„Finlandzkim Dywizjonie” i tu, w zeszłym roku. Nie wracać rodziny: z Masowa, z Gołębia i gdzie tam się zależało mi na życiu, ale żyję. Może nawet wrócę kto przed bombami chronił. Ja poszedłem po swoich, kiedyś do tego grobu na dęblińskim cmentarzu...

żeby ich gdzieś na stałe umieścić, bo mieliśmy iść z

... Potem poszedłem do nocnego dywizjonu. Z

Dębłina. Przez tę łąkę szedłem, panie kapitanie, jak ich początku było trudno i już chciałem iść z powrotem do zobaczyłem z daleka wszystkich troje. Zośka mnie też dziennego, bo nie mogłem żadnego drania upolować.

zobaczyła i zaczęła biec do mnie. A wtedy przyleciała Ale wszystkiego można się nauczyć i teraz idzie.

wyprawa, pewnie ze trzydzieści Dornierów, i dawaj Nawet wolę te nocne

grzać po lotnisku. Wszyscy stanęliśmy w miejscu: nie wiadomo, co robić — takie to było nagłe... A między nami jeszcze z pół kilometra tej łąki... Tylko Zośka biegła ku mnie w czerwonej sukience.

Spojrzał na mnie znowu, jakby chcąc sprawdzić, czy słucham uważnie, sięgnął do mojej papierošnicy, którą mu podałem, wziął papierosa i wygniatając go w palcach mówił dalej:

— Jeden taki syn ją zobaczył, bo lecieli nisko: na trzystu — do czterystu metrów. Przypikował nad łąką i zaczął siać z przednich kaemów. Schodził coraz niżej, prosto na nią, a mnie — jakby kto ukropem oblał: tchu mi zabrakło i nawet krzyknąć nie mogłem, tylko patrzyłem.. patrzyłem, póki nie upadła. Jak ja to przeżyłem, panie kapitanie, daję słowo, nie wiem.

Czasem mi się jeszcze teraz zdaje, że to nieprawda.

Spojrzał znów poprzez barak gdzieś niezmiernie daleko, a ja miałem wrażenie, że odchodzi wraz z tym spojrzeniem, że nie ma go tu wcale, choć przecież siedział przede mną i powolnym ruchem podnosił do ust papierosa, by go wreszcie zapalić. Zaciągnął się głęboko dymem i wrócił: spojrzał mi znów w oczy.

— Musiałem iść — powiedział usprawiedli-wiająco. — Taki był rozkaz. Ledwie zdążyłem ją pochować; nawet bez księdza.

— A żona? — wyrwało mi się. — A syn?

Rozłożył ręce, przechylając głowę na bok i unosząc ramiona.

— Nie wiem — wyszeptał tak cicho, że gdyby nie drgnienie warg, nie rozpoznałbym tych słów.

Milczeliśmy obaj paląc. Nie wiedziałem co powiedzieć, co zrobić.

Cóż powiedzieć czy też uczynić mogłem?

Nie wiedziałem nic dotąd o jego losach: dopiero tu, w tym nocnym dywizjonie myśliwskim w Wielkiej Brytanii dowiedziałem się, że Prot żyje. Że jest jednym z najlepszych pilotów, że zestrzelił w nocy pięć niemieckich maszyn, nie licząc tych, które zestrzelił w polowania: można bliżej podejść i prac choćby z

„Halo. Kora, Kora, sekcja czerwona, flight B.

dwudziestu jardów.

Jesteśmy na wskazanym kursie i wysokości. Nic nie Przerwał, bo przy stole .wynikła krótka sprzeczka widać.:Co mairiy dalej robie? Odbiór... Odbiór...

o jakieś wyjście spod króla, ożywił się nagie, zapalił

Odpowiedź jest natychmiastowa:

nowego papierosa i pochylając się ku minie, zaczął

„Przed wami na "wprost samoloty nieprzy-zupełnie innym tonem:

jaciela"

— Pamiętam takie pierwsze nocne spotkanie po Już nieraz to słyszałem, panie kapitanie. I zawsze wielu niepowodzeniach. Pan . kapitan przecież wie, jak wtedy najgorzej się czuję: człowiek po prostu wylazi to jest, kiedy człowiek nie może ani rusz złapać do ze skóry, żeby coś zobaczyć i nic.

czegoś drygu w powietrzu. Zupełnie jak uczeń, który Myślę sobie: w operation wiedzą, gdzie ja jestem nie może zrozumieć, na czym polega lądowanie albo i gdzie oni są. Może to 300, może 200 jardów? A ja start. Wydaje się,, że nigdy tego nie skapuje, choćby, nie widzę. Pewnie są niżej, na tle ziemi.

mu nie wiem jak tłumaczyć. A potem przychodzi taki Schodzę niżej, wypatruję nad sobą na wprost, na błysk — raz jeden — i już: wszystko jest łatwe i lewo, na prawo i znowu nic. A minuty ciekną jedna po proste. No nie?

drugiej. Każda taka minuta to przecież więcej niż Skinąłem głową, a on rozsiadł się wygodniej i sześć mil przestrzeni, a Niemcy .też nie stoją w oparłszy łokcie na kolanach, uśmiechnął się po raz miejscu, tylko mogą odchodzić pod kątem: mogą teraz pierwszy tego wieczora. Uśmiechnął się nie do mnie, być już za mną, na lewo albo prawo w tył. Może lecz zapewne do swoich myśli, jak uśmiechał się właśnie wchodzą nad cel? Może już bombardują?

niegdyś, kiedy miał mi do opowiedzenia coś, co jego Może wymykają się z powrotem w stronę Kanału?

zdaniem było ciekawe. Pamiętam, że uśmiechał się tak Żeby choć wiedział, gdzie jest ten Kanał... Nie zawsze, powierzając mi jako młody instruktor swoje ma czasu spojrzeć na busolę, zorientować się. Nie ma

„odkrycia" z zakresu metod szkolenia i poddając je czasu na łączność z moim numerem 2, bo właśnie memu osądowi. Lubiłem słuchać tych jego zwierzeń i wtedy, gdy będę się za nim rozglądał, mogę minąć obserwować, jak dojrzewa w nim prawdziwy talent Niemca nie zauważywszy go wcale.... Taka, psiakrew, świadomego siebie pilota. I on lubił mnie zapewne, ślepa babka!

ponieważ nigdy nie przybierałem wobec niego. Ale wtedy zobaczyłem ich: szli przede mną, mentorskiego tonu, lecz starałem się pomóc mu tylko trochę powyżej. Właściwie nie widziałem jeszcze ich w samodzielnym myśleniu.

maszyny, tylko błyski coraz nowych gwiazd. Tak właśnie uśmiechał się teraz, a ja - tak jak wyłaniających się zza jej skrzydeł. Dopiero potem niegdyś — spojrzałem na niego uważnie i utrwalił mi się w oczach czarny cień na tle zachęcająco.

granatowego nieba i wtedy dostrzegłem także, jak

— Wystartowaliśmy z podporucznikiem gwiazdy gasną, gdy je przesłania.

Ruteckim, pan kapitan go pewnie nie

Zameldowałem operation, że widzę. Wrze-pilem zna, bo to młody pilot, z ostatniego rocznika przed pełny boost. Ostrożnie, wolno, żeby ich nie zgubić w wojnę, o, ten, co gra w bridża, tyłem do nas. Więc ciemności, wyciągnąłem się w górę, ponad nich.

wystartowaliśmy późno w nocy, pewnie koło drugiej.

Widziałem ich ciągle, coraz lepiej, choć sunęli teraz Księżyc nie było, ale gwiazdy świeciły i powietrze na tle ziemi, prawie tak samo czarnej jak maszyna.

było czyste jak rzadko. Ledwo wciągnąłem podwozie i Nauczyłem się ich widzieć.

zameldowałem się przez radio w operation, podając Księżyc nie świecił, ale na skrzydłach kładła się kurs i wysokość — 14 000. Wchodzimy. Na sześciu błada poświata z nieba jaśniejszego niż noc tam w tysiącach nowy kurs, o 45 stopni różnicy. Na dziesięciu dole. Wiedziałem już, że odtąd potrafię zawsze ich znów 90 stopni różnicy. Dochodzimy do 14 000, każą dojrzeć, i z góry, i z dołu. Wiedziałem, ale nie zawrócić o 180 stopni. No dobrze. „Trzymać się na tym myślałem o tym.- Przez poziomie”.

Lecimy, lecimy i nic. Po dziesięciu minutach słyszę jak Rutecki się melduje:

głowę przeleciała mi tylko jedna krótka myśl: tylko między nami dwoma, jak pauza przed Rutecki mi się zgubił, będę atakował sam. , ostatnim akordem jakiejś melodii.

Potem już właściwie przestałem myśleć: ten Przerwał ją trywialny dzwonek telefonu.

proces, jaki się odbywa w mózgu przed samą Natrętny, głośny, bezczelny. Dyżurny telefonista walką i w czasie walki, jest chyba mechaniczną zdjął słuchawkę. Od stolika brydżowego pracą jakiegoś zespołu komórek mózgowych wykręciły się w jego stronę cztery postacie.

przeznaczonych wyłącznie do obliczania.

Fałdziste kombinezony opuściły nogi z łóżek na odległości i poprawek ognia, a cały organizm, ziemię. Ktoś stłumił głośnie ziewnięcie.

wszystkie odruchy mięśni i wszystkie zmysły tak Telefonista powiedział:

są skoncentrowane w tym jednym kierunku, że na

— Czerwona i żółta sekcja do maszyn.

żadne myśli nie ma już miejsca.

Prot wydał policzki i odetchnął jak gdyby z Zbliżałem się: 300 jardów — 250 — 200...

ulgą.

jaśniejsza gwiazda przejrzała się w szybach

— Muszę lecieć — rzekł do mnie rażno. —

ich wieżyczki astro.

Pan kapitan jeszcze tu zostaje?

150 jardów: można by otworzyć ogień.

— Tak. Zobaczymy się jeszcze. Good luck.

Widzę dokładnie kształt skrzydeł, kadłuba, Uścisnął mocno moją rękę i trzymał ją usterzenie ogona: to Do-215. Balansuje w prze-przez chwilę w swojej twardej kościstej dłoni.

strzeni przede mną leniwie, łagodnie, jak w cie-

— Jakoś mi lżej — powiedział. — Dziękuję.

mnym, choć przezroczystym oleju. Rośnie...

100 jardów... Trawersuję lekko w prawo, Poszedłem do operation. Trzy telefony w żeby go mieć ze skosu, bo wtedy cel jest większy.

„łóży" odzywały się raz po raz:

Redukuję obroty, żeby go nie wyminąć i żeby jak

— Halo, Kora, Kora...

najdłużej był w ogniu moich kaemów i działka.

Ktoś się meldował, ktoś pytał o fix, ktoś brał

50 jardów: teraz...

czas. QDM, pogodę... Potem wyczekująco: Czuję leciutkie drżenie mojej maszyny i

— Odbiór... odbiór...

widzę smugi pocisków przed skrzydłami Podawano im kursy, wysokości, rozkazy. Na Dorniera. Naciskam nieco ster. Sekunda, dwie —

czarnej tablicy zjawiały się krzyżyki i kreski już w nie wchodzi; trzy — wydaje mi się, że po znaczące drogę samolotów: czerwone, żółte, czarnym kadłubie skaczą drobne iskierki, jak z niebieskie, zielone, białe... Na wielkim kwadra-krzesiwa. Zamykam gaz, trzymam go w smugach, towym stole z namalowanym wycinkiem mapy choć robi głęboki unik w prawo, potem w lewo.

przesuwały się tabliczki i kolorowe strzałki, Wtem: błysk czerwony, ogromny, w tym miejscu, układane przez kilkanaście telefonistek ze słu-gdzie skrzydło wyrasta z kadłuba, i — lecą chawkami na uszach. Wszystko to, co działo się strzępy!

w ciemnościach nocy, daleko, nad wielkim Staram się jeszcze iść za nim w dół, ale to, szmatem ziemi i morza, tu odbijało się jako co tam teraz spada, spada jak kamień.

schemat w jasnym świetle lamp, w obliczu Więc tylko mówię to, co mówiłem każdej wielkiego zegara o tarczy podzielonej na barwne zestrzelonej załodze. Mówię, że...

sektory.

Zawahał się i nagle zamilkł. Spojrzał na mnie Angielski sęadron-leader, kościsty, długi, jak zbudzony ze snu, obejrzał się na grających, na łusy jak kolano, przeglądał jakieś papiery i tych dwóch, którzy zdawali się drzemać mrucał na przemian: yes albo all right w od-wyciągnięci na łózkach i szybkim, nieco powiedzi na meldunki swego pomocnika czy nerwowym ruchem zgniótł niedopałek papierosa.

adiutanta, półgłosem porozumiewającego się z Ściągnięte brwi drgały mu lekko. Odwrócił w bok oficerami, którzy wisieli przy trzech telefonach głowę i cień od czoła zakrył mu oczy. Biała operacyjnych. Sierżant wcinał na mapie pozycje, blizna błyszcząca cienkim naskórkiem na notował. Czasem dyskretnie burczał telefon z wydatnym podbródka zaczerwieniła się, grupy myśliwskiej. Czasem ktoś wchodził, kładł

podbiegła krwią.

papiery na stole, zabierał inne i wychodził.

Nikt na niego nie zważał. Nikt nie słyszał

Nie przenikały tu uczucia. Strach, poświę-

tego, o czym mówił i nagle milczenie zawisło cennie, zaciekłość, nienawiść i bohaterstwo zostały tam, w ciemnej nocy, w powietrzu. Tu były tylko chłodne, suche fakty. Powstawały z krwi, z nerwów, z bicia serc, ale wyrażane były symbolami cyfrowymi i geometrycznymi wykresami.

Telefon na lewo obsługiwał kędzierzawy blondyn z naszywkami flightlieutenanta.

— Ada, Ada. Red section, flight B. Odbiór... odbiór...

Zbliżyłem się: to była sekcja Prota. Usłyszałem jego głos:

— Halo, Kora, Kora. Tu sekcja czerwona flight B. Odbiór... odbiór...

Kędzierzawy spojrział na czarną tablicę. Czerwone krzyżyki podciągały się łukiem ku białym kreskom, biegnącym z południa na północ.

— Halo, Ada, Ada. Przed wami nieprzyjaciel, 15 stopni w lewo. Kurs 170. Odbiór... odbiór....

Flight-lieutenant opiera się lewą ręką o stół. Czeka. Słucha.

Cisza: pięć sekund, dziesięć sekund, piętnaście sekund...

Wielka wskazówka skacze drobnymi susami, truchcikiem po niebieskim sektorze tarczy zegarowej, a ja patrząc na nią widzę oczy sierżanta Prota. Czujne, wytężone, wbite w ciemność, szukające odbicia poświaty gwiazd na skrzydłach niemieckiej maszyny. Oto ciemność gęstnieje w jednym miejscu: „czarna plama na granatowym tle nieba”. Czarna plama, która w ułamkach sekund „gasi przed sobą, za sobą zaś zapala gwiazdy”... I jedna z tych gwiazd przegląda się w wieżyczce astro!

— Halo, Kora, Kora. Widzę nieprzyjaciela...

Plight-lieutenant mruga do mnie z uśmiechem. Słuchamy...

Zegar dalej mierzy czas truchcikiem: sektor biały, sektor żółty...

— Pięćdziesiąt jardów... otwieram ogień — melduje Prot, jakby mówił: Otwieram książkę na dziesiątym rozdziale.

Na czarnej tablicy czerwone krzyżyki wchodzą na białe kreski. Wskazówka zegara sięga czerwonego sektora.

Już jest w jego połowie: to siedem sekund; to prawie kilometr lotu; to jakieś tysiąc pięćset wystrzelonych pocisków... Czy Prot jeszcze żyje?

Żyje, słyszę jego chrapliwy głos:

— Za śmierć Zośki! Za moje dzieci i żonę!...

Kędzierzawy jest nieco zgorszony: takich słów King's Regulations nie przewidują w kodach rozmów lotniska z ziemią.

— Numer jeden czerwonej sekcji ffightu B — Ada zestrzelił Niemca — oświadcza i na czarnej tablicy znika rząd białych kresek.

Pociągi niskich, czterokołowych wózków

— Załoga do maszyny!

wyglądają jak potworne gąsienice z wielkimi Macam w ciemności stopami szczeble drabinki: głowami żółtych ciągników. Pełzną wolno dokoła jeden, dwa, trzy, cztery. Wchodzę coraz wyżej i lotniska i wiją się członowatym, żółto zaczynam widzieć. Wewnątrz jest jaśniej niż na nakrapianym tułowiem po asfaltowych jezdniach.

zewnątrz: nafosforyzowane cyfry i strzałki na Te żółte cętki na członach-wózkach to bomby...

tarczach zegarów i przyrządów rzucają mdły, matowy Gąsienice podpełzają ku rozkraczonym blask na to wnętrze, podobne chyba do wnętrza Wellingtonom, wąż im pod brzuchy i zatrzy-brzucha wieloryba.

mują się, opadnięte aagle przez brygady me-Lampy i gałki radiostacji połyskują jak. wypukłe chaników jak przez mrówki. Wtedy z wolna gruczoły; drgają nerwy anteny; sterczą duralowe otwierają się wąskie wargi drzwi bombowych pod żebra kadłuba; wzdłuż nich. biegną jelita przewodów, kadłubami samolotów i żółte cętki znikają z grzbietu układają się w zwoje i skręty,* przeplatane gąsienicy, pieczołowicie podwieszane w ciemnej czerwonymi kablami jak siecią naczyń krwionośnych; czeluści rękami przemysłnych „mrówek”.

śluzówki gumowych pokrowców, napięte; przepony Tak to wygląda z daleka w zapadającym przegród, nerko-waty kształt kauczukowej łodzi —

zmierzchu. Z bliska zaś... Tysiącfunтова bomba wszystko to razem wydaje się być organizmem postawiona pionowo na ziemi jest niemal tak wysoka żywego potwora.

jak człowiek. Pękata u dołu, smukła u góry, Prześlizguję się przez ciasny przełyk między zakończona kołnierzem z blachy, który wraz z wąskimi kabiną pilotów a stanowiskiem radiotelegrafisty. Za statecznikami stanowi jej opierzenie, podobnie jak mną wciska się ten ostatni i Bujak, przedni strzelec.

lotka pióra przy drewnianej strzale do łuku. Kołnierz Widzę plecy pilotów i sylwetkę Zygmunta.

blaszany służy zresztą jeszcze do pewnego celu, nie Mechanicy zatrząskują właz. Ruszamy na start.

przewidzianego zapewne przez konstruktora: Wiem, o czyni myśli w tej chwili cała nasza mechanicy i' zbrojmistrze wypisują ha nim swoje załoga: dziś jest piątek, 13 czerwca; to jest trzynasta krótkie, ale dosadne życzenia pod adresem Niemiec w wyprawa naszego Wellingtona i trzynaste zadanie ogóle, a ich przywódców w szczególności. Tym razem bojowe Górala, który siedzi teraz za sterem.

nasze bomby mają skromny napis: „Z pozdrowieniami O tym samym myślą także wszyscy nasi od Hessa dla Hitlera". Nie jest zupełnie wyłączone, że mechanicy z obsługi technicznej; dwaj motorowcy: ktoś tam w Niemczech ten napis przeczyta, jeśli jeden gruby, drugi chudy jak tyka; obaj kaprale kołnierz nie zostanie rozerwany w strzępy. Tak płatowcowi, z których jeden patrzy zawsze spode łba i przynajmniej myślą nasi mechanicy.

nic nie mówi, tylko pracuje % dziką pasją, drugi zaś Odprawa załóg: godzina startu, trasa tam i z gada za siebie i za niego, na przemian klnąc, powrotem; położenie celu, wysokość bombardowania, dowcipkując i wzdychając do rudej Angielki z rozmieszczenie baterii, reflektorów i myśliwców pobliskiej farmy, gdzie się chce „wżenić", choć to obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela; światła; będzie — zdaje się — już druga bigamia w jego komunikat meteorologiczny; specjalne informacje...

młodym życiu; sierżant Talaga — brygadzysta, który Opracowanie zadania: kurs do celu i od celu, lubi wypić, ale i robić potrafi, a zna tego Wellingtona czas, sposób nabierania wysokości, sposób jak własne dziesięć palców; palców zgrubiałych, z bombardowania...

bliznami od zadziorów, z twardymi paznokciami i Senne powieki wieczora opadają na lotnisko.

skórą zżartą smarem i benzyną, zręcznych, silnych jak Dołem ściele się cień; czerwien zachodu przesłaniają stalowe narzędzia, palców mechanika; i wreszcie mgliste opary, jak popiół przesłania dogasający żar Pryszczyk, nadetatowy pomocnik. Żaden z nas i żaden ogniska; tylko w zenicie niebo jest jeszcze jasne, ale ze z nich nie wspomniał słowem o tej trzynastce. Jeszcze wschodu i z południa okrywa je nadpływający kożuch by też!

obłoków. Hangary, budynki, baraki, drzewa, krzewy Ale na łbie maszyny, obok dwunastu małych czerniejące dotąd wokoło — zdają się roztopiać w bombek namalowanych żółtą farbą — nie mroku.

wymalowano trzynastej. Natomiast tego popołudnia Zaczynają basem warczeć silniki. Cisza drży ich na burcie zjawił się grawerowany w srebrze obraz rytmem. Bo cisza trwa dalej: to, co dla innych może Matki Boskiej, przykręcony czterema śrubkami.

wydawać się nieznośnym hałasem, dla nas jest tylko Góral od razu go zauważył.

drzeniem ciszy. Warkot silnika towarzyszy nam

— A to skąa? — zapytał szorstko.

nieustannie, więc nie liczy się jako głos. Głos w Mechanicy popatrzyli na siebie trochę.

powietrzu to tylko stłumiony huk bomb zmieszani, a potem Talaga chrząknął i powiedział:

wybuchających w dole (o wiele mniej donośny zresztą

— To... od brygady.

niż ten warkot silników, który jest naszą ciszą). Głos w słuchawkach. I wreszcie głos to wszystko to, co słyhać gdy się zamknie gaz: więc i ta prawdziwa,

„ziemska" cisza.

—Za dużo forszy macie, że takie rzeczy... hm...

wyglądał raz po raz na lotnisko i patrzył w niebo.

tęgo... Przecież to moc pieniędzy musiało. Wiem, że mechanicy będą czekali do świtu: czy kosztować?

aby nie zawrócimy z drogi? Czy wszystko pójdzie

—A bo to nie nasza -maszyna? — wtrącił się dobrze? Za cztery, może za pięć godzin ogarnie ich kapral bigamista.

niecierpliwość: dlaczego Genowefa jeszcze nie wraca?

— My ta trochę mniej- palili i oszczędziło się —

Potem będą odpędzać myśli o tych maszynach, które bąknął gruby motorzysta.

nie wróciły i nie wrócą już nigdy. Będą z niepokojem

:

— Głupiś — warknął na niego Pryszczyk. —

patrzeć, jak lepka mgła wstaje przed świtem z ziemi i Brygada kupiła i już, panie kapitanie.

na pewno któryś powie, że mgły wcale nie będzie i że Na naszą maszynę my kupili.

pogoda jest dobra.

Nie było o tym więcej mowy. A teraz pewnie Wiem, że ci ludzie są zmęczeni: pracowali cały także i o tym wszyscy myślą, podczas gdy Willington.

dzień, żeby „grata" przygotować na wyprawę. Jutro ciężko toczy się na skraj lotniska, gdzie migają muszą go przygotować równie sumiennie. Może nie światełka ręcznych latarek elektrycznych i skąd długa zdążyli nawet zjeść obiadu. Na pewno nie dospali prosta linia rzadko rozstawionych lamp wskazuje wczoraj. Ale ktoś musi niepokoić się za nas tej nocy po kierunku startu pod wiatr.

to, żebyśmy mogli być spokojni. Tak widać trzeba.

Daleko, na końcu tej linii jest lampa czerwona.

Zygmunt podaje kurs i Góral ciągnie maszynę, Tam nasz Wellington musi oderwać się od ziemi, bo...

żeby przed grubą warstwą chmur nad morzem zdobyć dalej już nie ma lotniska: są drzewa, krzaki, droga, wał

potrzebną wysokość, bo w chmurach mogłoby nas za drogą i w ogóle sanie przykrości.

oblodzić.

Głos oficera startowego odzywa się w słu-Idę do tylnej wieżyczki, na sam koniec ogona i chawkach:

siadam przed zdwojonymi karabinami maszynowymi w

— Halo, Genowefa, podkołować bliżej. Wykręcić ruchomej oszklonej klatce, obracalnej dokoła własnej trochę w lewo. Tak, dobrze. Możecie startować. Good pionowej osi. Moim zadaniem teraz jest „osłona luck!

samolotu ogniem kaemów od wszelkich ataków z tyłu, Jednocześnie sygnał zielonym światłem i z rykiem w wypadku spotkania z myśliwcami nieprzyjaciela i motorów ruszamy w ciemność.

obserwacja nieba oraz terenu" — jak mówi regulamin.

Start jest długi, bardzo długi: mamy największe Lecimy nad Anglią, która sunie pod nami dopuszczalne obciążenie, a wiatru prawie nie ma.

bezkształtna i ciemna, przygnieciona głębią nocy.

Samolot rusza wolno, niechętnie podnosi ogon i toczy Tylko raz światło latarni morskiej przebija mrok.

się, podskakuje, przysiada ciężko, aż jęczą Wtedy także widać zarys brzegu, na który morze amortyzatory, znów się toczy, lepi się do ziemi, nie wchodzi jaśniejszymi liniami fal.

może odkleić od niej podwozia, leniwie reaguje na Potem zaczynają się obłoki. Jedne są tuż pod stery, rozpędza się zaledwie w połowie lotniska i nami, inne zbliżają się ku nam wprost na naszym jeszcze biegnie, jeszcze cięży, jeszcze drga na szlaku, rosna, piętrzą się, wchłaniają samolot i gnają nierównościami, podczas gdy czarna masa hangaru z dokoła niego w tył, by nagle rozpaść się, zniknąć jak czerwonymi ostrzegawczymi światłami wyłania się z widziadła, pozostawiając tylko leciutki osad szronu na mroku i rośnie, zbliża się, pędzi naprzeciw.

szybach. Najwyższa ich warstwa, cienka, Góral przemocą wrywa maszynę w powietrze, półprzezroczysta, ażurowa, jest bardzo wysoko: może ale w tej chwili prędkość maleje, Wellington

zapada w 30 000 może 35 000 stóp. Zdaje się stać w miejscu, płytką przestrzeń, pneumatyki i amortyzatory burczą po podczas gdy my wraz z księżycem płynie na grudach, a wzdłuż wiązań gondoli idzie dreszcz wschód. Ten księżyc świeci blado przez tarkę obłocz-wysiłku.

ków. Właśnie tak, jakby się o nią ocierał i prosił

Ostatnia — czerwona lampa linii startowej płynie matowym pyłem światła.

na wprost, nieco z lewej strony. Już jest blisko. Już Merkury melduje od czasu do czasu:

zostaje z boku. Już... Maszyna wychodzi w powietrze!

—10 000 stóp... 10 500 stóp... 11000 stóp... Potem To jest tak, jakby nie tylko ziemia zostawała tam Bujak:

w dole, na dnie nocy. Wraz z nią

—Widzę brzeg.

zostaje ziemny niepokój. Pod nami śmigają teraz-To brzeg Holandii. Widać na nim z daleka wierzchołki drzew, za nami zostają czerwona Światła, niemiecki beacon i kilka reflektorów macających czuwające .na straży hangarów. Za nami i pod nami niebo.

zostają nasze myśli o tej trzynastce i myśli naszej Pada rozkaz:

brygady; zaczyna się lot, i teraz niech się o nas I za nas

— Przestrzelać karabiny.

niepokoją ci, ęo: tam zostali.

Obracam wieżyczkę w lewo, w prawo. Chwytam Wiem, że komendant stacji nie pójdzie spać.

tylce kaemów i naciskam spust. Po dłoniach Będzie chodził po swoim pokoju; będzie markował po zaciśniętych na chłodnych rękojeściach, po mięśniach pustym kasynie; będzie czekał przy radiostacji; będzie ramion, po barkach idzie dreszcz, podobny do dreszczu odczuwanego przy prowadzeniu motocykla.

aksamitna, a przed wzrokiem pozostaje na chwilę Teraz trzeba uważać na niebo głównie od strony ostatni obraz skłóconych, pokrzyżowanych linii. Ale księżyc; stamtąd może podejść nocny myśliwiec. Ale zaraz znów podnosi się jedna srebrzysta klinga, niebo jest puste, a obłoki znów gęstnieją i okrywają przecina ją druga, trzy inne płatają czarny aksamit na nas cieniem.

sztuki i tajemnicze manewry zaczynają się od Po długiej chwili i ja widzę brzeg. Wchodzi pod początku.

stateczniki naszego Wellingtona równą, niemal prostą Gdzieś z boku, w dole, błyskają drobne ogniki i linią, przepływa i znów się urywa: mijamy wyspę przed nami rozpryskują się setki mniejszych i Texel, a następnie przecinamy cieśninę Wadden większych gwiazd: Niemcy stawiają raz po raz zapory dokładnie po wyznaczonym kursie.

artyleryjskie.

Nowy ład — tym razem już naprawdę ład —

Góral gra na silnikach jak na organach. In-zaczyna tu i ówdzie spoglądać w niebo źrenicami terferencje ich rytmu wchodzą na siebie, mijają się.

reflektorów. Jest ich coraz więcej. Tną mrok nożycami wyprzedzają. Maszyna przewija się w zakrętach, białego światła na pasy, trójkąty ostro- i schodzi w dół, wspina się w górę, zmienia kurs.

rozwartokątne, na romby i nieregularne wlełoboki; Mijamy granicę holendersko-niemiecką na tworzą stożki, ostrosłupy i snopy; zakreślają łuki, wysokości 15 000 stóp i po dziesięciu minutach elipsy i parabole. Piaz po raz smagają skrzydło lub bierzemy nowy kurs. Reflektorów jest coraz więcej.

ogon maszyny i nie dostrzegłszy jej na wysokości Artyleria wszelkich kalibrów grzeje na oślep czterestu tysięcy stóp, kreślą dalej.

kolorowymi pociskami. Szybkostrzelne działa Aż nagle ta niesamowita geometria z ciemnej wyrzucają ku nam różańce amarantowych koralików; przestrzeni kładzie się na płaszczyźnie ziemi, półkuliście zgrupowane średniodonośne baterie wyrabując z ciemności jakieś kształty terenu, rozwieszają w przestrzeni frędzle, utworzone jakby z fragmenty dróg, drzew i budynków, po czym gaśnie nanizanych na niewidzialne sznury purpurowych równie nagle i niespodziewanie.

serdelków czy kielbasek; wielkokalibrowe, Wtedy czerń nocy staje się jeszcze głębsza, dalekosiężne działa bluzgają ogniem i ślą zielonawe lub żółtawe kule, które rosną w oczach, zbliżając się z niewiarygodną szybkością i pryskają jak bańki mydlane u szczytu zakreślonej paraboli. Wzrok nie nadąża w chwytaniu i absorbowaniu tych wszystkich zmiennych barw, rozbłysków, ognistych węzowisk zakwitających i gasnących na tle czarnej nocy, pociętej w białe pasy i kliny mieczami reflektorów. Aż w głowie się kręci od ich szalonej zmienności. Aż traci się poczucie położenia maszyny i nie wie się gdzie niebo, a gdzie ziemia.

Czuję, że coś się ze mną dzieje takiego, czego nie lubię. Trudno ustalić co to za

uczucie. To jest tak, jakbym zdrętwiał w niewygodnej pozycji. Albo jakbym nie mógł rozprostować zgiętych nóg. Albo jakbym nie mógł głęboko odetchnąć. Ale to wszystko nie to. I nawet to nie strach, lecz jakby wewnętrzne napięcie, które odczuwam fizycznie. Cóż to jest u licha? Uparta świadomość tego czegoś, czego nie mogę odkryć, odrywa mnie od spraw zewnętrznych, i wreszcie — mam! Spostrzegam się, że ze wszystkich sił

zaciskam szczęki. Rozluźniam więc mięśnie i doznaję natychmiastowej ulgi: moja uwaga odlepia się

na chwilę od wojennej iluminacji; w wyobraźni widzę sylwetki reszty załogi: skupione, napięte, nieruchome.

Może, tak jak i mnie, otumanilo ich to, co się dokoła nas dzieje?. Może wbijają sobie paznokcie w dłonie, albo zaciskają zęby,- nic o tym nie wiedząc? Może znajdują się w podobnym do mojego stanie: tej dziwnej hipnozy, kiedy nie myśli się o niczym, kiedy mózg staje się tylko mechanicznym odbiornikiem wrażeń?

Nie: Zygmunt coś mówi do Górala. Ten potwierdza i kładzie maszynę w głęboki zakręt o 180

stopni. Aha: minęliśmy cel, zawracamy i bierzemy marańczowym światłem. Ogień bucha w górę ze kurs bojowy do bombardowania.

słupem dymu, kurzu, gruzów, belek i czegoś, co Teraz Zygmunt kładzie się na brzuchu i wygląda z tej wysokości jak śmiecie rozdmuchnięte przyłgnawszy twarzą do szyby, naprowadza pilota. Za potężnym miechem.

chwilę kilka tysięcy funtów bomb runie w dół.

W ułamku sekundy widzę dom narożny za-Silniki zwalniają rytm; już tylko mruczą; już walający się w ciasny kory tarł ulicy; komin który milkną. Schodzimy niżej, bo pod nami ściele się pochyla się wolno i pęka w połowie; wagony delikatna przesłona obłoczków, jak welon z białej spiętrzające się w stos przed rumowiskiem dworca i gazy. Teraz słyhać odgłosy kanonady działowej i otwartą ognistą czeluść w bloku stłoczonych szum pędu maszyny. Fletnery na sterach nad moją budynków. Dopiero potem przychodzi stłumiony huk, głową z sykiem i gwizdem rozdzierają gęsty opływ jak siedmiokrotne echo. A potem wielki pożar powietrza.

gwałtownie rozjaśnia ziemię wśród ruin po drugiej Ciągłe schodzimy w dół. Merkury melduje: stronie torów.

— 13 500... 13 000...

Melduję kolejno o tym, co się tam dzieje. Nie Biały welon przewiewa dokoła nas, rozpada się i mogę widzieć twarzą moich towarzyszy, ale wiem, że znika. W dole widać mętne

rozjaśnia je drapieżny uśmiech. Pamiętamy — i ja, i zarysy miasta. Na naszym kursie — o ile mogę dojrzeć oni — Warszawę, Westerplatte, Siedlce, Kutno...

z mego stanowiska — płonie kilka pożarów. To Mimo woli spoglądam ku wschodowi: tam jest zapewne od bomb tych, co tu byli przed nami.

Polska, 350 mil stąd. W dwie i pół godziny Jeszcze nie jesteśmy nad celem. Każda sekunda moglibyśmy dolecieć do Poznania; w niecałe cztery do wlecze się teraz nieznośnie długo.

Warszawy albo do Krakowa... Któż z nas nie marzy o

— 12 500 stóp...

takim locie? Są tacy, którzy już mają obliczony kurs i Jakiś reflektor liznął spód kadłuba od przedniej czas co do minuty.

wieżyczki aż do stateczników, zawahał się, powrócił, chlasnął po prawym skrzydle, wrócił znowu i chybił.

Ale już drugi rozplątał na ukos ciemność, dwa inne spojrzały ku jego białej, wąskiej jak oszczep smudze, pomacały ją nad nimi, pod nami, i zaczynają szukać.

Po paru sekundach jeszcze kilka kieruje się ku nam.

— Na dół! Biorą nas w stożek.

Już cała artyleria bije w to miejsce, gdzie byliśmy przed chwilą. Już siedem reflektorów krzyżuje się o pięćset stóp nad nimi, na szczęście nieco za bardzo w prawo i z tyłu. Stożek to się rozpląszcza, to znów zaostrza. Jego wierzchołek przechyla się to tu, to tam: raz jest wyżej, raz niżej; zbliża się i oddala.

'Coraz głośniej bębni dokoła, jakby kto puszek od konserw staczał ze schodów. Wszystkie nerwy napinają się w oczekiwaniu wybuchu celnego granatu: huk, błysk, uderzenie... Ale wybuch nie następuje, tylko Merkury mówi głośno:

— 11500 stóp.

Wyrzutnie bombowe już dawno są otwarte.

Czekamy, czekamy, czekamy, aż wreszcie Zygmunt woła:

— Bomby!

Maszyna jakby westchnęła i wraz z tym westchnieniem pierzchnęło nieznośne oczekiwanie na celny pocisk artyleryjski. Przestaje słyszeć gwizd odłamków, nie widzę reflektorów i ognia artylerii, nie mam żadnej innej myśli w głowie i nic mnie nie obchodzi prócz tego, co nastąpi za chwilę: tam w dole, w migotliwym blasku pożarów połyskują wąskie pasma torów kolejowych, czernieje dworzec i klamra mostu spięta nad rozgałęzieniem szyn... Tam powinny upaść.

Błysk! Błysk! Jeszcze trzy błyski! Jeszcze dwa!...

Przy każdym z nich ziemia rozjarza się po-No, ale przedtem musimy jeszcze zniszczyć Niemcy, a Nawiążujemy łączność radiową z ziemią, teraz trzeba: jeszcze wrócić na własne lotnisko, do.

rozpoznajemy znajome beacons, oznajmiamy się na którego dalej stąd niż do polskiej granicy.'

punkcie wlotowym, zjadamy resztki suszonych moreli Rwiemy na dużych obrotach wprost ku

Holandii, i czekolady, które dostaliśmy na drogę przed startem i nie nabierając już wysokości, bo;;raz po raz dajemy zaczynamy tęsknić za łóżkiem.

nura w obłoki. Kropimy trochę z karabinów Jest zimno, choć.., lecimy całkiem nisko. Mgła maszynowych po reflektorach, jeśli nam za bardzo leży na ziemi płatami, jak postrzępiona wata, chmury dokuczają między jedną a drugą chmurą, i po artylerii, się kończą i widać gwiazdy, które bledną na coraz która strzela gęsto, ale za to źle, bo stale daleko poza jaśniejszym niebie.

nasz ogon. Niewielka się tam pewnie krzywda stanie Wtem przedni strzelec melduje:

obsłudze niemieckiej od tego ognia z naszych sikawek,

— Widzę lotnisko na wprost, trochę w prawo.

ale może jeden i drugi reflektor im zgaśnie, a kanonierzy też strachu się najedzą.

A po chwili:

Wychodzimy na Zuider Zee, mijamy Alkmaar i

— Przed nami w powietrzu Wellington, o 200

rozstajemy się z brzegiem, żegnani stóp wyżej od nas.

ostatnimi pociskami nadmorskich baterii. Teraz prędko Za nami też leci Wellington. Nawet dwa.

w dół, pod chmury, które tu kłębią się grubą warstwą.

Wchodzimy w rundę: jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, Lecimy tuż pod ich pułapem, żeby móc skoczyć w nie, sześć maszyn. Trzy na ziemi. Jedna podchodzi do jeśli pokaże się jakiś patrolujący myśliwiec.

ładowania i struga światła z reflektora startowego Na wschodzie już szarzeje pierwszy brzask, ale rzuca się na runway pod jej wysunięte podwozie.

morze jest jeszcze ciemne, tak samo jak brzeg Krążymy z zapalonymi światłami pozycyjnymi, angielski, który ukazuje się nam po lewej stronie w czekając swojej kolei, a tymczasem nadlatują coraz to godzinę po zniknięciu brzegu holenderskiego.

nowe Wellingtony. Liczę je raz jeszcze: osiemnaście.

Wróciły wszystkie.

Inny- gatunek

Jedzie się do tego szpitala autobusem, krętą szosą Ale džungla cywilizuje się zaraz za tym jarem: między żółknącymi żywopłotami, zza których łączki są-coraz grzeczniejsze, drzewa po-przycinane,

wyglądają tu i ówdzie kamienne budynki farm wśród żywopłoty wystrzyżone jak rekruci nazajutrz po jarzębin przybranych gronami czerwonych jagód.

poborze. No i wreszcie gdzieś w dole wyłania się Potem wchodzi się do rozległego parku. Na dosyć stary i bardzo brzydki zamek, w którym mieści prawo, na ścierniskach stoją rzędami snopy zżętego się polski szpital, a za tym zamkiem — bardzo pięknie zboża; na lewo ogromne, stare, rozłożyste dęby. Dalej utrzymany ogród, pełen cienistych alei, kasztanowców, grupy świerków, zarośli i oczywiście rododendronów, uroczych wzgórków, aksamitnych trawników, róż i bez których żaden park tutaj obywać się nie może.

kwietnych klombów.

Jeszcze dalej jest źródło i bagnisty stawek, z którego Spokojnie tu jest, cicho i ładnie. Daleko od wypływa strumień i spada w jar zarosły dżunglą traw, nerwowego życia miast, od codziennych spraw, od ziół, krzaków, głógów i chwastów, gdzie buszują zgiełkliwego nurtu powszedniego dnia, od wojny, choć bażanty i królika.

to wojskowy szpital przecież.

Pacjentów mało mają w tym szpitalu.

Większość stanowią starsi panowie z chronicznymi Złapał mnie za rękę i ścisnął mocno.

zrostami jelit, katarami kiszek, kamieniami nerek,

— Myślałem, że to znów który z tych tutaj —

reumatyzmem i tym podobnymi obywatelskimi gadał prędko, nie dając mi czasu na odpowiedź. —

cierpieniami. Jak się trafi jakaś ofiara wypadku Ciągłe tu przychodzą i nudzą. Siadajże. Papierosa?

samochodowego, w szpitalu jest podniecenie. Gdy Trafieś od razu? Bo to przecież koniec świata: nawet przywiozą zranionego odłamkiem pocisku na Niemcy tu nie mogą trafić. Morowy chłop jesteś, żeś ćwiczeniach albo kontuzjowanego przy wybuchu miny przyjechał. Już mi zbrzydło tak samemu. Nie na wybrzeżu, to jest nadzwyczajne wydarzenie. A jak widzieliśmy się przecież... czekaj: chyba od Rumunii?

się zdarzy taki, co ucierpiał od bomby lotniczej, to już Rzeczywiście tak było: nie widziałem go od czasu wielkie święto.

pobytu w Tulcea, skąd zwiął jeden z pierwszych do Ale przecież jest tu także Stefan. Porucznik Stefan Francji. Zaczęliśmy więc opowiadać sobie kolejno Ł. pilot myśliwski, mający na sumieniu siedem swoje losy raz po raz odbiegając od tematu, zadając zestrzelonych maszyn niemieckich, co mu pewnie niecierpliwie pytania i przerywając sobie w połowie dobry Pan Bóg odpuści i po cichu na credit zapisać odpowiedzi; opowiadając chaotycznie, nieporządnie, każe. Stefan, do którego właśnie

przyjechałem, jak opowiada się często o sprawach, które zbyt wiele dowiedziawszy się o jego paskudnie złamanej ręce.

zawierają treści, aby je zamknąć w kilku zdaniach Oczywiście, o takim rodzyнку wiedział tu każdy pierwszej po długim rozstaniu rozmowy.

lekarz, każda siostra, każdy clerk szpitalny, każdy

— Jakże ci tu jest? — zapytałem wreszcie. —

posługacz i każdy chory, chociaż — jak Stefan do mnie Jak ręka?

o tym pisał — pies z kulawą nogą go tu nie odwiedza, Spojrzał na tę swoją rękę, jakby spoglądał na bo nasi czasu nie mają.

martwy przedmiot, który przecież stanowił jego Nie odwiedzali go istotnie, ale dowiedziałem się, własność. Potem na mnie — jakoś badawczo, uważnie; że co dzień któryś przylatuje nad szpital, wali się w końcu — na wstążeczkę Krzyża Virtuti Militari na kilometr w dół korkociągiem, wykreca rundę poniżej mundurze przewieszonym przez poręcz krzesła, i znów drugiego piętra, straszy łapiduchów, wprawia w na mnie. Uśmiechnął się. Ten uśmiech w kącikach ust drzenie dziewczęce serca sióstr i szyby okien, miał jakby odcień ironii lub goryczy.

przyczynia się do ataków żółciowych kilku

— Widzisz, z tobą przecież mogę mówić po śledzienników i wątrobiarzy, płoszy bażanty, owce i dawnemu, szczerze — powiedział po chwili. — I, króliki oraz niepokoi oddział miejscowego Home naturalnie, opowiem ci o wszystkim. Sam osądzisz, ile Guardu, a wszystko to gwoli powiadomienia Stefana, to warte. Czy warte tego — wskazał ruchem głowy ów że dywizjon o nim pamięta i że mu życzy szybkiego mundur, wysuwając dolną szczękę.

wyzdrowienia.

Niezupełnie rozumiałem, o co mu właściwie Więc nawet nie musiałem o niego pytać: pierwszy chodzi.

napotkany przeze mnie sanitariusz w białym fartuchu, zobaczywszy mój lotniczy mundur i stwierdziwszy powierzchownie, że mam ręce i nogi całe oraz nie widząc ani śladu bandażu czy opatrunków na mojej osobie, domyślił się, co mnie tu sprowadza.

— Pan kapitan do porucznika Ł.? — zapytał

retorycznie. — Drugie piętro, pokój 37.

Tędy, proszę.

Zapukałem do pokoju 37.

— Wejść — warknął groźnie zza drzwi Stefan.

Wszedłem.

Siedział w wygodnym fotelu, obłożony gazetami i książkami. Lewą rękę miał w szynie, zgiętą w łokciu, grubo zabandażowaną, odstawioną poziomo w nienaturalnej, jak mi się wydało, straszliwie niewygodnej pozycji. W prawej, opuszczonej w dół, trzymał jakiś tygodnik Przygarbiony, z pochyloną głową, zebrany jak do skoku, patrzył spode łba, jakby chciał się rzucić na wchodzącego albo przynajmniej mu nawymyślać. Kiedy mnie zobaczył, zatknęło go zupełnie. Zamrugał, poderwał się, syknął z bólu, a potem chuda, czarniawa gęba rozjaśniła mu się w uśmiechu.

— Jak Boga kocham, to ty! — powiedział

głośno. — Przyjechałeś!

—Masz siedmiu Niemców? — zapytałem.

zaciągnąwszy się dymem z papierosa, mówił dalej:

—Siedmiu — odrzekł z ożywieniem i z nutą

—Byliśmy w readinessie. Długi Joe — znasz go?

dumy w głosie.

— akurat zaliczył szłemika bez atu, choć ja,

—No, więc...

będąc jego przeciwnikiem, miałem asa pik, a mój

—To zupełnie inna sprawa — przerwał

partner bąknął coś przedtem o trzech karo — gdy niecierpliwie.

zadzwonili z operation. Zdażyliśmy jeszcze Zmarszczył brwi i przesunął palcami po górnej spasować, a tu telefonista się drze: Scramble! Joe wardze, jak zwykle, gdy się nad czymś zastanawiał.

zawsze ma szczęście: nawet nie widział moich

— Za bohatera tu jestem — powiedział nagie z kart, a potem nie chciał uwierzyć w tego asa pik, irytacją. — Za bohatera, rozumiesz?

bo Foka, który był jego partnerem, nie wrócił

Nie rozumiałem i musiało to być tak widoczne, że wtedy z lotu.

zdecydował się opowiedzieć wszystko od początku.

—Zabity? — zapytałem.

— Żadnemu z tych tutaj nie próbowałbym nawet

—Zaginiony. Licho wie, gdzie się podział. Myślę, tego wyklarować — zaczął już swoim zwykłym że chyba zapędził się aż za Kanał i tam... Bo ja pogodnym, jasnym głosem, za którym, zawsze wiem zresztą?... Szkoda Foki: i latał z sercem, i odnosiłem takie wrażenie, krył się jak by wewnętrzny licytował wesoło.

uśmiech. — Po pierwsze: nie rozumieją najprostszyc Zamyślił się przez chwilę, a ja przypomniałem rzeczy dotyczących łatania i w ogóle lotnictwa; po sobie Fokę, miłego kompana,

drugie, nie rozumieją nas. Zadają głupie pytania i, sam zawsze gotowego do awantury, do zabaw, do kieliszka i rozumiesz, trzeba każdą rzecz rozwałkować, a w końcu

— do startu. Foka... Z kim nie pił? Kogo nie nabierają o tym, co się im powie, jakichś koślawych wystrychnął na dudka, od kogo nie pożyczał? Kto go wyobrażeń,

podejrzeń,

domysłów...

nie lubił?... Zawadiacki, mały, gruby Foka ze Nie, nie umiem już z tymi ludźmi gadać, nudzą sterczącymi jak piórka włosami na czubku głowy, z mnie. Przecież, żebyś był samym Homerem, nie małym, zadartym noskiem i żywymi czarnymi oczyma.

zdołasz tak opowiadać i opisywać, żeby ktoś, kto nigdy Uwodziciel fordanserek w drugorzędnych dansingach, nie latał, nabrał o tych sprawach właściwego udręka dowódców na odprawach, wesoły kpiarz, wyobrażenia, no nie?

opiekun biedoty spod znaku Brata Alberta (o czym

—Przesada — oświadczyłem. — Homer nie był

bodaj nikt prócz mnie nie wiedział) i świetny pilot lotnikiem, a gdyby nim był...

myśliwski o męznym sercu i prawdziwie polskiej

—Toby pewnie dużo o tym pisał. Ale czytelnicy i fantazji. Nie wrócił z lotu: jest missing, czyli po tak nie wiedzieliby, jak to jest, póki nie zaczęliby chrześcijańsku mówiąc, zaginiony. To znaczy, że w sami latać. No, ale Homer lotnikiem nie był, jak najlepszym wypadku przetrwa wojnę w jakimś obozie to bardzo bystrze zauważyłeś. I o lotnictwie na jeńców...

szczęście nie pisał, co się innym, znacznie mniej

— No więc wystartowaliśmy całym dyonem —

zdolnym pisarzom nie-lotnikom teraz zdarza...

ciągnął dalej Stefan. — Zaraz

Poznaję takiego najdalej po trzecim zdaniu i diabli nam podali kurs, ledwieśmy zdążyli kulasy Spitfire'om mnie biorą: te same koślawe wyobrażenia, te powciągać, i 20 000 feet. Okrążyliśmy Londyn od same fałszywe domysły, ta sama nieznajomość południa i lecimy na wschód, nad morze. Wiedziałem, rzeczy, naszych spraw, naszych myśli —

że będzie jakaś większa chryja, bo się Czepikowi ciotka wszystkiego tego, co jest lotnictwem. Ale śniła. Zaraz z rana mi mówił, ale dopiero po starcie, w mniejsza z tym. Jednym słowem — nie lubię powietrzu o tym sobie przypominałem.

gadać z nie lotnikiem o lataniu i o sobie. Może na

—Cóż to za jeden? — przerwałem zaintrygowany przykład tak samo lekarz nie lubi gadać o wieszczymi snami owego Czepika.

medycynie ze mną albo z jakim innym tumanem.

A co do tego lotu, to było tak. Lataliśmy nad

—Kto, Czepik? To mój mechanik. Ile razy mu się Francją przeważnie na sphere albo mosquito, sekcjami śni ciotka, podobno straszna sekutni-ca, tyle razy oczywiście. A co drugi dzień na wymiatanie albo jako mamy ciężką robotę z Niemcami. Na jesieni w osłona bombowców. Nawet parę razy z waszym zeszłym roku śniła mu się ciągle i jak miał jaką dyonem. To wszystko są zadania, o których się wie z noc spokojną, to wszyscy wiedzieli, że będziemy góry: co, kiedy i jak. O startach alarmowych, odpoczywać. Mówiło się po prostu „nie ma dziś zwłaszcza całym dyonem, zostały nasi tylko ciotki" i wielu nawet brykało po cichu do miasta, wspomnienia z zeszłej jesieni, bo Niemcy przecież od bo naprawdę mieliśmy wtedy spokój. Sprawdzało dawna się nie pokazują. No, ale tego dnia przylecieli.

się, jak w Kings Regulations... A tym razem też Zaśmiał się cicho do swoich niedawnych się sprawdziło. Aż zanadto, psiakrew! Było tego wspomnień, takie mu się widać zabawne wydały.

dobrego ze dwadzieścia Ju-88, a wyżej pokażna Spojrzał na mnie spod oka, poprawił tę nieznośnie liczba Me-109. Prowadziłem ostatni nasz klucz.

odstającą rękę, przeciągnął dłonią po policzkach Moim lewym bocznym był Gordon; prawym —

sinawych od mocnego, wygolonego zarostu i Foka, który od razu gdzieś się zawieruszył.

Dognaliśmy we dwóch ostatnią skrajną trójkę Jun-lewego będą miał na deser. Dochodzę z tyłu z góry, kersów od strony słońca i zaatakowaliśmy z lek-naciskam spust, a tu coś jak nie trzep-nie w kadłub kiej przewagi wysokości. Wszystko poszło dobrze mojego Spitiire'a od spodu! Wiesz, jak to wtedy jest: na i prędko: dwa Ju — dowódca klucza i lewy dwie sekundy z największego chojraka robi się tchórz: boczny — zaraz po pierwszej serii zaczęły dymić..

rany boskie — chodu, bo śmierć! Jakby ci kto wiadro Więc Gordon odszedł pierwszy, a ja za nim. Ale gorącej wody wylał za kołnierz. Nawet nie wiem kiedy odchodząc obejrzałem się na te dymiące Ju. Patrzę odwalilem w prawo. Zdążyłem jeszcze spojrzeć, czy

— lecą dalej, a Messerschmitty wysoko, jakbyśmy aby mam nogi całe, a tu na lewo w górę wypryskują ich nic a nic nie obchodzili. Żal mi się zrobiło: cztery Messerschmitty... Nie wiem, który z nich mi się mogą, cholery, dociągnąć przez Kanał, choć dymią naraził, ale lew we mnie wstąpił, jak poczułem, że nie

— i nie zaliczą nam ich wcale, albo tylko jako jestem ranny. Wiedziałem naturalnie, że maszynę uszkodzone Gordon się już dobierał do innego musieli mi postrzelać, ale myślałem, że nieszkodliwie, klucza, więc myślę sobie: wykończę ich. Zrobiłem więc ciągnę za nimi w górę. Ale zapaliła się: najpierw skręt przez plecy, aż mnie trochę zamroczyło, dolne zbiorniki, od nich kabina, od kabiny moje wrzepilem boost i znalazłem się znów za ogonem portki... i to tak na tempa: raz, dwa, trzy! — jak dobry swojej ofiary. Tym razem było blisko, może ze chwyt bronią w podchorążówce piechoty. Bardzo się sześćdziesiąt metrów. Trochę mnie z początku pe-wzruszyłem — sam rozumiesz. Ale ten strach nie jest szyło, że zaczął do mnie strzelać prawy boczny, taki obrzydliwie gwałtowny: zawsze śmierć jest od jeszcze nie ruszany przez nas. Ale widzę, że robi ciebie o parę metrów, nie siedzi ci na karku albo na to podle, więc biorę swego klienta na celownik i kolanach i masz szansę, że jej się wymigasz. Więc rąbię serię po silniku i po kadłubie, aż iskrzy. Po otwieram prędko osłonę kabiny i przewracam palącego chwili — patrzę — pali się! No to ślicznie.

się grata na plecy, bo trzeba skakać. Maszyna reaguje Przestałem strzelać i czekam. A on leniwie, jak w na stery doskonale. Oddałem drążek w przód, odpiąłem oleju, zwala się przez skrzydło w dół i — do pasy i — zamiast wypaść na świeże powietrze —

morza. Teraz widzę: lewy boczny, ten, co Gordon rypnąłem o coś głową, aż mi wszystkie gwiazdy go napoczął, dymi, a prawy, kiepski strzelec, zatańczyły w oczach. To niezwykle zjawisko wrywa, jak umie. Więc ja za nim, zapominając o astronomiczne tak mnie zaskoczyło, że zgłupiałem na bożym świecie. I tylko myślę:

do-brą chwilę. Dopiero płomień przywrócił mi rozsądek. Płomień, który teraz sięgał mi aż do oczu...

Zmrużył powieki i odwrócił twarz z grymasem cierpienia.

— Paliłeś się kiedy? — spytał.

Skinałem głową. Paliłem się na wysokości dwóch tysięcy metrów i nie miałem wtedy spadochronu, bo to było w roku 1919. Miałem osiemnaście lat i bardzo chciałem żyć, a myślałem, że zginę. I wtedy

— o tak, pamiętam! — wtedy też płomień zajrzał mi do oczu.

—Wiem, jak to jest — powiedziałem. — Mów dalej.

—Okazało się, że przy oddaniu steru osłona zasunęła się z powrotem. Chciałem ją znów odsunąć, ale zacięła się. Trzeba ją było wyłamać, i to prędko, jeżeli miałem wyskoczyć na surowo, a nie upieczony. Możesz sobie wyobrazić, że łatwo mi to nie przyszło, bo przecież właściwie stałem na głowie, wparty barkami w Nie, nie rozumiałem: nigdy nie był przecież wygięcie tej cholernej osłony i nie miałem się za przesadnie skromny; przeciwnie; uważał, że lata co złapać, żeby jakoś zmienić pozycję. Ale lepiej niż inni i że nie byle kto mu dorówna.

wreszcie poszło: rozwalilem ją gołymi rękami.

Wiedział, ile jest wart, ba — pysznił się nie-Tymczasem maszyna — nie sterowana — opu-
jednokrotnie swoimi zestrzelonymi Niemcami...

ściła łeb i pod kątem czterdziestu pięciu stopni Więc?

szła na plecach w dół — jeszcze wtedy nie wie-

—Myślisz, że nie należy ci się za to Virtuti?

działem: do morza, czy do ziemi? Przez dziurę

— zapytałem.

wybitą w osłonie dęło, jakby jakiś tajfun chciał się

—A ty myślisz, że mi się należy?

wpakować do kabiny. Płomień uciekł pod burty i

—Myślę, że tak — powiedziałem z prze-wystrzelił po nich na zewnątrz. A mnie wgniotło konaniem.

teraz do środka i zapiekło w oczy. Przestałem Zaczerwienił się, w oczach błysnął mu widzieć i mało
nie oszalałem z przerażenia: oczy!

uśmiech, ale wnet zgasł. Zmarszczył brwi.

— rozumiesz? Nie wiem, jak wylazłem do

— Słuchaj — zaczął poważnie, bez tego po-połowy. Odepchnąłem się ze wszystkich sił i godnego
tonu, który mu zawsze dźwięczał w poczułem, że lecę. Spadałem głową i plecami w głośie. — Ja
byłem w Warszawie do końca i... Ja dół. Pęd tężał dokoła mnie, elastyczny jak hamak wiem. Ja
widziałem. Na przykład...

z gumy. Huczało mi w uszach, zapierało oddech, Urwał i zdawał się przebierać coś w pamięci.

wygniatało z płuc powietrze, dusiło... Lewa ręka Coś groźnego i wspaniałego zarazem, bo twarz bolała mnie okropnie. Zdawało mi się, że ją ktoś mu się mieniła i przelatowały po niej cienie i wykręca. Szarpnąłem bezpiecznik spadochronu, blaski, jakby to, co rozpamiętywał, rzucało od poczułem, jak się wywija i nagle targnęło mną po-wewnątrz ogień i mrok; jakby falowało tężnie. Wywróciłem kozła, jedwab chlasnął, wzruszeniem; jakby topniało w nim i tężało na spęczniał, przyhamował, a ja zawyłem z bólu; ta przemian.

ręka... Ale zaraz zapomniałem o ręce; gdzieś

— Na przykład wtedy, pod Okęciami... Tam blisko warczał silnik samolotu. Przeleciało mi były okopy, wiesz? I już wtedy brakło wody.

przez otumanioną głowę: Niemiec! Będzie strzelał

Żołnierze byli spragnieni: cały dzień pod

— i czekam na serię, która podziurawi mnie jak ostrzałem, rozumiesz? A tu upał... W nocy nosiły sito. Obrzydliwe uczucie... Ale warkot się oddalił

wodę kobiety i dzieci. A Niemcy musieli wiedzieć i ręka znów bolała wściekle. Spróbowałem o tym, dranie: świecili reflektorami i strzelali do otworzyć oczy, ale powieki miałem sklejone.

nich. Była tam młoda dziewczyna Rzęsy mi się zasmażyły i — ani rusz. Musiałem

„z ludu”, jak się to łaskawie z pańska pisało u nas palcami rozdzielić powieki. Zacząłem widzieć na w gazetach. Może szesnastoletnia, może trochę wysokości tysiąca metrów i wtedy przekonałem starsza. Niosła pełną konewkę z jakiejś studni.

się, że opadam na ląd. Musiało mnie znieść razem Wypatrzyli ją i jeszcze kilku chłopaków i położyli z maszyną znad morza, bo wiatr było południowo-przed nimi salwę artyleryjską. Chłopcy jakoś wschodni, a przy tym zaraz po powrocie za tymi ocaleli; ona nie: pocisk urwał jej stopę... Upadła, czterema Messerschmittami już miałem kierunek ale wody nie rozlała i zaczęła się czołgać z tą ku brzegowi. Ręka mi dokuczała bardzo. Była konwią. Doezołgała się. „Wody wam przyniosłam zupełnie bezwładna i kiwała się w takt huśtania

— powiada. — Tylko mi bardzo spadochronu, więc ją przywiązałem do kamizelki słabo". Umarła nazajutrz z upływu krwi. Może drutem od radia. A potem — cóż? —

myślisz, że takie jak ona dostawały order, co? A wylądowałem i — nie śmieć się — zemdlałem jak jeżeli miałyby dostać, to jakie? Virtuti? Bo jak ja dziewczyna, według wszelkich prawideł sztuki. No, a dostałem Virtuti, to im się chyba coś więcej teraz — jak ci mówiłem — jestem tu za bohatera, należy, nie?

i to mnie najgorzej złości, rozumiesz?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Ale Patrzył na mnie pilnie, czy aby na serio biorę Stefan nie czekał na moją odpowiedź. Mówił

tę jego złość, czy wreszcie rozumiem, o co mu teraz gdzieś w przestrzeń, przed siebie, właściwie idzie.

wcale nie do mnie. Mówił żarliwie, dysząc ciężko, jakby chciał wyrzucić to wszystko, co przemyślał, co się w nim uzbierało przez te dwa lata, co mu się osadziło w duszy I co teraz wzburzyło się w nim, ponieważ „był tu za bohatera”.

— Cóż my... Cóż ja i Foka, i Gordon, i wszyscy?

Przecież każdy z nas, idąc do lotnictwa, wiedział, że kiedyś będziemy się bili. Że będziemy strzelali i że ktoś będzie strzelał do nas. Każdy z nas zrobił dawno wybór. Za to pakowano w nas pieniądze, za to nas jakby się na niej ustawił szereg świętojańskich uczono, za to nosiliśmy ten mundur, chodząc w glorii robaczków. Ktoś za mną rozmawiał po polsku i podczas pokoju. Więc teraz to, co robimy, to jest nasz dochodziły mnie strzępy zdań wypowiedzianych psi obowiązek. Ale oni? Tamta dziewczyna, co wzięła cierpiętniczym, mdlejącym głosem. Coś tam było o na zadatek tego, że kiedyś pocisk działowy urwie jej niebezpieczeństwach przebytych w jakimś nogę?

Kiedy

dokonała

artystycznym objeździe różnych oddziałów („Bo wyboru? Jaki dług spłacała? Powiedz!

przecież mogli nas Niemcy zbombardować, proszę Znów nie odpowiedziałem i znów Stefan pana"): coś o niewygodach i ciężkiej pracy; coś o nie przeniósł wzrok z mojej twarzy w przestrzeń.

dość wielkich aplauzach ze strony żołnierzy i o jakimś

— Czytasz te wszystkie pisma? — zamiótł kurz kasynie, gdzie nie przygotowano kolacji; a potem na podłodze trzymaną w ręku gazetą. — Słyszysz, co jeszcze o innym, równie tragicznym posiłku, „w mówią w Londynie? Wiesz, o co się spierają?

żołnierskiej kuchni, uważa pan!", po którym trzeba Rozumiesz te niedomówienia, te napomknienia, te było samemu umyć menażkę.

przebąkiwania o przyszłym przewodnictwie w Nie chciało mi się tego słuchać. Nie chciało mi się narodzie, o rządach dusz, o tworzeniu legendy?

nawet obejrzeć, aby zobaczyć narzekającego rodaka.

Wyczuwasz tę wstrętą obawę, żebyśmy zanadto nie Lecz gdy padła nazwa pewnej dobrze mi znanej

stacji wyrosli, my — lotnicy? Żebyśmy nie sięgnęli po... bo lotniczej, obejrzałem się mimo woli.

Dobrze odżywiony starszy strzelec, którego ja

wiem?

znałem „z cywila”, gruby, niski, o nalanej bladej po władzę, czy po pełen żłób? Żebyśmy nie zaważyli twarzy i sennych oczach, mówił:

przypadkiem na szali przyszłości Polski krwią przelaną

—Więc tam, na przykład, proszę pana, nie tutaj? „Nowa legenda”! Niech ją sobie tworzy, kto przygotowali dla nas noclegu. Musieliśmy spać w chacie, ale niech nas w nią nie ubierają! My nie chcemy baraku mechaników i ja dostałem łóżko jakiegoś nic za to, że się bijemy. Wzięliśmy zaliczkę i splanujemy sierżanta. Nawet bez świeżego prześcieradła. Coś ją! Będziemy się bili przeciw każdemu, kto palec na okropnego, mówię panu.

Polskę podniesie. Jak będzie trzeba, to i przeciw

—A ten sierżant? — zapytał drugi.

całemu światu, nie tylko przeciw Niemcom. Żądamy

—Sierżant miał służbę, bo dywizjon poleciał na tylko jednego: żebyśmy mogli wyzwolić tych nocną wyprawę. Widzieliśmy start Wzruszające!

wszystkich, którzy są w Kraju, a później — żebyśmy Ci nasi chłopcy...

ich mogli zawsze obronić. Nie tak, jak w tej wojnie.

Nie słuchałem dalej: to był całkiem inny Żeby

już

nigdy

kobiety

gatunek...

i dzieci nie ginęły pod ogniem nieprzyjacielskiej artylerii. Żeby polskie miasta nie waliły się w gruzy od bomb. Żeby nam nie rozstrzeliwano profesorów i nie męczono naszych matek i sióstr. Żeby nie wywożono ludzi do obozów koncentracyjnych. My, lotnicy, mamy jedną ambicję: chcemy pozostać w polskim lotnictwie i uczynić je potęgą. Długim, zbrojnym ramieniem Polski, które sięgnie do każdej naszej granicy. Chcemy pilnować tych granic, nie mieszając się do innych spraw, nie żądając laurów, odznaczeń i nagród. Niech się nie boją nie tworzymy sobie „legendy”. Niech nam nie podsuwają

tego, co nam nie w głowie. Nie ma u nas takich, a jeżeli są...

— Jeżeli są? — podjąłem.

Porwał się z miejsca i wyrznął pięścią w stół.

Rozdarta gazeta wyleciała pod sufit i spłynęła z szelestem na podłogę. Oczy mu pałały, krew rzuciła się do twarzy. Stał tak chwilę i mełł w ustach przekleństwa, aż nagle uśmiechnął się.

— Będzie czas zrobić z nimi porządek —

powiedział niemal zwykłym głosem — jeżeli nie powymierają przedtem na jakieś solidne, kameralne choroby. A o personel bojowy bądź spokojny: to nie ten gatunek!

Późnym wieczorem wracałem znów autobusem, krętą drogą, znaczoną pośrodku zielonymi światełkami, Bujak nawala

Muszę najpierw parę słów powiedzieć o Podczas gdy Anglicy mają specjalistę od podwozi, mechanikach, żeby kto nie myślał, że to ich wina, ta od gaźnika, od takiego czy innego amortyzatora, od cała historia z naszym przednim strzelcem.

iskrownika i nieledwie od zabezpieczenia nakrętek —

Mówi się o nich, że „dłubią przy samolotach”.

polski mechanik jest uniwersalny. Umie prawie Dłubią. To jest rzeczywiście głównie taka robota: wszystko, a jeśli nie umie czegoś dokładnie, nauczy się dłubanina.

w ciągu paru dni, bo mu inni pomogą, pokażą, Bo na przykład silnik: tyle i tyle nakrętek, które poprawią.

muszą być zabezpieczone; tyle kalibrowanych otworów; Polski mechanik jest zaradny. Ma zmysł

tyle luzów, które mają mieć akurat tyle setnych części wynalazczy. Udoskonala się ciągle i ciągle się uczy.

milimetra; płatanina kabli, z których każdy musi być Obsługiwał już maszyny polskie i francuskie, i przyłączyony do odpowiedniego segmentu iskrownika; brytyjskie. Nie ma odpowiednich narzędzi?

delikatne jak organy zmysłów przerywacze, kolektory i

„Skombinuje”. Brak części zamiennej? Dorobi.

uzwojenia; mnóstwo uszczelnień, zacisków, izolatorów; Znajdzie błąd konstrukcyjny? Poprawi.

gaźniki z dyszami wrażliwymi na najmniejsze Wymyśli, jak urządzić wyrzutnak osłony, żeby

zanieczyszczenie, z czułymi pływakami, z pilot mógł wyskoczyć bez wysiłku, jeśli mu się samolot wyregulowanymi dławikami, o które trzeba dbać zapali. Ulepszy działanie mechanizmu podwozia czy nieustannie. A gdzie zawory, gdzie regulacja zapłonu i klap skrzydłowych. Zmajstruje wszystko, czego nie ustawienie tłoków, chłodzenie, pompy olejowe, pompy przewidział konstruktor i — wbrew sławnym King's do glikolu, pompy pneumatyczne? Gdzie przewody, Regu-lations — natychmiast zaradzi usterkom, które obiegi, tryby, wałki, sprężyny, posuwacze, pierścienie?

tylko areopag inżynierów mógłby usunąć po długich Stal, nikiel, dural, mosiądz, miedź — nieustępliwe, ceregielach.

trudne, spasowane dokładnie i — nic siłą: tu trzeba Jeśli nie ma lotów, nikt go nie zmusi do „zająć” inteligencji i zręczności!

regulaminowych. Jest wtedy łązikiem pierwszej klasy i Zręczne i — powiedziałbym właśnie — in-obja się jak nikt inny. Nie można go nigdzie znaleźć i teligentne są dłonie polskiego mechanika. Dłonie i nie sposób nakłonić go do przestrzegania ustalonego palce. Obyte z kanciastym, nieustępliwym metalem, porządku dnia. Ale w czasie akcji jest niezawodny: wykutym w nakrętka i sworznie, wy-frezowanym w potrafi pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, dziwne kształty, pozwijanym w sprężyny, ponacinanym może nie jeść, nie spać i nie odpoczywać. Potrafi gwintami. Twarde, mocne jak szczęki narzędzi, czarne przemontować, wyłatać, naprawić rozbitą lub od pracy, ze zgrubiałą skórą i z bliznami po zadziarach, postrzelaną maszynę nieprawdopodobnie prędko i po rozdarciach do kości. Trafiają na oślep, chwytają sumiennie. Jest nieoceniony, niezastąpiony!

pewnie, z czuciem dokręca i rozluźnia, na pamięć Bo polski mechanik lotniczy ma serce i ma znajda i rozpoznają wszystko w tym silniku, który ambicję. Maszynę i jej załogę uważa za coś, co należy powierzono ich opiece.

do niego. Mówi: moja maszyna. Mój pilot. Moja Płatowiec zaś — płatowiec też ma setkę tajemnic załoga.

dla każdego, kto go nie zna tak, jak mechanik.

Jego pilot musi mieć sprzęt pewny i na czas Mechanizm podwozia, amortyzatory, usterzenie, przygotowany. Jego załoga musi polecieć, żeby się bić.

fletnery, zbiorniki, włącz do gondoli, klapy skrzydłowe, W tej walce załogi mechanik bierze udział przez swoją lotki... Każdy z tych organów składa się z wielu części; pracę. Udział nie byle jaki: samolot, który jego rękami każdy miewa swoje narowy i usterki; każdy musi być został przygotowany do spełnienia bojowego zadania, przeglądany, kontrolowany, smarowany i poprawiany.

jest niezawodny. Załoga śmiało może mu wierzyć i ufać.

Załoga nie powinna mieć wątpliwości i obaw o sprzęt, którym się posługuje, bo gdyby je miała, gdyby musiała z nimi walczyć, nie starczyłoby może sił

psychicznych na walkę z prawdziwym wrogiem. A gdyby sprzęt zawiódł, musiałyby myśleć o ratowaniu go i o ratowaniu własnego życia zamiast o zwycięstwie. Na to nie ma czasu i nie ma miejsca w lotniczych działaniach wojennych i dlatego te sprawy bierze na siebie mechanik. On odpowiada za sprzęt, a więc za spokój i za życie załogi. On z największym niepokojem czeka powrotu maszyny; on się najbardziej cieszy, gdy samolot wraca nie uszkodzony; on najbardziej cierpi, gdy załoga ginie.

A przecież mało kto poza lotnikami wie o jego pracy i jej mozole, o jej ważności i odpowiedzialności.

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele z chwały lotniczej naszych załóg przypada na

„rozstąp się, ziemio!" Aż hangary jęczały od tego mechaników, zbrojmistrzów, elektryków, oficerów kroku: raz, dwa! Królowa zaś rozmawiała z Górale i technicznych. Oni pozostają w cieniu. Ich udział w spoglądała na polskich lotników uśmiechając się tale bojowych zadaniach jest nieefektowny, nieznan, jakoś po macierzyńsku, że aż się nam ciepło w sercach zwykle pomijany przez prasę, przemilczany w zrobiło. A Bujak przywłókł się już po wszystkim...

komunikatach.

Tego samego dnia wieczorem poleciliśmy nad Mało kto słyszał nawet o tych brygadach obsługi Mannheim. Bujak nie zameldował brzegu, choć musiał

technicznej, które pod ogniem karabinów go zobaczyć pierwszy. (Noc była pogodna i niebo bez maszynowych niemieckiego lotnictwa, podczas chmur). Potem nie odpowiadał na pytania Górala i bombardowań lotnisk w Wielkiej Brytanii nie dopiero Zygmuntowi powiedział, że nie śpi, tylko mu przerywały gorączkowej pracy przy samolotach. Mało się wyłączyły słuchawki.

kto wie, ilu mechaników przy tej pracy zginęło i Ale w powrotnej drodze też milczał, albo odniosło rany... Tylko Krzyże Walecznych nadane im odpowiadał tak niechętnie,, jakby łaskę robił, że usta przez władze wojskowe i drewniane krzyże na otwiera.

cmentarzach świadczą o poświęceniu, o zasłudze i Minał tydzień i atmosfera wśród załogi stała się odwadze tych nieznan, skromnych, a jakże wiele nieznośna. Jedni bronili Bujaka, inni złościłi się na wartych żołnierzy polskiego lotnictwa.

niego za głupie pretensje, których nie wyjawiał

Ale mechanicy to też tylko ludzie: sprawdzenie otwarcie. Najbardziej irytowało nas to, że na ziemi wszystkiego w samolocie przekracza ich możliwości.

udawał, iż nie pamięta, by jego postępowanie w czasie A przy tym są takie urządzenia czy ich fragmenty, lotu było nienormalne.

których nie sposób sprawdzać codziennie. Dopiero okresowa kontrola komisji technicznej może

wykryć ich błędy, braki i uszkodzenia. Okresowa kontrola albo... wypadek, bardziej lub mniej niebezpieczny dla załogi...

Tak właśnie było z podchorążym Bujakiem, przednim strzelcem Genowefy.

Zaczęło się od tego, że Bujak przestał gadać.

Zrobił się milczący i senny. Zwłaszcza w powietrzu.

—Co ci jest? — pytaliśmy go kolejno.

—Mnie? Nic mi nie jest. Bo co?

— Chory jesteś?

— Ja?! Najzdrowszy na świecie.

Zygmunt wykombinował, że to chyba jakieś złe wiadomości z kraju.

Ma tam przecież narzeczoną...

Ale to było mało prawdopodobne: takie wiadomości wcale nie działają nasennie.

Zrobił się przy tym nerwowy, podejrzliwy w stosunku do reszty załogi, jakiś nieszczerzy, jakby coś ukrywał przed nami i jakby się obawiał, że chcemy wysledzić, co to takiego.

Koza utrzymywał, że nasz „przedni” ma ukryty żal do Górala, od czasu kiedy dywizjon odwiedzili król i królowa. Bujak miał królowej Elżbiecie wręczyć kwiaty przy powitaniu i... zasnął. Nawet wtedy zasnął!

Po kwiaty pojechał Góral, bo już nie było czasu na szukanie Bujaka. Zdążył wrócić w samą porę, gdy przed uszykowane do przeglądu dywizjony zajeżdżały czarne Rolls-Royce'y. Sprezentowaliśmy broń, aż w stawach zachręściło, a Góral, trochę zdyszany, wybełkotał coś tam po angielsku i zaczerwieniwszy się po uszy, podał królowej wspaniałą biało-czerwony bukiet, jeszcze uperlony rosą, prosto z krzaków. Bardzo się to królowej podobało, a król, który nas już znał z poprzedniej swej bytności, aż rozjaśniał cały z zadowolenia. Potem była defilada. Dywizjony szły, że Był uprzejmy, starał się zatrzeć tamto wrażenie jestem z waszej załogi. Jestem od początku.

sztuczną wesołością i — gasł po cierpkiej uwa-Latam tak jak i wy. Jestem zdrów, silny; dze któregoś z nas. Wtedy robiło się nam go żal.

najsilniejszy z was wszystkich i najmłodszy.

Ale przy następnym locie znów było to samo.

Więc o co chodzi? Powiedz, o co chodzi?

— Czego on od nas chce, do jasnej cholery?

Spojrzał mi prosto w oczy i widziałem, że

— zastanawiał się Zygmunt.

czeka na moją odpowiedź na poły z obawą, na Góral wzruszał ramionami zniecierpliwiony.

poły ze smutnym przeświadczeniem, że mu nie

—Histeria.

powiem całej prawdy. A jednak przyszedł z tym

—Cnota — poprawiał Merkury. — Cnota właśnie do mnie. Musiałem mu powiedzieć pra-mu na mózdzek uderzyła.

wdę, choćby to miało zawieść jego nadzieje. Nie Ale dłużej tak trwać nie mogło. Żadna za-mogłem mu pomóc przeciw reszcie załogi.

łoga tego by nie wytrzymała. Odbyliśmy naradę i

—Słuchaj — powiedziałem. — Czy ty nie wydelegowano mnie do załatwienia sprawy.

czujesz, jak inny jest twój obecny stosunek Było to chyba jedno z najbardziej niemiłych do całej załogi niż dawniej?

zadań, jakie w życiu spełniałem.

—Mój stosunek? — zdumiał się tak szczerze, Coś tam pisałem w swoim pokoju po pod-iż nie mogłem wątpić, że nie zdaje sobie z wieczorku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i tego sprawy, — Ja przecież staram się jak wszedł Bujak. Poczulem, że się rumienię i że mogę powiązać to, co się zerwało między serce mi szybciej bije. Poczulem się jak wino-mną a wami, nie wiem dlaczego. Ja się wajca.

staram, nie wy; nie oni — poprawił się. — I zawsze ktoś z nich mnie gasi. Jakbym im co On zapytał:

złego zrobił. Jakbym był obcy. Jakbym nie

—Można? Nie przeszkadzam ci?

należał do was ciałem i duszą. A przecież....

—Naturalnie, że można — powiedziałem ja bym się dał porąbać za każdego z was.

zmieszany, trochę nieswofcn głosem. —

Przecież dawniej nasza załoga to... to Siadaj.

naprawdę była załoga! I rozumieliśmy się. Podałem mu papierosy, zapominając, że nie nawzajem, i zgrani byliśmy jak mało kto, i pali, potem spostrzegłem, że nie ma na czym lubiliście mnie przecież...

usiąść, bo drugie krzesło było zavalone moimi. Mówił z żalem, z przekonaniem, że dzieje papierami, więc cały ich stos odłożyłem na stół.

mu się niezasłużona krzywda, przed którą nie Wreszcie obaj siedzieliśmy na łóżku, jeden obok potrafi się obronić. Umilkł na chwilę, a ja na drugiego.

myślałem się, jak najbezsronniej przedstawić mu. Przez chwilę jeszcze szukałem po wszystkim tę sprawę. Czy wspominać o tych różach dla kich kieszeniach zapalniczki, która leżała na sa-królowej Elżbiety, od których zaczął ignorować mój wierzchu, na rogu stołu, zapaliłem papie-pytania Górala w maszynie, czy lepiej nie. Zna-rosa i — nie wiedziałem, co dalej począć...

łem go stosunkowo krótko, ale dość dobrze na to,

— Mam do ciebie prośbę — odezwał się aby stwierdzić z całą pewnością, że był inny wreszcie Bujak. — Chciałbym, żebyś mi pomógł.

jeszcze przed dwoma tygodniami. Że wtedy Spojrzał na mnie podnosząc nieco zwieszoną pierwszy przyznałby, że niesłusznie się dąsa na głowę i przesunął końcem języka po górnej załogę. Nie do pomyślenia zresztą było wówczas, wzdę.

żeby te dąsy okazywał w czasie lotu, w akcji. A Bąknąłem, że oczywiście, z przyjemnością...

teraz właśnie w powietrzu robił się nieznośny, i to

— Nie — przerwał mi z gorzkim uśmie-za każdym razem, każdej nocy.

chem. — To nie będzie przyjemne. Ani dla Co się za tym kryło? Jak można było wy-ciebie, ani dla mnie. Widzisz: ja chcę z wami tłumaczyć logicznie taką zmianę nieledwie zostać.

Ostatnie zdanie powiedział z naciskiem, z determinacją i siłą, która nadała mu ton raczej żądania niż prośby.

Zrozumiałem, że już wie o wszystkim i że będzie się bronił. Co więcej, że ode

mnie oczekuje pomocy. Właśnie ode mnie...

—Powinieneś wziąć urlop — zacząłem, kładąc mu rękę na ramieniu. — Powinieneś odpocząć, bo...

—Nie jestem zmęczony. Mogę latać dalej.

Nie wezmę urlopu — przerwał. — Przecież z dnia na dzień? I czy on rzeczywiście nic o tym nie na

pytania, że obchodzi się z karabinami maszy-wiedzia?

nowymi, jakby pierwszy raz w życiu z nich strzelał.

Zgasilem niedopałek papierosa i przesiadłem się

—Na reszcie załogi robi to takie wrażenie, jakby na krzesło, żeby być naprzeciw niego.

ci się odechciało z nami latać — dodałem. — I

— Czy jesteś ze mną zupełnie szczery? —

pomyśl: czy możemy być ciebie pewni? Czy zapytałem.

możemy liczyć na ciebie jak dawniej, że starczy Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, a może ci energii, odwagi i zaciętości, jeżeli trzeba będzie wahał przez chwilę. Nagle wstał, przeszedł się po bronić się przed myśliwcami? Nie wiem, co tam pokoju i stanął na wprost mnie, po drugiej stronie za diabeł w ciebie wstąpił, co cię gryzie i co ci łożka.

dolega, bo nie chcesz czy nie możesz mi tego

— Słuchaj — powiedział zniżonym głosem. —

powiedzieć. Ale coś takiego musi być. No, a Powiem ci, dlaczego do ciebie przyszedłem.

skoro tak...

Pochylił się w przód, oparł się obiema rękami o

—Masz rację — przerwał mi energicznie. — To materac i patrzył mi prosto w oczy, zadarłszy głowę.

moja wina. Ale słuchaj: ja się opanuję. Ja się

— Czy myślisz, że nie poszedłbym sam, gdyby zmienię. Wezmę się za łeb i dam radę. Tylko można było iść do innej załogi? Ale ja mam iść „na pozwólcie mi zostać. Na próbę. Ty przecież urlop”, podczas gdy moja załoga dalej będzie latała.

mógłbyś to zrobić. Po to do ciebie przyszedłem: Przed wylataniem godzin bojowych. Teraz, kiedy jest żeby cię prosić...

najgorętszy czas. Kiedy nabraliśmy rozpędu... Proszę Nie mogłem tego dłużej znieść. Żal mi go było cię o jedno: powiedz mi, o co chodzi? Co ja takiego okropnie. Uświadomiłem sobie, ile go taka prośba robię,

że

musiała kosztować. Jego, ambitnego młodego chłopca, nie możecie ze mną latać?! Bo ja nie wiem.

z którym nie chciała latać załoga.

Wtedy uwierzyłem, że naprawdę nie wie.

Zgodziłem się natychmiast i wyprawiłem go, Powiedziałem mu i o tych różach, i o naszych żeby się przebrał w nowy mundur, ponieważ zabieram domysłów. Patrzył na mnie z takim zdumieniem, że aż go do miasta. Nie chciałem, żeby został sam tego mi się wstyd zrobiło, że posadzaliśmy go o jakieś dąsy wieczora.

z powodu owych róż. To musiało być coś innego.

Z resztą załogi załatwiłem tę sprawę w ciągu

— Widzisz — starałem się usprawiedliwić —

pięciu minut. Potem w towarzystwie Bujaka zaraz w tym locie na Mannheim, bezpośrednio po pojechałem do kina i do snackbaru na jakieś wizycie królewskiej, odzywał się do Górala jak z obrzydliwe cocktaile z mleka i niesłuchanie łaski, jak obrażona primadonna. A później już stale: kolorowych soków.

albo nie odpowiadasz, albo mruczysz pod nosem. I w ogóle w maszynie jesteś nieznośny. Zupełnie inny niż Następnej nocy poleciliśmy na Ruhrę.

dawniej. Nie dziw się, że potem, na ziemi, my nie Genowefa słabo brała wysokość, mimo że jesteśmy z kolei uprzejmi, kiedy tobie zły nastrój lecieliśmy pod wiatr; prędkość mieliśmy kiepską, przechodzi.

Zygmunt klął między jednym a drugim namiarem, ale

— Więc ja taki jestem w maszynie... —

to nic nie pomagało. Wiedźma, złopała benzynę na powiedział wolno.

zwiększonych obrotach, ryczała basem i wlokła się Powiedział to w taki sposób, jakby moje słowa niechętnie pod równy, gęsty nurt wiatru, jak w smole.

upewniły go w domysłach. Czyżby

Bujak zameldował brytyjskie światła wylotowe, wogóle nie uświadamiał sobie tych rzeczy?

potem brzeg holenderski i zamilkł. Pchamy się jeszcze Postanowiłem wyczerpać tę sprawę do końca.

z pięćdziesiąt mil dalej po wyznaczonej trasie, ale Powiedziałem mu, że nie pracuje jak dawniej: że nie wiadomo, że nie dociągniemy nad cel.

podaje Zygmuntowi swoich obserwacji ziemi, że Góral schodzi niżej, na 15 000 stóp i coś tam pakuje nas wprost w ogień artyleryjski zamiast ostrzec gada z Merkurym, czego nie mogę dosłyszeć. Zimno pilota o zaporach. że w drodze powrotnej w ogóle nie jak w psiarni. Księżyc zdaje się roztopiać i rozplływać odpowiada

na przejrzystym granacie

nieba wybitym gwiazdami. Biały blask, nasycony Genowefa położyła się w zakręt, aż mnie z lekka błękitem i zielenią, wlewa się przez szyby ściąga z siedzenia. Widać ziemię, tak jest jasno.

mojej wieżyczki do jej wnętrza i balansuje po Jakaś rzeka czy też kanał i szereg stawów; burtach i po pokładzie, raz po raz zawadzając o budynki, droga, nieregularny kształt zalewu, sprzężone karabiny maszynowe.

jakby łąchy podzielonej groblami.

— Uważać od księżycyca — rozlega się w Nagle — od owej łąchy podnosi się iskra i słuchawkach.

łukiem wzbija się w górę. Pęk zielonych To Góral sprawdza, czy który z nas się nie rozprysków zakwita nad ziemią i splywa w dół: zdrzemnął.

rakieta!

— U mnie czysto — odpowiadam. — Cały

— Rakieta! — wołam. — Góral, rakieta!

czas pilnuję. Nie ma nikogo.

— Gdzie?

Czekam na odpowiedź Bujaka. Ale Bujak

— Pod nami — mówi Zygmunt. — Bujak,

milczy. Znów milczy...

uwaga! Tu, zdaje się, jakiś samolot ląduje pod Dopiero na powtórne wezwanie odpowiada nami. Herbert, widzisz?

zmęczonym, chrapliwym głosem, że wszystko jest OK.

Nic nie widzę, bo wychodzimy z zakrętu.

Zygmunt tymczasem obliczył pozycję. Da-Teraz tylko Bujak mógłby coś zobaczyć. Ale wno już przerwaliśmy radiowy kontakt z bazą.

Bujak milczy, choć wszyscy po kolei go nawo-

— Nie dociągniemy — pada decydujące łują. Więc Góral przymyka gaz i znów kładzie zdanie. maszynę do wirażu.

Po takim oświadczeniu zawsze następuje Wypatruję: droga — kanał — stawy — łącha.

chwila milczenia i każdy najpierw przeklina w

— Jest! Zapalili światło.

myśli wiatr, a potem z żalem uświadamia sobie, Wygląda tak jak beacom lotniskowy.

że trzeba wracać, nie wykonawszy zadania.

—Grzejem w to? — pyta Merkury. —

Zmarnowana noc, próżny wysiłek i — bom-Szwaby tu lotnisko mają, jak dwa a dwa by; bomby, które nie wybuchną w Niemczech...

cztery.

To jest chyba najgorsze.

—Grzejemy, Góral! — popiera go Zygmunt.

—Ile mamy na wprost do tej Ruhry? — pyta

— To lepsze niż Wesel.

Góral.

Góral już schodzi w dół bez gazu: 13 000 —

—Ponad sto mil.

12 000 — 11 000. Wyłączamy przewody tlenowe.

—A na Dusseldorf jak idziemy, to co jest po Zakręt. Zygmunt leży na pokładzie, patrząc drodze? w przeziernik.

— Zaraz — mówi Zygmunt. — Zobaczę.

— Trochę w prawo... Za dużo... Jeszcze w To ożywia załogę. Nikt się nie odzywa, lewo... Tak jak teraz.

wszyscy czekają w napięciu, z

Drzwi bombowe otwarte. 10 000 stóp...

nadzieją, że przecież nasze bomby nie spadną do Ziemia milczy, spokojna, coraz wyraźniejsza morza. Że znajdziemy inny cel, gdzie runą i coraz bliższa. Ani jednego reflektora, ani budynki fabryk albo poskręcają się na makaron jednego pocisku artylerii przeciwlotniczej.

tory kolejowe, zapłoną niemieckie składy i 9 000. Bujak powinien teraz widzieć cel magazyny.

zupełnie dokładnie. Ja zobaczę go dopiero po

— Po drodze... jest! Wesel się ta cholera zbombardowaniu.

nazywa. Ale na odprawie mówili, żeby nie lecieć,

— Uwaga, Góral! — mówi Zygmunt stłu-bo tam jeszcze bardziej strzelają niż koło mionym głosem

— Uwaga.

Dusseldorfu.

Mija sekunda, dwie sekundy.

Teraz załoga jest już w świetnym humorze i

— Bomby!

uwaga Zygmunta wywołuje ogólną wesołość.

Trzy ciemne kształty oddzielają się od ma-Każdy ma coś do powiedzenia i każdy dorzuca szyny i odchodzą w dół, szybko malejąc.

swój żart do żartu nawigatora. Tylko przedni Cisza. Tylko pęd poświstuje w sterach. To strzelec milczy i nie śmieje się...

Genowefa po swojemu chichocze.

Wyteżam wzrok, właściwie niepotrzebnie, bo teren podczas wybuchów będzie doskonale widoczny.

Są! Trzy błyski rozjaśniające ziemię, hangary, Tylko Bujak umilkł po chwili i już się nie odzywał

łachę. Po chwili — potrójny grzmot jak echo.

aż do samego lotniska.

Ktoś krzyczy:

Tymczasem pożar za nami rośnie i widzę go

— Pali się! Hangar się pali!

ciągle. Kiedy mijamy brzeg holenderski na wysokości To Bujak ożył. Śmieje się i powtarza jeszcze raz, Alkmaar, jeszcze widzę łunę. Ścigają nas teraz że hangar się pali.

reflektory i ogień dział obrony przeciwlotniczej, ale

— Jeden kontener to zgasł od razu — mówi Genowefa, pozbywszy się bomb, jest lekka jak motyl: Merkury. — Ta musiała być w lotnisko.

mamy ponad 20 000 stóp i mogą sobie strzelać.

A druga poszła w hangar.

— Dwie w lotnisko, trzecia w hangar —

prostuję.

Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku 1 Genowefa Tymczasem zawracamy, aby wyrzucić resztę zakołowała na swoje zwykłe stanowisko w dispersalu, bomb.

Bujak nie ruszył się z miejsca. Nikt z nas początkowo Hangar pali się rzeczywiście, a ziemia nadal nie zauważył, że go nie ma, choć już był świt i milczy: nikt do nas nie strzela, choć lecimy nisko, na widzieliśmy się nawzajem, odróżniając z łatwością sześć tysięcy stóp zaledwie.

znajome sylwetki załogi i brygady mechaników.

Pierwszy Pryszczyk spostrzegł brak jednego z nas Bujak, rozgorączkowany, melduje, że widzi przy samolocie.

samoloty obok hangaru i ludzi koło pożaru. Jego

— Pana podchorążego nima? — zapytał głośno.

karabiny zaczynają ujadać krótkimi seriami.

Wszyscy się obejrzeni. Czyżby odszedł sam, nie Potem milkną i Zygmunt znów poprawia kurs: czekając na nas?

— Jeszcze w lewo... Jeszcze... Dobra! Trzymaj Nie. Przypomniałem sobie zaraz, że wychodząc z

— uwaga! Bomby!

maszyny widziałem go, jak siedział przygarbiony w Teraz moja kolej. Spod kadłuba wolno wypływa

przedniej wieżyczce.

czerwony, coraz większy blask ognia i całe oświetlone

— Ranny!

nim lotnisko.

To pewnie była myśl, która nam wszystkim Trzy bomby rwą się w odstępach krótszych niż jednocześnie przemknęła przez głowę. Rzuciliśmy się mgnienie oka. Zgrupowane pod hangarem samoloty do schodków. Góral był pierwszy. Za nim wszedł

roznosi na strzępy, a w samym rogu, gdzie padła Zygmunt i zaraz zawołał:

ostatnia z serii — natychmiast rozlewa się potężna

— Nie włączcie tu wszyscy; wyniesiemy go!

kipiel płomienia i dymu: benzyna!

— O rany... — jęknął Pryszczyk.

Genowefa idzie w zakręt — 3 000 stóp nad Skupiliśmy się u wjazdu, pod kadłubem.

niemieckim lotniskiem, a my obaj z Bujakiem

— Jesteście tam? — spytał po chwili Góral z pierzemy z karabinów maszynowych po budynkach, po ciemnego wnętrza.

maszynach, po samolotach, po barakach!

Jesteśmy. Co mu jest? —

Nieprzytomny.

Pewnie wystrzelalibyśmy wszystką amunicja W otworze zwisły nogi w futrzanych butach.

gdyby Góral nie dodał gazu i nie wyprowadził

— Trzymacie?

wreszcie Genowefy na kurs powrotny. A był już wielki Kilka par rąk uniosło bezwładne ciało Bujaka.

czas, bo zużyliśmy dużo więcej niż połowę zapasu

— Pryszczyk, po doktora — powiedział

paliwa.

Zygmunt. — Gdzie jest sanitarka?

Za sterem siadł teraz Merkury, nasz drugi pilot, i Samochód sanitarny stał opodal, pod hangarem.

„powozi” do domu. Ten lubi lecieć wysoko.

Pryszczyk już biegł w tamtą stronę. My tymczasem

— Dla pewności — powiada. — A tlenu jest ułożyliśmy Bujaka na rozścielonym płaszczu, dosyć w Wielkiej Brytanii.

podłożywszy mu pod głowę spadochron. Blady był jak Cała załoga dzieli się teraz wrażeniami.

kreda. Oczy miał półotwarte, martwe; ręce lodowato-zimne.

Nadjechał lekarz, sanitariusze wynieśli nosze.

niemieckich reflektorach, do wypowiedzenia paru słów Zabrali go i odjechali.

krótkiego meldunku.

Spojrzeliśmy po sobie.

To go tak wyczerpywało, że usypiał w drodze Nikt nie powiedział ani słowa. Mechanicy powrotnej. Nie wiedział, że to brak tlenu... Bał się milczeli także. Tylko Pryszczyk powtarzał swoje „o zdradzić ze swoją „chorobą”, żeby mu nie zabroniono rany”.

latać dalej, a jego wspaniały, młody organizm jakoś

„Spowiedź” w Intelligence Service ciągnęła się wytrzymał to wszystko aż tak długo.

nieznośnie długo. Każdego wypytywali o Na wysokości 18 — 20 000 stóp ciśnienie najdrobniejsze szczegóły; nudzili, szukali na mapach, atmosferyczne jest o połowę mniejsze niż na ziemi, wyznaczali i uzgadniali miejsce bombardowania, temperatura spada do —40 stopni Celsjusza i kierunki nalotów, wysokości, choć Zygmunt miał te zawartość tlenu w powietrzu gwałtownie maleje.

dane zapisane zupełnie dokładnie. Potem: Tlenek węgla pięćset razy łatwiej łączy się z

— Gdzie przedni strzelec został raniony?

hemoglobina niż ów tlen, którego jest tak mało.

Merkury warknął, że właśnie sami jeszcze Wystarczy trochę postrzelać, żeby zatruć się spalinami.

nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy żyje. I może by nas Bujak strzelał. Zawsze brał z sobą całą wiązkę wreszcie puścili, żebyśmy mogli do niego pójść!

szmat do maszyny, mówiąc, że mu potnieją szyby,

„Inteligentny” nie mógł zrozumieć, dlaczego więc musi je przecierać.

jesteśmy tacy rozdrażnieni, ale nadal był uprzejmy jak Teraz już wiedzieliśmy, po co mu były potrzebne zwykle.

te szmaty: wymiotował po strzelaniu. Żeby nie było Wtem zadzwonił telefon. Mówił lekarz z izby śladów w wieżycze, używał szmat i wyrzucał je przez chorych. Intelligence officer uśmiechał się, powtarzał

odwietrznik.

yes i very good, po czym odłożył słuchawkę.

Potem — skołatany, na pół żywy, dusił się

— Oxygen — powiedział do nas. — Tlen. On jeszcze przez dwie, czasem przez trzy godziny w nie miał tlenu, Now he is all right. Don't drodze powrotnej.

worry .

Nam, którzy mieliśmy tlen, było nieraz bardzo zimno. Jakże musiał marznąć on — osłabiony, On nie miał tlenu...

wycieńczony, chory i pozbawiony tlenu!

Czy mogą zrozumieć te słowa ludzie z ziemi?...

A przecież na ziemi zdobywał się na uśmiech, na Czy potrafią sobie uświadomić co to znaczy, nie mieć żart, na rozmowę, którą ucinaliśmy, zirytowani jego tlenu tam w górze?... Czy pojmą, jaka groźba mieści

„nawalaniem” w powietrzu.

się w tym zdaniu?...

Każda następna wyprawa musiała być dla niego Podchorąży Bujak w ciągu pięciu czy sześciu gorsza niż poprzednia. Myśl o tym, jak wypraw — od czasu gdy się tak „zmienił” —

poczynając od wysokości 14 000 stóp zaczynał się powoli dusić. Podczas gdy my włączaliśmy nasze przewody tlenowe i oddychaliśmy normalnie, on włączał swój, ale oddychał tak, jakby go wcale nie miał, bo przewód był uszkodzony.

Najpierw ogarniała go senność i apatia. Źle słyszał, czuł, że słabnie, że każdy, choćby najmniejszy wysiłek przychodzi mu z trudem. Nie podejrzewał

nigdy, że jego przewód tlenowy nie działa. Walczył z sobą, nie znając prawdziwej przyczyny złego samopoczucia i przypisując je bądź przejściowemu osłabieniu organizmu, bądź słabości woli. Nie chciało mu się mówić, słuchać, strzelać, obserwować.

Ogarniało go lenistwo, niezwyciężone, zdumiewające lenistwo!

Potem było mu coraz zimniej, coraz słabiej, coraz gorzej. Już wszystko jedno, co się dzieje i co się stanie: spać, nie ruszać się, nie myśleć, nie walczyć!

A przecież nad celem raz jeszcze się przewycięzał, zwłaszcza jeżeli nie lecieliśmy bardzo wysoko. Ileż musiały go kosztować te chwile! Czuł się jak człowiek tygodniami pozbawiony snu i odpoczynku. Był przemarznięty do szpiku, śmiertelnie zmęczony, słaby. Przemocą, najwyższym wysiłkiem woli zmuszał się do celowania, do strzelania po będzie się czuł przez te pięć, sześć czy siedem godzin, Ale Koza oświadczył, że sonet jest bardzo musiała być zmorą każdego wieczora. Był coraz piękny. Pisał go w tym czasie, gdy spaliśmy smacznie, słabszy, coraz bardziej wyczerpany nerwowo, więc nie było rady. Zresztą Merkury słusznie fizycznie i moralnie. I coraz mocniej zacinał się w utrzymywał, że kto wytrzymał tyle lotów bez tlenu, sobie; nie chciał opuścić załogi; postanowił się wytrzyma i sonet.

przemóc i zostać z nami do końca. Postanowił

Postanowiliśmy poza tym zanieść naszemu

„poprawić się”, nie „nawalać” już więcej...

„przedniemu” kwiaty.

Nie powiedział nikomu o tym, co się z nim dzieje Każdy z nas trochę się wstydził iść z kwiatami do w powietrzu; nawet mnie. Chciał latać dalej, chociaż kolegi, jak do panienki z dobrego domu, ale to latanie było dla niego męką. Skazywał się na nią wiedzieliśmy, że robi mu to wielką przyjemność.

dobrowolnie, znosił nasze cierpkie uwagi i ani razu się Więc nasi mechanicy pod wodzą Merkurego wygolili nie zdradził, że cierpi.

do czysta z róż klomby przed kasynem, a Talaga Wytrzymał tak sześć wypraw. Nie wiem ile związał wiecheć przewodem tlenowym, który wytrzymałby jeszcze, gdyby Merkury tym razem nie wywłókł z Genowefy. Tym właśnie przewodem.

wdrapał się z Genowefą na 22 000 stóp w drodze No i poszliśmy, omal nie parami jak ochronka do powrotnej. Na tej wysokości Bujak zemdlał. Na pół

pierwszej komunii.

uduszonego wyciągnęliśmy z kabiny.

Konował, poczciwy chłop, nie powiedział jeszcze

— Ma chłop zdrowie, ja wam powiem —

Bujakowi o tym przewodzie, żeby nam tę przyjemność oświadczył Merkury. — Ja bym zdechł za pierwszym zostawić, więc przed drzwiami wynikła sprzeczka, kto razem.

będzie zwiastunem nowiny. Uzgodniliśmy wreszcie, Chcieliśmy zaraz iść do niego, ale lekarz nas nie że Talaga, jako brygadzysta odpowiedzialny za wpuścić,

maszynę.

— Mało go nie utrupiliście — powiedział z Bujak leżał na łóżku na wprost drzwi, blady wyrzutem. — Teraz ja się nim opiekuję.

jeszcze, ale „już żywy”, jak stwierdził Pryszczyk, Przyjdźcie w południe, to go może zobaczycie.

który szedł za mną. Zobaczywszy tę całą deputację z Nie protestowaliśmy: niejednemu z nas ten zacny kwiatami i dyndającym węzłem przewodu, nie bardzo konował uratował połamane gnaty, a bodaj i życie.

wiedział, co to za heca, ale uśmiechnął się na wszelki Poszliśmy tedy spać, a przed południem wypadek i wyciągnął rękę na powitanie.

zebraliśmy się na lotnisku, żeby razem z mechanikami To nas speszyło: jakoś głupio było witać się z odwiedzić Bujaka.

nim kolejno, jakbyśmy się lichy wie jak dawno nie widzieli. Na szczęście Talaga się zorientował i Okazało się, że wszyscy mieliśmy nieczyste wystąpił z oracją: że tlen, że przewód, że nikt nie sumienia, bo każdy myślał o jakimś podarunku dla wiedział, bo przegląd okresowy dopiero w przyszłym biedaka, którego uważaliśmy tak długo za tygodniu, że się cieszymy ze szczęśliwego

„nawalacza”.

zakończenia i...

Merkury koniecznie chciał mu zanieść butelkę

— Tu właśnie te kwiaty, a ten przewód — na whisky.

pamiętkę.

—Przecież on nie pije — zauważyłem.

—Nic nie szkodzi: my wypijemy za niego —

Bujak z początku słuchał, mrugał (trochę z upierał się były handlowiec.

wysiłku myślowego, a trochę ze wzruszenia), aż Pryszczyk zwędził z magazynu butlę tlenu, żeby zrozumiał: tlen! Nie jakaś choroba, nie lenistwo, nie Bujak miał czym „w ty chory izbie” oddychać.

brak woli, tylko brak tlenu!

— Ja mu napisałem sonet — wyznał skromnie Wtedy go wzięto: rozmiękł na dobre i pobeczał

Koza.

się z radości, podczas gdy my zaczęliśmy gadać jeden Stropiliśmy się.

przez drugiego i ścisnąć go za ręce, bijąc się w piersi

— To go może dobić — i mruknął Zygmunt.

za sądy o nim niesprawiedliwe.

On milczał i spoglądał po nas z uśmiechem przez łyzy, aż wreszcie trochę mu przeszło i pociągnął mnie za rękaw.

—To zostaję z wami, Herbert, tak?

amunicji przez to namarnowałem, mój

—No pewnie, że zostajesz! — odrzekłem z Boże...: Zygmunt poklepał go po ramieniu. —

przekonaniem. — Jakże by mogło być ina-Odbijesz sobie w pierwszej wyprawie, nie czej?!
martw się.

—Uff — westchnął z ulgą i roześmiał się już Nikt z nas wówczas nie mógł nawet przyna dobre. —
Ale mi dało szkołę! Co ja puszczać, jak prorocze to były słowa.

święte bomby

dwóch konsumentów: widziałem ich obu wieczorem, jak się odprowadzali do baraku, obaj ciężko
wisząc na skrzydło. Merkury opowiadał, jak w cywilu sprzedawał dia-gonale i szewioty, a Koza
deklamował sonety własnego wyrobu...

Zygmunt z Góraleń pojechali do Lordów-ny, chrzestnej matki dywizjonu, dalej szturmować tę
Pierwszy tydzień sierpnia roku 1942 był dla niewzruszoną cnotę, ja zaś wojowałem piórem w nas i
dla Genowefy bardzo męczący: Hanower,

„Kronice”, odrabiając zaległości.

Kolonia, Lubeka i dwukrotnie Hamburg. Pięc Wreszcie po kilku dniach Bujali wrócił.

wypraw w ciągu siedmiu nocy. W dodatku latali z Powitaliśmy go z radością, bo się już wszystkim nami na te wyprawy kolejno aż trzej strzelcy to nieróbstwo sprzykrzyło, a dywizjon właśnie przedni, ponieważ Bujak „utleniał się” w izbie miał składać nocną wizytę Niemcom w Wil-chorych pod opieką naszego konowała.

helmshaven, gdzie nas jeszcze nie *było*.

Pierwszy z tych strzelców, młodziutki chło-Oblataliśmy przed południem naszą Geno-pak, bardzo zresztą miły, nie wytrzymał nerwowo wefę, sprawdziliśmy przewody tlenowe, uzbro-hanowerskiej łaźni i trzeba go było spławić.

jenie i przyrzady, a po podwieczorku ruszyliśmy Drugiego postrzelili Niemcy nad Lubeką. Trzeci, w bojowym nastroju na odprawę.

stary wyjadacz, czterdziestoletnie chło-pisko, dostał wietrznej ospy, czy odry. Wstydził się Odprawa — jak odprawa: każdy specjalista okropnie tej dziecięcej choroby, ale nie było innej myśli, że najważniejsze jest to właśnie, o czym rady: zabrali go zaraz po drugim Hamburgu do sam mówi. Ale robota — ważna r o b o t a —

szpitala dla zakaźnych, niemal prosto z maszyny.

zaczyna się dopiero po odprawie. Studiujemy Zygmunt mu jeszcze przygadał na od jezdny, komunikat meteorologiczny, kombinujemy trasę, żeby do nas napisał, czy nie ma kokluzsu i czy dobieramy prędkości na poszczególnej jej przysłać pieluszki, ale tak czy owak zostaliśmy odcinkach, po czym dziesiątki cyfr zapełniają log bez przedniego strzelca i nie poleciliśmy ani na Zygmunta.

Koblencję, ani na Bremę.

Każda załoga ma swoje chody i sposoby na Merkury mówił, że to lepiej, bo kilka na-dojście do celu i powrót do bazy. Jedni lecą za-szych załóg stamtąd nie wróciło, a i my mogliśmy wsze tym samym szlakiem na te same cele, jak nie wrócić. Zresztą trzeba było odpocząć, bo słońki na wiosnę. Inni, zależnie od pogody, Genowefa też się zmęczyła, a mechanicy ledwie żyli, nie śpiąc, nie jedząc, żeby tylko wydażyć z robotą.

Góral się na to zirytował i powiedział Merkuremu, że po *to* jesteśmy, żeby latać, a mechanicy po to, żeby tyrać, i że nie wiadomo, kto nie wróci z następnej wyprawy.

To brzmiało jak groźba lub jak memento, ale Merkury się nie przejął, tylko zaprosił Kożę „na jednego”, bo na kolację miał być łośoś z puszki, a Merkury utrzymuje, że w takich wypadkach koniecznie trzeba kapkę się napić, „żeby łośoś nie pomyślał, że go psy jedzą”. Przypuszczam, że w

danym wypadku losoś nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do ludzkiego pochodzenia tych zmieniają tylko wysokość lotu nad morzem i nad przeszkód na dachach budynków i na masztach nieprzyjacielskim brzegiem. Jeszcze inni chodzą „na radiostacji.

nos": tu odskoczą w bok z kursu, tam wróca; idą

—Halo, Genowefa! Halo, Genowefa! — w wprost na zapory artyleryjskie, żeby w ostatniej słuchawkach. — Gotowi?

sekundzie wykręcić i przedefilować wzdłuż nich bez

—Gotowi!

gazu, cicho, niby cień wymykający się nożycom Ziemia rusza z miejsca i wykręca w lewo.

reflektorów; kluczą między obłokami, schodzą pod nie Sylwetki mechaników ze wzniesionymi ramionami i lub pchają się w chmurach; wracają nad samą wodą odgiętymi w górę kciukami obu dłoni. Trzęsie, albo niemal w stratosferze. Zależnie od dnia, od chrobocze, oleo-pneumatyczne amortyzatory dobijają wiatru, od nastroju, od przecucia, od dziesiątków twardo na nierównościach. Potem — gładki betonowy drobnych okoliczności i nawet przesądów.

runway. Rząd latarni startowych. Poślizgi światła na Bo nocna wyprawa jest grą, a załogi bombowców trawie sezesywanej pędem wichru od śmigieł. W

są graczami. Jedne idą vabanque, inne podwajają za oddali, w mroku — czarny cień Wellingtona oddzie-każdym razem stawkę, inne grają ostrożnie, inne lający się od ziemi...

używają wybiegów przeciw zmiennemu losowi, I znów: — Halo, Genowefa!

jeszcze inne wierzą w fatum, które tą grą rządzi.

Silniki łomocą — raz lewy, raz prawy; zamiata Na Genowefie zaś jest tak, że każdy z nas myśli mną w zakrętach po runwayu.

trochę inaczej, ale zgadzamy się w sumie doskonale.

Wreszcie: — Good luck! — startujemy.

Zaczynając od przodu — Bujak jest optymistą: Zielone światło oddala się, oddala, oddala... Na jakkolwiek polecimy, damy Niemcom szkołę i nic się lewo wyskakują raz po raz lampy znaczące drogę nam nie stanie; Góral wierzy święcie, że jeśli dotąd rozbiegu. Ziemia klei się do podwozia, nie puszcza.

żyjemy, to wyłącznie dzięki jego wykrętasom i lotom Od rozkraczonych goleni przez podłużnice kadłuba idą w chmurach; Merkury powiada, że do celu najlepiej dreszcze i udzielają się statecznikom ogona, które nie lecieć w ogóle, a jak już koniecznie trzeba, to szarpiają moją wieżyczką, jakby w

konwulsjach.

wszystko jedno jak, byle prędko — natomiast wracać Wiem, że Genowefa dobywa wszystkich sił: lubi wysoko i prostą drogą; Zygmunt powoduje się nabrać pędu! Ulżyć podwoziu! Oderwać się od ziemi!

przecuciami; Koza wierzy w swoje radio i w Czuję wszystkimi nerwami ten straszny wysiłek i sam opatrność: klnie i modli się na przemian; wreszcie ja podświadomie biorę w nim udział. Wstrzymuję podzielam po trosze przekonania ich pięciu, a nade oddech, napinają mi się wszystkie mięśnie, a w głowie wszystko ufam, że damy sobie radę, bo — nie ma co panuje tylko jedna myśl: naprzód! Naprzód i w górę.

ukrywać — załoga jest dorzeczna.

Śmigła ubijają fale powietrza na gęsty, twardy Załoga jest dorzeczna, tak. Gdyby nie to, może nurt, który wali o ziemię i wygina grzbiet, by nie wrócilibyśmy tym razem znad Wilhelmshaven...

dźwignąć na nim skrzydła. Podsadza się pod nie, spręża się coraz mocniej, coraz gwałtowniej, z siłą Komunikat meteo przepowiadał same przykrości: wściekłości, za którą czyha już tylko rozpacz u końca silny wiatr północno-wschodni, bardzo niska runway. Silniki wyją, płaczą, skarżą się boleśnie.

temperatura w górze, grady, deszcze i burze Rzekłbyś: nie dadzą rady, bo wypór wciąż jest za mały magnetyczne. Niby jak na jedną noc, to dosyć...

w stosunku do ciężaru maszyny: ogromne płaty

— A bombek ile na ten raz? — pyta Zygmunt.

skrzydeł orzą zbity, oszalały od pędu potok wichru i Góral niechętnie wymienia poważną ilość nie mogą znaleźć na nim dostatecznego oparcia; funtów.

ześlizgują się po jego powierzchni, grzęzną w nim i

— Mam z tym wyjść na 18 000 — dodaje z toną, póki znów nie podeprze ich amortyzacja gryząca ironią.

podwozia.

Merkury robi beznadziejną uwagę, że trzeba by Genowefa przysiada i toczy się, cała rozdygotana, pożyczyć jeszcze z pięćset koni

spazmująca, niemal pokonana przez siłę przyciągania mechanicznych, aby Genowefa zdobyła się na podobny ziemi. Ale gdyby się teraz poddała, nie starczy już wyczyn, i przechodzimy do porządku nad tą lotniska na wytracenie pędu. Więc, posłuszna sterom, niewykonalną sprawą.

gna dalej naprzód.

Omawiamy trasę powrotną, zjadamy kolację i Teleskopowe człony goleni tępo uderzają na jedziemy ciężarowym samochodem do dispersalu, każdej nierówności betonu. Ściągną drgają i dźwięczą, czyli — jak się to nielogicznie teraz po polsku nazywa jakby miały lada sekunda pęknąć. Silniki zdają się — do „punktu rozproszenia”.

wyłamywać z łożysk, a wibracja kadłuba trzęsie Po chwili ciszę wieczorną zaczynają drążyć wszystkimi instalacjami, które dostały febry i dzwonią bliższe i dalsze warkoty, pomruki i ryki silników, a szkłem i metalem. Genowefa cierpi, lecz musi wyjść w potem migocą latarki elektryczne w rękach obsługi powietrze albo roztrzaskać się w kawałki...

startowej, która kieruje maszyny na zawietrzny skraj Genowefa cierpi... Taki start, start z takim lotniska. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, obciążeniem, pewnie jest dla niej okrutną próbą. Czuję zapalają się. wszystkie naraz, czerwone światła tę straszliwą mękę wybijanych stawów, tę szarpaninę

— No — mówi Góral — to by było to.

ścięgien, te skręty kadłuba i omdlenia skrzydeł, bulgot wypełnionych zbiorników, stękanie wnętrzości Pchamy się przez chmury na ślepo. North -East opchanych bombami, ciężkich, nadrywanych cwałuje po nich to tu, to tam, przysiada gdzieś podskokami na wybojach, tę nieznośną wibrację zmęczony i zrywa się, jakby go diabeł uszczypnął w przyrządów i zegarów, to bolesne ćmienienie pośladek. Tratuje gęste chmurzyska, czarne od grozy i wewnętrznych światel ekranowych i drzenie nerwów rude od złości, skacze na North, odbija się, jakby mu radiostacji — lamp i anten. To musi być okropne... Ale północ dała w pysk, i zatacza się na East, by na łeb, na maszyna musi to wytrzymać, jeśli ma istnieć nadal. Oto szyję runąć w dół, w jakąś powietrzną przepaść, w opuszcza lekko ogon, by ulżyć podwoziu, jakby się którą Genowefa zapada za nim, nagle tracąc oparcie.

wspinała na palcach. Golenie przestają dobijać, Robię się lekki, jakbym był z papieru, i mimo woli pneumatyki kół ledwie muskają powierzchnię runwayu.

chwytam rękami za krawędzie mego krzeselka, żeby Jeszcze chwila...

nie uderzyć głową o kopułkę wieżyczki.

Zaciskam pięści aż do bólu.

Lecz w tej samej chwili wszystMe moje członki,

— W górę... W górę, Genowefo!

serce, płuca i wnętrzości napełniają się ołowiem; aż Czuję, jak skrzydła wchodzą na tego ubity nurt, mnie przegina w krzyżu od tego ciężaru. To pod twarde jak olbrzymia stalowa sprężyna. Ugina się

pod skrzydłami samolotu pękł olbrzymi balon gęstego nemi, spłaszcza się, ale niesie! Niesie! Ogon dźwiga się powietrza, ściśnięty z dwóch stron napierającymi do poziomu i teraz pędzimy równolegle do ziemi, lecz falami wichru. Pękł, chlusnął w próżnię, rozlał się, już ponad nią. Opływ syczy w antenie, zaczynają wypełnić sobą przepaść i dźwignął nas w górę, by gwizdać fletnery na sterach i wypycha nas w górę: rzucić w zakręt innego podmuchu, który zawinie ma-ostatnie czerwone światła płyną coraz wolniej, szyną i poda ją następnemu z kolei. Ten wpadnie na zapadają w dół, maleją.

skrzydło, wymknie się spod niego i grzmotnie sprężystym łbem w drugie, a potem zatarga sterami i znów skoczy w jakąś studnię, żeby nas tam za sobą pociągnąć.

Tak było ciągle, od stu pięćdziesięciu stop do sześciu tysięcy, niemal od chwili startu — przez trzecią część drogi.

Dopiero na wysokości siedmiu tysięcy wichur nieco się uspokaja i tylko wertepy, wały, leje i wyrwy powietrznego poligonu chwieją maszyną wśród chmur.

Jest bardzo ciemno. Lecimy jak w rozpylonej sadzy, nie widząc nic zgoła, nie wiedząc, czy jesteśmy jeszcze ciągle w chmurach, czy też przebiliśmy ich warstwę.

Nagle w tej czerni wybucha blask: oślepiający, błękitnobiały, ogromny.

Niezmierny przestwór ocknął się, mrugnął ciemną powieką, spojrzął przeraźliwie jasnym wzrokiem, którego nie mogą znieść ludzkie oczy, i znów zapadł w drzemkę.

Błyskawica oświetliła skłębiony odmęt chmur tuż pod skrzydłami Genowefy, ciężki, brzuchaty ich okap, który zdaje się urywać nad nami, i kilka spłoszonych, rozpełzłych obłoków na naszej drodze. Ziemi nie ma.

Nie ma ani gwiazd, ani nieba. Świat, w którym istniejemy, składa się z chaosu chmur, z wąwozów, dolin i przełęczy między nimi. Słońce, dzień, mój po-kój, zieleń lotniska, wszystko, na co patrzyłem jeszcze niedawno, zaledwie kilka godzin temu, oddaliło się tak niezmiernie, jest takie inne niż to, co mnie otacza, że wydaje się niemal nieprawdziwe, nieistniejące.

Nowy blask potęguje to uczucie: walimy prosto przez otwartą lukę wśród spiętrzonych gór gęstej pary, gór o amiennych, ruchliwych kształtach, gór-nie-gór, potwornych worów, baniastych kopuł ponaszanych wzajem na siebie, wzdymających się, pełzających, wijących się w konwulsjach, kipiących i puchnących, pożerających się i miotanych torsjami. Nie ma nic wyspami, a na prawo, o cztery-pięć mil, brzeg więcej. Harmonia tamtego, ziemskiego światła zginęła.

holenderski. Idziemy równolegle do tego brzegu i Jest tylko chaos, rozrywany białymi zębami błyskawic.

dopiero teraz nabieramy nieco wysokości. Merkury Mrok pruje się teraz co chwila wzdłuż krzywych, melduje: 9000, 10 000, 11 000...

zygzakowatych szwów i zrasta się natychmiast, jeszcze Wszystko to jest jednak bardzo mało. Każdy z czarniejszy, jeszcze bardziej gęsty. Raz po raz cień nas dobrze rozumie, że jesteśmy ciągle w zasięgu samolotu wyskakuje na chmurach przede mną lub z artylerii wszystkich kalibrów.

boku, to bliski i prawie czarny, to daleki, mglisty, A co będzie nad celem?...

szary, z otęczę dokoła — zależnie od tego, z której To nie jest myśl krzepiąca. Każdy zadaje sobie strony wyszczerzy się błyskawica.

takie pytanie i każdy stara się tę myśl odpędzić: może Między zdwojonymi lufami karabinów ma-uda się wejść choćby na 15— 16 000?...

szynowych nieustannie przeskakują iskierki Każdy wie, że się nie uda; że udać się nie może, wyładowań elektrycznych. Jeżeli zbliżę dłoń do bo do celu jest już zbyt blisko. A w ślad za tym jakiegokolwiek metalowego przedmiotu, w końcach trzeźwym stwierdzeniem płyną natrętne myśli o palców czuję ukłucia takich samych iskierek.

ratunku przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

W słuchawkach — trzaski. Clirypiący, jakby Mamy prawo nie lecieć nad cel w takich czkawką przerywany głos Kozy:

warunkach!

— Wyłączam radio.

Możemy skrócić o 90 stopni w lewo, na północ i Próbuję obrócić wieżyczkę: w lewo, w prawo.

wyrzucić bomby w morze!

Iskrzy!

Powinniśmy zawrócić!

Z fletnerów na sterach ciekną paciorki płynnego światła; zatrzymują się na krawędzi i skaczą w mrok.

Skrzydła fosforyzują. Pokrywa je świecący szron, który rozprzestrzenia się nieregularnymi plamami blasku, znika i znów się ukazuje. Świeci biało, zielonawo, błękitnie. Pełzające, ruchliwe meduzy, węże i smoki wiją się po kadłubie. Mnożą się, rosną, to znów maleją, dzielą się i łączą, zmieniają kształty, przeobrażają się, zlewają się i liżą burty, by po chwili znów skoczyć na skrzydła i tańczyć na lotkach jak rozbawione chochliki. Górna antena drży jak pajęczyna pokryta rosą i strząsa kropelki blasku osiadające na niej nie wiadomo skąd; dolna, lekko wygięta pędem, błyszczący jak wypolerowana stalowa klinga.

Genowefa pławi się w żywym srebrze elektryzacji i sieje smugi lśniącego pyłu, cała w aureoli wyładowań, drgająca, nierzeczywista jak zjawia, która może rozwiać się i zniknąć.

— Osiem tysięcy stóp — chrypi głos Merkurego.

Bujak zawiadamia nas ze swego przedniego stanowiska, że „jeszcze w życiu swoim czegoś takiego nie widział”, na co Góral odpowiada opryskliwie:

— To się przyglądaj.

Ta krótka wymiana słów wraca mi poczucie rzeczywistości: lecimy na Wilhelmshaven; to nie jest sen z palarni opium, tylko jawa.

Góral się irytuje, że nie może wyciągnąć maszyny wyżej. Nic go nie obchodzą niezwykle zjawiska burzy magnetycznej w luce między chmurami. Koza martwi się o radio, które zwariowało w tych warunkach, a Zygmunt z całą swoją wiedzą nawigacyjną jest jak tabaka w rogu, bo ani namiarów, ani ziemi, ani gwiazd.

Wreszcie po godzinie wychodzimy z chmur.

— Widzę gwiazdy! — woła Bujak.

Ja ich jeszcze nie widzę, bo siedzę tyłem do kierunku lotu. Za to widzę w dole coś jakby fale na morzu.

Pod nami jest rzeczywiście morze usiane Za mc na świecie pierwszy nie wypowiem

—To drugi! — wołam dygocąc z emocji.

takiego zdania. Nie wypowie go żaden z nas, choć

—Atakował z przodu, z góry — mówi Bujak. —

każdy czeka, by je wypowiedział ktokolwiek.

Ten nie miał świateł!

Gdyby jednak zostało wypowiedziane, wszyscy

—Uwaga, Bujak!!! — wrzeszczy Merkury. —

by zaprotestowali. Bo wolno nam się bać, ale nie Uwaga! Na prawo światła!

można o tym mówić.

Bujak strzela i natychmiast z mroku nade mną Nie zawrócimy. Nie skreścimy na północ. Nie czterema smugami sypią się koraliki pocisków.

wyrzucimy bomb do morza, bo „te bomby są święte”, jak raz powiedział Bujak.

Szarpię karabinami, Wykręcąm wieżyczkę —

Nie potrafię tego tak krótko i prosto wy-poprawka — ognia!

tłumaczyć", jak on to ujął, choć pewnie nie każdy od Znów za późno. Smugi tamtego nikną, słyszę, jak raz to zrozumie. Ale Bujak ma rację: te bomby są ktoś klnie i potem Bujak:

święte. Muszą upaść na ziemi niemieckiej i

— Ten łobuz...

wybuchnąć. To, że mamy możność bombardować Nie słyszę końca zdania; nowa seria głuży słowa Niemcy, jest naszym przywilejem. Nikt inny z i... jest! Czerwona i zielona gwiazda podchodzą za Polaków tego przywileju nie ma, tylko my. Więc nie ogon! Strzelam, prowadząc ogień przed nimi, a potem mamy prawa zrzec się go, póki żyjemy. To są nasze, przepuszczam je w smugach moich pocisków.

polskie bomby, choć pochodzą z brytyjskiej fabryki.

Odszedł. Zwalniam nacisk palców i słyszę krótkie Dlatego są „święte”, dlatego każda musi wybuchnąć w serie Zygmunta i Bujaka, to razem, to na zmianę. Koza celu i dlatego nie rzucimy ich do morza.

klnie:

Dlatego także polecimy nad cel na tej idiotycznej

— Odbiornik mi, cholery, postrzelali...

wysokości, na której może nas dosięgnąć każdy Znów coś przewija się koło nas — o sto pocisk. To już trudno; nad celem będzie gorąco, ale jardów? — o pięćdziesiąt jardów?... Bujak my tam dolecieć musimy.

strzela i...

— Uwaga, Herbert! Z lewej!

Maszyna lecd teraz spokojnie, może z powodu Podrywa mnie, mało mi oczy nie wyskoczą z większej wysokości, a może dlatego, że minęliśmy czaszki.

front burzowy. Rozglądam się po niebie. Księżyc

— Jest!

wlecze się między obłokami, uśmiecha się wynurzając Wałę. Bujak strzela także. Między dygotem serii zza nich jajowatą, spłaszczoną gębę i smutnieje, gdy raz po raz słyszę urywane słowa, strzępy

okrzyków i go zakrywają.

wreszcie:

Wtem na lewo w skos, trochę powyżej nas, dwie

—Dostał! Patrzcie, jaki wybuch!

małe gwiazdy ruszają z miejsca. Przecieram oczy z

—Hura! — wrzeszczy Koza.

niedowierzaniem. Ależ tak! Płyną po wielkim łuku w Wszystkie naraz gadają — nie mogę zrozumieć...

naszą stronę, rosną, mijają inne gwiazdy...

— Powiedzcie mi...

—Samolot od ogona! Widzę światła pozycyjne Znów kilku naraz:

— pięćset jardów.

—Jak to? Ma światła?! — pyta naraz kilka głosów.

Potwierdzam, starając się przewyciężyć skurcz gardła.

— Uważaj, Góral!

Góral mówi:

— Daj mu szpryca, tylko nie za wcześnie — i zapada milczenie.

Obca maszyna zbliża się wolno. Jej pilot chyba nas nie widzi, bo podchodzi raz z lewej, raz z prawej, oddala się i znów nas dogania, jakby tracił ślad i znów go odnajdywał. Wreszcie zniża się na nasz poziom i trawersuje lekko o dwieście jardów od prawej ku lewej.

Teraz — myślę.

Seria! — Zgasł...

Ale w tej samej chwili coś dzwoni po kadłubie, odzywają się karabiny Bujaka i czarna masa — jak oślepiły, wystygły meteor — przewala się nad nami.

Machinalnie naciskam spust — za późno! Seria mija znikający cień i chybia.

— Bujak go zwalił! Rozleciał się! Pali się.. same Jedna zgasła w rozprysku granatu, ale druga płonie i śmiecie! Bujak..

widzę ją, jak zostaje w tyle za nami. Świeci: widzę

— Przed nami reflektory — mówi Bujak.

miasto — port — nabrzeża — statki...

W maszynie pełno dymu i czadu, który Ciągłe idziemy w dół bez gazu. I ciągle żyjemy!

z wolna uchodzi przez odwietrzniki i szpary. Robi mi Jakim cudem?!

się mdło, mimo tlenu. Straciliśmy ze dwa tysiące stóp wysokości, a reflektory macają: pod nami na lewo, na Widzę za ogonem raz po raz kłębki dymu i prawo, wyżej... Jesteśmy nad lądem.

błyski; po pięć, po dziesięć wybuchających pocisków.

Zygmunt pyta:

Słyszę te wybuchy.

—Jaki masz kurs?

Jak długo to już trwa? Kwadrans? Godzinę? Pół

—80 — mówi Góral. — Ale grzeją! Po

minuty? Nie wiem, nie umiałbym odgadnąć.

chwili Zygmunt ustala:

Wreszcie — pełny, dźwięczny jak dzwon na

—Minęliśmy Emden. Weź 75.

alleluja, głos Zygmunta:

Wkrótce potem:

— Uwaga: bomby!

—Weź 70.

Widzę je doskonale, jak migają w pasmach Ziemia wysyła ku nam setki i tysiące pocisków.

światła i kiwając się lecą w dół. Zaraz potem Rodzą się tam w dole jako błyski i iskierki, pędzą gwałtowny młyniec porywa nas w ślad za nimi.

coraz większe, gasnąc u szczytu drogi albo migając

— Trzymajcie się! — woła Góral.

rozpryskami wybuchów. Rośnie napięcie nerwów.

Pół zwitki korkociągu wtlacza mnie w oparcie Każdy z nas czeka, wstrzymując oddech.

niskiego siedzenia i natychmiast rzuca z powrotem na Reflektory, zapory ogniowe, stożki. Pociski idą tyłce karabinów. Serce zatrzymuje się na sekundę i wysoko nad nami, czasem drobne odłamki trzepną po rusza cwałem. Strach skacze do gardła.

skrzydłach z góry. Widzę brzeg zatoki, więc Co się stało?

wychodzimy chyba na południe od celu?

Odpowiedzi nie ma. Spadamy w dół z sześciu czy Tak. Zygmunt zduszonym głosem mówi: siedmiu tysięcy stóp, jakby się nam urwały skrzydła

— Kurs 350. Zamknij gaz.

albo stery. Spadamy, prowadzeni bez przerwy Brzeg naszpikowany reflektorami usuwa się, reflektorami; w potopie oślepiającego blasku — prosto wykręca. Ogień jest tak gęsty, że nie można do morza. Maszyna wyje pędem, gwizdże, szamoce zrozumieć, jakim cudem Genowefa trafia na się. Słyszę głosy załogi, ale nie rozróżniam słów. Nie przestrzeń wolną od wybuchów.

mogę ruszyć z miejsca wieżyczki; zapewne zacięła się, Nagle ostre światło zalewa moją wieżyczkę i albo mechanizm został uszkodzony pociskami. Jestem zapewne całe wewnątrz kadłuba. Jeden, dwa, trzy uwięziony i nie zdążę wyjść, jeśli nawet nie zginę reflektory... Już skłaniają się ku nam, ze wszystkich natychmiast przy uderzeniu o wodę.

stron. Genowefa błyszczy jak srebrna ważka: kilka Jakiś paraliż opanował mi myśli i nerwy; promieni skupia się na niej i sunie razem z nią przez niebo. Nad całym ogromnym dnem nocy nie ma nic więcej, tylko nasza maszyna, schodząca coraz niżej i niżej — nad setki dział, które teraz biją do niej wszystkie razem!

Wiem, że wzrok każdego kanoniera wpatrzony jest w Genowefę, która błyszczy jak przynęta u wędki na pstrągi.

Kiedy rozprysnie się w ogniu pocisków?...

Całe niebo, pokreślone pasemkami światła

reflektorów, zbiegło się w jeden punkt. Jest tak, jakby to Genowefa wysyłała ogromny snop promieni, obejmujący ziemię. Ona jest punktem centralnym. Ona jest najważniejsza. Ona jedna przeciw tylu bateriom!

Schodzi w dół majestatycznie, wolno, sycząc i gwizdząc opływem powietrza na sterach i w antenach.

Schodzi w dół, prowadząc z sobą po niebie pochylający się stożek reflektorów. Jest patetyczna w tym spokoju prostego lotu ślizgowego. Miele bez pośpiechu śmigłami lśnącymi w blasku jak lustra, a na nitce jej celownika sunie ziemia przed wzrokiem Zygmunta.

Rzucamy flary, żeby tę ziemię lepiej widzieć.

wiem, że gdzieś w moim mózgu zapalił się lont przerażenia, ale płomień jeszcze nie doszedł do ładunku i wybuch nie następuje. Nie uświadamiam sobie jasno grozy tego, co się dzieje.

Tego, co się tak krótko będzie jeszcze działo...

Nie umiem sobie uprzytomnić, nie umiem zrozumieć, że nas zestrzelono, że giniemy, że to już koniec.

Nie rozumiem także, co znaczy mrok, który mnie po chwili ogarnia, i ciężar który mnie przygniata coraz bardziej i bardziej. Czuję tylko olbrzymi, rozkołysany dzwon w uszach: raz —

dwa, raz — dwa...

Och, jak słabo... Czy tak się umiera?...

—Herbert! Herbert! Herbert! Nagle

budzę się z omdlenia.

—Herbert!

— Czego,.. — chcę powiedzieć: „czego chcecie?“, ale nie starcza mi głosu.

— Żyje, nic mu nie jest — mówi Góral.

Aha, to o mnie. Nagle wracają mi siły.

Plama na morzu

Przesunięcie naszego dywizjonu z grupy bombowej do przybrzeżnej nie było degradacją, tylko miało na celu umożliwienie nam odpoczynku. Po każdym dwóch dniach lotów operacyjnych dwa dni następne „odpoczywamy“, to znaczy robimy loty ćwiczebne, trenujemy z nowymi załogami itd. No i nie latamy na razie w nocy, to prawda. Prawda także, iż w porównaniu z wyprawami nad kontynent, służba w Costal Command może być traktowana jako zajęcia dla rekonwalescentów.

Przybyliśmy tu, na tę nową stację, po ostatnim, pechowym miesiącu, który nas kosztował

kilka załóg bądź zabitych, bądź zaginionych i kilku rannych. Trzeba przyznać, że wszyscy byliśmy wskutek tych strat nieco oklapnięci i wyczerpani nadmierną pracą. Więc wysłali nas na ten koniec świata i kazali odpocząć.

Warunki do odpoczynku są tu idealne

—Czego chcecie? — pytam głośno.

co ma reprezentować umywalnie (po jednej na

—Aleśmy im wyrwali, no! Ktoś

czterech). Na ośmiu — trzeba przyznać — jest tylko się śmieje.

piecyk żelazny. Piecyk wygląda podejrzenie: tak,

—Byli pewni, że nas zastrzelili, a my — cyk!

jakby w nim nie można było palić, zwłaszcza że nad samą wodą i moje uszanowanie! —

wymiarami przypomina sprzęt z domku dla lalek. No, cieszy się Góral.

ale tymczasem jest jeszcze lato, a Zygmunt powiada,

—Przestali nawet strzelać — potwierdza że tu w zimie cieplej niż w lecie.

Bujak.

Wieje w tych barakach jak diabli. Kiedy deszcz Rozglądam się dokoła. Lecimy nisko nad pada — a pada trzy, cztery razy dziennie — kapie na morzem. Daleko, daleko widać błyszczące re-pamięć na każdą poduszkę, a oczywiście wilgotno jest flektory i ogień artylerii, i łuny pożarów. To zawsze, bo dookoła glina jak pod cegielnią.

Wilhelmshaven się pali.

Za to lotnisko — jak preria! Mieli tu stać A my żyjemy! Nie urwało nam ani skrzydeł, Amerykanie ze swoimi latającymi fortecami, czy ani sterów, tylko Góral zaryzykował sześć tysięcy jeszcze większymi gratami, bo runwaye zbudowali —

pionowej piki, żeby wyjść z ostrzału niemal jak mówi Pryszczyk — „z poważaniem”, na półtorej wszystkich naraz baterii obrony przeciwlotniczej mili długie. Żeby człowiek nie chciał, musi

— i wyszedł! Pocziwa stara Genowefa wystartować, tyle jest rozbiegu. W dodatku lotnisko i wytrzymała i teraz niesie nas do bazy.

cała stacja siedzi na czubku lądu, na półwyspie, co Podziurawiona, z posiekanymi burtami, z przesterczy w morzu niby pieróg w śmietanie, wysoki, strzelonym radioodbiornikiem, ale żywa, grająca stromy, z brzegami urywającymi się nagle stumetrową basem silników, lekka i szybka.

przepaścią, na której dnie pieni się i szumi fala O, Genowefo!

przyboju. Tą przepaścią kończy się każdy runway.

Ważniejsze jednak od tego wszystkiego jest, że nad barakiem dowództwa stacji powiewa tylko jedna, samotna bandera lotnicza. Polska bandera.

Jesteśmy tu sami. Jesteśmy u siebie. Na w promieniu dziesięciu mil nie ma Mteralnie p o l s k i e j stacji. Polak jest jej komendantem.

żadnej rozrywki, żadnego baru, dansingu czy też Wychodzą p o l s k i e rozkazy dzienne: p o l s k i e kina; od najbliższego miasteczka, które ma instrukcje (i angielski ich przekład dla nielicznego łączność z cywilizacją w postaci wyżej wspom-ziemnego personelu brytyjskiego) wiszą na tablicach i nianych jej przejawów i gdzie jest także najbliższa tylko angielski kucharz truje nas w kasynie tymi stacja kolejowa oraz poczta, dzieli nas czternaście okropnościami, które wymyślili Brytowie,, aby zepsuć mil krętej, wąskiej drogi, wiodącej stale albo z najlepsze na świecie produkty spożywcze.

górkę, albo pod górkę, obramowanej po obu Najważniejsze zaś jest to, że od razu się nam stronach wysokimi żywołotami. Angielscy powiodło w tej nowej dla nas, dziennej pracy na nowej kierowcy jeżdżą po tych Samosierrach z stacji. Stali tu przed nami przez czternaście miesięcy szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, Anglicy i polowali na niemieckie okręty podwodne, rozbijając w nieregularnych odstępach czasu ale nic nie upolowali. A my stoimy kilka tygodni i samochody, siebie i pasażerów. Komunikacja mamy dwa pewne i parę prawdopodobnych. Mamy kolejowa jest dużo powolniejsza: bummelzugi do szczęście.

Londynu stają na każdej stacyjce, wloką się To znaczy — ja myślę, że mamy szczęście, bo powoli i żaden z nich nie idzie wprost, tylko Zygmunt na przykład myśli, że to Anglicy nie mieli trzeba się przesiadać i czekać o idiotycznych szczęścia. Nasz kapelan utrzymuje, że — wiadomo —

porach na tych zakazanych stacyjkach. Za to ani jakiś święty (już nie pamiętam, który) maczał w tej na stacjach nie można dostać nic do zjedzenia, ani sprawić palce i dlatego... W naszym Inspektoracie wozu restauracyjnego nie ma w żadnym pociągu.

myślą: Dobry dywizjon, starają się chłopaki, więc Jednym słowem — sielanka. Sielanka kolejowa z utopili. Intelligence officer podejrzewa, zdaje się, iż końca ubiegłego stulecia...

mamy talią umowę z Niemcami, że tylko nam dają się Zygmunt — na ogół pesymista — przecież w tym topić. Nie mogę napisać, co myśli Pryszczyk, bo mówi wypadku jest zadowolony z naszego odosobnienia, bo bardzo brzydko o aliantach... Zresztą nie o to chodzi,

„przez tę komunikację ani Rubens, ani żadna inna co kto myśli, bo przecież każdy w wojsku służy, więc piąta kolumna tu do nas nie zagląda i przynajmniej myślenie to nie jego sprawa i miał czas się mamy święty spokój”.

odzwyczaić. Chodzi o to, że daliśmy Niemcom pić; pić Mieszkamy w barakach z falistej blachy, czyli w do śmierci; 1 — nie piwo!

tak zwanych beczkach śmiechu. Po ośmiu w jednej.

Mamy sprężynowe łóżka (dla każdego osobne), dość Pierwszego U-boata zauważył Lejba i jego załoga dziwaczne komody zamiast szafek na rzeczy (po jednej utopiła Niemca. (Lejba to nie samolot, tylko drugi na dwóch) i coś w rodzaju emaliowanych spluwaczek, pilot Wellingtona „F” — for Felicja).

Jak sama nazwa wskazuje, Lejba lubi piwo.

Oprócz tego lubi latać i kocha jeść. Poza tym niewiele go interesuje.

— Wojnę — powiada — tak czy inaczej Wielka Brytania musi wygrać, bo taka już jest tradycja. Więc po cholere mam się przejmować, że tymczasem leją aliantów? Jak już będzie koniec, to się dowiem na czas.

Nie przejmuje się zatem ani bitwą o Libię i Egipt, ani japońskim blitzem, ani kolejną kampanią w Rosji, a bitwa o Atlantyk zaczęła go obchodzić tylko o tyle, o ile sam w niej teraz bierze udział.

Lejba jest rumiany, dość okrągły, z małym, równo przystrzyżonym wąsikiem i trochę sennym wyrazem oczu. Ale te oczy ma doskonałe i — jak trzeba — umie patrzeć. Najlepszy dowód, że pierwszy wypenetrował ów okręt podwodny.

Opowiadał nam o tym zdarzeniu nawigator jednym ser był wyjedzony. Ktoś sięgnął po Felicji, żywy, czupurny „Sweet-Franio”, jak na-butelkę i napełnił kieliszki. Merkury dorzucił

żywany przez piękną płeć” która w owym chło-węgla na ogień i niebacznie wyjął z kieszeni pięciu — diabli wiedzą dlaczego — nagminnie się pełną papierośnicę. Sześć czy siedem rąk wy-kocha. Może zresztą Franio bywa słodki — kto go ciągnęło się w jego stronę, nie dlatego, żebyśmy wie? „Na optykę” rzeczywiście jest pociągający.

nie mieli swoich papierosów, tylko dlatego, że

„Akustycznie” znów — aksamitny ma tenor, choć był to sport: niszczyć materialnie oszczędnego nie jest bardzo głupi. No, a „na mechanikę” to handlowca.

tańczy i bardzo powłóczyście... Co do reszty —

— Rabunek — mruknął i sam już nie zanie wiem, bośmy się nie ściskali i nie całowali, palił.

więc „na chemię” sądzić go nie mogę. A baby na Sweet-Franio mówił dalej:

niego lecą...

— Więc Lejba przez dalsze pięćdziesiąt mil Ale nie o tych babskich lotach czy zalotach zjadł jeszcze sześć kanapek i drugą torbę su-opowiadał nam tego wieczora, tylko właśnie o szonych moreli, a Baca doszedł w swoim re-locie z Lejbą.

pertuarze do „Mów do mnie jeszcze...” Może w Siedzieliśmy w kilku, z różnych załóg, przy pięć minut później — patrzę — nasz drugi pilot kominku w kasynie. Deszcz lał naturalnie, bo to przylepił się do szyby i mało jej nie wygniecie, było w sierpniu, wiatr wył i ganiał po runwayach tak wypatruje. Spojrzałem i ja, ale nic nie widzę.

jak całe stado zwariowanych Hurricanów, a tu A on się drze: „Okręt podwodny przed nami było ciepło i przyjemnie, bo nam fachowiec, spec Peryskop widać tam na prawo"! Jak był śpiący, angielski zapalił tęgi ogień, a do bufetu przyszedł

tak ożył i takiego wrzasku narobił, że nasz transport sherry. Do tego posiwiały w bojach i przedni strzelec mało nie ogłuchł. „Dobrze” —

troskach o naszą mesę Kazimierz Kędzierzawy powiada — „że okręt, ale niech pan porucznik tak dostarczył tacę kanapek z kielbasą, która nie krzyczy, bo nie mogę nic zobaczyć”. Taki już załatywała blackmarketem i czosnkiem, więc logiczny chłopak jest ten nasz przedni. Baca można było słuchać byle czego, nawet Sweet-dodał gazu, przypikował, prujemy w stronę, gdzie Frania, który zresztą mówił z sensem.

ma być ów peryskop, i rzeczywiście: coś, co

— Więc, jak wiecie, wystartowaliśmy wtedy sterczało nad wodą, zagłębia się w fale, a na zaraz po lunchu — zaczął. — Pogoda była taka powierzchni zostaje ślad...

sobie: pułap niewysoki, może ze cztery— pięć

— Na wodzie — ślad?! — zdumiał się nowo tysięcy stóp, wiatru niewiele i dosyć' ciepło.

przydzielony „Abisyńczyk”

Szliśmy w środku wachlarza, zaraz na prawo od Spojrzano nań ze zgorzeniem, Baca zaś Herberta. No i — nic... W morzu minęliśmy jakiś powiedział dobitnie:

duży konwój, potem samotnego Norwega, który

— Kilwater, panie szanowny.

nam się ładnie zameldował, a potem — pusto.

Abisyniec nie rozumiał, co to Jest kilwater, Baca zaczął sobie podśpiewywać za sterem ale powiedział „a-acha” i zamilkł speszony.

bardzo fałszywie, więc mu wszyscy wymyślali, a Franio zaś pociągnął z kieliszka i mówił dalej: Lejba pożarł wszystkie kanapki, zagryzł

—To wyglądało, wiecie, jak szkielet śledzia.

suszonymi morelami, i widzę, że się rozgląda za

—Jak co?! — spytał z kolei Merkury.

łóżkiem; więc się zorientowałem, że musimy już być ze trzysta mil od brzegu.

—Dwieście osiemdziesiąt — poprawił Lejba ze swego fotela cofniętego w cień, bliżej tacy z przekąskami.

—Niech będzie dwieście osiemdziesiąt —

zgodził się Franio. — Nie brałem namiarów.

Ale łóżko zajął radiotelegrafista, bo go brzuch bolał po rostbefie i Lejba musiał

zostać na swoim stanowisku obok pierwszego pilota. Całe szczęście, bo nikt by tego okrętu nie zauważył... — Całe szczęście, że tamtego brzuch bolał, bo Lejba zabrał jego porcję jadł dalej — wtrącił Baca.

Lejba poczuł się dotknięty.

— Dostałeś dwa sandwicze z serem czy nie?

—zapytał.

Baca lojalnie przyznał, że dostał, choć w

—Jak szkielet śledzia; Siedź — ryba; szkielet —

powyłazili przy karabinach maszynowych. Ale minęło kościec: kręgosłup i żebra, czyli ości — kapujesz?

pół godziny i nic. Tylko plama: olej czy też ropa i te

— wytłumaczył mu Zygmunt.

bąble powietrza, ciągle w tym samym miejscu...

—Dobrze, ale co tak wyglądało?— starał się

—Nigdy nie przypuszczałem, że w takim okręcie zgłębić rzecz au. fond były przedstawiciel podwodnym tyle tego się mieści — wtrącił Baca.

polskiego komercjalizmu.

— Czekaliśmy w powietrzu ze cztery godziny, Zygmunt westchnął i objaśnił:

zanim przyłecieli nas zmienić i jeszcze ciągle się

—Siad na powierzchni morza, kochanie. Siad tam kotłowało.

pozostawiony przez zanurzający się peryskop.

—No i zaliczyli wam go? — spytał Kędzierzawy.

Wiesz, Merkurciu, co to peryskop?

—Costal Command pewnie by zaliczyła, ale

—Wiem — rzekł Merkury. — No?

zależy od Navy. No a Navy czeka, aż się Niemcy

—Co „no”?

wypowiedzą w swoim komunikacie, więc za parę

—Co to ma wspólnego ze śledziem?

miesiący...

—Bodaj go rekin połknął — mruknął przez zęby

—„Może w maju, może w grudniu, dziś na razie nasz kapelan, który płonął z ciekawości i nie mógł
nie” — zanucił, jak zwykle fałszywie, Baca.

się doczekać końca tego opowiadania.

Franio westchnął z rezygnacją.

— Dajcie no tu bliżej te kanapki z kielbasą —

Rekina jednak nie było pod ręką, ponieważ saś powiedział. — Gdzie one są?

Merkury upierał się, by go dokładnie oświecono w Wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku tacy.

sprawie śledzia i peryskopu, więc zabrałem głos i Ale taca stała w cieniu, a obok siedział Lejba...

wyjaśniłem, że ślad na morzu, ślad znikający dość

— Rany boskie! — zawołał Kędzierzawy.

szybko — podkreśliłem — powstaje wskutek Kanapek z kielbasą nie było... Lejba też się rozcina

powierzchni wody przez peryskop okrętu zdematerializował, jakby wsiąkł w ciemność, nie podwodnego. Ten ślad to drobne fale, rozchodzące się wiadomo jak i kiedy.

jak żebra czy też ości śledzia na obie strony za peryskopem.

— A nieprawda — Merkury na to — bo śledź

ma ości ułożone prostopadle, nie poziomo.

Zygmunt zgrzytnął zębami.

— Ale ten ślad był podobny do szkieletu śledzia, który pływa na boku, nie na brzuchu oświadczył.

— No, tak to. co innego — zgodził się Merkury, a Sweet-Franio mógł wreszcie opowiadać dalej.

— Więc jak zobaczyliśmy, że to naprawdę okręt, od razu nas pognało. Baca przypasował akuratnie wzdłuż tego śladu i rypnęliśmy cztery głębinowe.

Cztery słupy wody wstały za nami i nasz tylny strzelec zameldował, że „w celu”, ale na wszelki wypadek zawróciliśmy i wywaliliśmy resztę, co tylko było.

Tymczasem radiotę z emocji brzuch przestał boleć, więc nadalimy swoją pozycję i meldunek oraz — że będziemy czekali. No i czekamy biorąc wysokość, bo zeszlśmy do bombardowania całkiem nisko. Nikt z nas nie był pewien, czy bomby uszkodziły U-boata, więc rozglądamy się, czy go nie widać gdzie pod wodą. Co chwila ktoś krzyczy, że jest, a potem się okazuje, że to cień od załamującej się fali, nie żaden okręt. Już zacząłem przypuszczać, że się nam wszystkim przywidziało, a tu Lejba znów się drze: „Plama na morzu!” Myślałem, że to fałszywy alarm, więc mówię: „Jakbyś tyle nie żarł, nie byłoby plamy”, ale tym razem rzeczywiście Lejba miał rację. Wszyscy zobaczyliśmy pod słońce mętnie tęczową ropę, jak rozlewa się na powierzchni szerzej i szerzej. A zaraz potem jak nie zacznie kipieć! Ogromne bąble powietrza wałą spod wody, piana jak na wrzątku i całe gejzery rozprysków! Myśleliśmy, że okręt lada chwila się wynurzy, więc strzelcy mało ze skóry nie

— Nie bądź dziecinny — mówi Góral. —

zastrzyku uśmierzającego ból. Nie miałem chyba Każdemu z nas mogło się zdarzyć to samo.

tak zwanych „złych przeczuć”, ale po głowie latały mi Wiem o tym. Powtórzyłem to sobie już sto razy.

myśli o tym, co się dzieje z nimi tam daleko nad Ale nie pomaga...

pełnym morzem, gdzieś między Zatoką Biskajską a Złamana ręka boli mnie okropnie. Zapewne mam wyjściem na Atlantyk.

gorączkę. Doktor zabronił nam rozmawiać i zagroził, W trzy godziny po starcie Genowefy, przy że nas rozdzieli, jeśli będziemy ciągle mówić, pomocy Pryszczyka, który przyszedł dowiedzieć się o

zwłaszcza że stan Zygmunta nie jest najlepszy: mnie, w tajemnicy przed lekarzem wymknąłem się z poparzenia drugiego stopnia... Ale Zygmunt wreszcie izby chorych i pojechałem dyżurną sanitarką na usnął, a doktora nie ma. Siostra też przestała nas lotnisko.

uszcześliwiać swoją obecnością. Więc rozmawiamy Wydawało mi się, że samochód trzęsie jak nigdy półgłosem i Góral pociesza mnie jak umie. Ba, nie wie na równej szosie, i ręka znów bolała mnie bardzo.

przecież wszystkiego. Nie zna całej prawdy... A ja je-Stanęliśmy przed hangarem, w pobliżu zwykłego stem mimowolnie przyczyną tego co się stało. To stanowiska Genowefy. Leżałem na noszach, paliłem przeze mnie; przez moją nieuwagę; przez tę rękę, która papierosy jeden po drugim i czekałem, czekałem, teraz rwie, boli, pulsuje w gipsowym opatrunku.

czekałem...

Złamałem ją wczoraj o drugiej po południu.

— Coś się tak zadumał?

Potknąłem się wchodząc po drabince do maszyny, tuż To pytanie przerywa mi tok myśli czy też przed startem. Spadłem z wysokości paru stóp i całym gorączkowych wspomnień. Muszę zrobić duży ciężarem przygniotłem sobie ramię. Chrupnęło, wysiłek, by wrócić do chwili obecnej.

zabolało i już nie mogłem wstać o własnych siłach, Aha: jestem w szpitalu... Obok mnie, na prawo, taki mnie ogarnął bezwład.

śpi Zygmunt. Na lewo leży Góral. To on pyta, nad Nie mogłem, naturalnie, polecieć z nimi, a że nie czym się zadumałem.. Trzeba coś odpowiedzieć...

było nikogo na moje miejsce, polecili bez tylnego

— Jak... — zaczynam i nie wiem, co dalej, bo strzelca, w pięciu. W tamtą stronę miał mnie zastąpić chciałem zapytać, jak to się stało Merkury; z powrotem — Góral.

z Merkurym, a przecież Góral jeszcze się nie

— Taki nieważny lot — powiedział któryś z dowiedział całej prawdy. Nie, nie mogę o tym mówić nich, żeby mnie uspokoić. — Damy sobie radę, nie teraz. On stracił tyle krwi, jest taki blady i może ja martw się.

sam bym tego nie zniósł?

Nasz konował mnie opatrzył i chciał, żebym Ale Góral podejmuje z ożywieniem:

zaraz jechał do szpitala. Nie zgodziłem się.

—Jak to było z nami? Nie wiesz?

— Zaczekam, aż Genowefa wróci.

—Nie wiem — odpowiadam, zgodnie z prawdą.

Więc kazali mi się położyć w izbie chorych. Ale

— Jeszcze nikt z was mi nie opowiedział. Ale...

nie mogłem tam długo wytrzymać. Niepokój o załogę

— spoglądam na Zygmunta, który leży z rękami nie pozwalając mi usnąć mimo

na kocu, obandażowanymi aż po barki.

—On śpi — mówi Góral półgłosem i zaczyna opowiadać.

— Cały ten lot był pechowy. Po pierwsze: krwi wyciec...

pogoda. Nie: po pierwsze twoja ręka — poprawił się.

Wiedziałem, że stracił tej krwi tak wiele, iż omal

— Po drugie: pogoda. Lecieliśmy dobrą godzinę nie umarł. Był bardzo blady; prawie tak blady jak prosto w słońce, i to bez jednej chmurki. Bujak mało żółtawe ściany szpitala, pomalowane olejną farbą.

nie wygniótł nosem szyby w swojej przedniej

— Gdyby mnie teraz zobaczyła Lucy... — zaczął

wieżycze, tak wypatrywał. Nic szczególnego i nagle przerwał.

naturalnie nie widział, bo i co można pod słońce Spojrzał na mnie zmieszany, jakby to imię czy też zobaczyć. Zygmunt, Koza i ja przeszukiwaliśmy cały ten początek zdania wymknął mu się morze. Merkury lamentował, że mu nogi cierpną na przypadku. Jakby nieumyślnie odsłonił to, co nie twoim miejscu. Wyraził nawet mniemanie, że chyba było przeznaczone do wiadomości czyjejkolwiek.

musi

mieć

dłuższe nogi niż ty, bo siedzi poskładany jak scyzoryk Lordówna? — pomyślałem. — Lordówna. Lucy!

i ruszyć się nie może. No, ale przynajmniej on jeden Więc on...

miał dobry widok.

Udawałem, że patrzę w stronę Zygmunta, ale na 0 czwartej Zygmunt odprawił swoje czary z stoliku przy jego łóżku stało lustro. Zobaczyłem sekstans. Zaraz potem obaczyliśmy brytyjski twarz Górala. Uśmiechniętą, zarumienioną. Więc tak: konwój, tak jak było przewidziane i zapowiedziane na nikt z nas dotychczas nie mówił „Lucy” o Lordównie...

odprawie. Podeszliśmy bliżej idą dwa duże Poruszyłem się. Sięgnąłem po papierosy, a on kontrtorpedowce i pasażer, na oko z piętnaście tysięcy mówił prędko, jakby chciał wypełnić słowami tę ton. A Bujak mówi:

chwilę milczenia, której już wypełnić nie mógł:

—Rany boskie — „Błyskawica”!

— W jakieś pół godziny po odejściu konwoju

—Zwariowałaś — powiadam — czy ci się śni?

zobaczyłem na południe od nas dwa punkciki. Nie Pogoda jak na Morzu Śródziemnym, obłoków byłem całkiem pewien, więc mówię do Bujaka, że od nawet na lekarstwo, a ten o błyskawicach, I upiera się: blasku czarne kropki mi się pokazują przed oczyma.

— Widzę „Błyskawicę”.

„A gdzie patrzysz?” — Bujak na to.

No to my do niego:

Wiesz, jaki on jest: od razu rozumie, o co chodzi,

— Gdzież ty ją widzisz, tumanie jeden?

i nawet mu głos nie drgnie, choć doskonale wie, że coś I okazało się, że racja.

podejrzewam. „Patrzę ku Biskajom” — mówię.

— Ten prawy kontrtorpedowiec — powiada.

Bujak milczy: 10 sekund, 15 sekund... A w Patrzymy — „Błyskawica”! Więc Koza nie maszynie cisza; tylko silniki warczą. Wreszcie Bujak wytrzymał i otwartym tekstem mówi do nich na fonii: mówi, znów spokojnie, jakby to nie miało większego znaczenia: „Trzy dwójki od południa.

— Polski Wellington pozdrawia okręt RzeMyślę, że to będą Ju-88.”

czypospolitej w konwoju!

Każdy z nas pewnie był przygotowany, ale A oni — salut banderą! Licho wie, co w tym jest: chyba nie na sześć myśliwców! Wiesz przecież, niby płachta jak płachta, tyle że z orłem na czerwonej co to znaczy: policz sobie tylko ich punkty ognia.

tarczy, a tak ci nas za gardło ścisnęło, jakby nam sama Polska kiwnęła głową.

Przymknąłem oczy. Sześć Ju... Pewnie ze dwanaście działek i dwadzieścia cztery karabiny Coś nam odpowiedzieli, nawet nie wiem co, bo tylko Koza odbierał, a tak chłopaka wzięło, że zamiast maszynowe — na jednego Wellingtona...

nam powtórzyć, nos wycierał i — ani rusz...

Jeżeli z naszej załogi odliczyć pilota, który No, a potem nadleciał konwojowy samolot z nie może strzelać, to na każdego z pozostałych innego sęadronu, więc już nie mogliśmy gadać z wypadu po trzy działka i sześć karabinów. Ju są

„Błyskawicą”. Zostawiliśmy ich i jazda dalej pod to zwrotne i szybkie; mogą atakować z każdej cholerne słońce. Mieliśmy je teraz trochę w prawo, ale strony; mogą wchodzić do walki, kiedy zechcą, w za to niżej. Na samym zachodzie wyszedł pas chmur najdogodniejszej chwili; mogą się z tej walki na horyzont. Zygmunt nas pociesza, że za dwie zawsze wycofać. Wellington nie. Wellington to godziny będzie łagodniejsze światło. Słaba pociecha: ciężkie, niezwrótne bydlę, duże, powolne, właśnie wtedy będziemy wracali...

uzbrojone tylko w sześć karabinów maszynowych. Już walka przeciw jednemu myśliwcowi Ale jak wiesz, z tym terminem powrotu nie jest na nim bardzo trudna. Przeciw tyłu — zu-wyszło...

pełnie beznadziejna!

Poprawił się na posianiu, podciągnął się wyżej na Nie wiem, jak oni się tam czuli w tej sytuacji.

łokciach i syknął z bólu:

Ja słuchając tego opowiadania byłem przybity,

—Dogodzili mi, psiekrwie.

obezwładniony, bezradny.

—Boli? — spytałem.

Góral mówił coś o dalekich chmurach, o

—Boli trochę. Ale najgorsze to, że słaby jestem odległości od brzegu, o słońcu. Znałem już te jak mucha. Musiało ze mnie dobre parę litrów szczegóły. Nie chciałem o nich pamiętać. Oczekiwałem

czegokolwiek przynoszącego choćby Odruchowo położyłem grata na skrzydło, iskrę nadziei, wiedząc, że niczego takiego w jego kopnąłem orczyk i poszedł w ślizg... Za ostro jak opowiadaniu nie będzie. Poczułem jakiś niena te dwieście stóp wysokości. Zobaczyłem usprawiedliwiony żal, że nie powiedział czegoś w jeszcze oddalający się war na fali, trzepnęło mnie tym rodzaju. Że mówił tylko prawdę: byli po nogach (nawet nie wiedziałem, że to pociski) i zgubieni, i — oczywiście — nie „postanawiali czuję, że mi się maszyna wali...

drogo sprzedać życie", jak się to, właśnie dla Rany boskie, cóż to była za chwila! Pełny podniesienia na duchu, mówi czy też pisze. Nie, gaz, ster od siebie na burtę — nic nie pomaga wcale nie: musieli przeżywać rozpaczliwy, zwie-Myszę sobie: to jus koniec... Patrząc: fala mi rośnie rżęcy strach. Taki strach, który czasem po prostu pod skrzydłem, rośnie — wstrząs! Chlusnęło na paraliżuje mięśnie. Który wciska głowę między szyby, odbiło nas trochę, zaczepiamy brzuchem, ramiona i każde oczekiwać ciosu. Taki strach, o plusk, trzask, znów nas odbiło, po kadłubie idą jakim później wstydliwie nie mówi się serie aż dudni i nagle zaczyna się coś palić w wszystkiego.

przegrodzie radia!

Góral nie rozwodził się nad analizą tych Nie wiem, jakim cudem Genowefa wy-uczuć; mówił o faktach. Może zresztą nie równała. Bo wyrównała już sama. Dość, że pod umiałby wyrazić słowami myśli, które w takich nieustannym ogniem, esami, wyszliśmy na ja-razach kłębią się w przerażonym mózgu. Nie myśli się wtedy słowami ani nawet pojęciami, którymi człowiek posługuje się w mowie...

— Pierwsza dwójka zaszła nas od słońca, przypikowała i zanim zdążyliśmy zwolnić bomby i zakręcić o 180 stopni, Merkury otworzył do nich ogień razem z Kozą. Niemieckie serie, jedna za drugą, przeszły nam po skrzydłach. Jakby przez sekundę grad lunął. Nie słyszałem i nie widziałem naturalnie tych serii; raczej poczułem je wszystkimi nerwami. Zaraz potem Merkury krzyczy:

„Niemiec tyłu" — i grzeje, a koło mnie tylko szyby dzwonią.

Wiesz, nie lubię jak mam nieprzyjaciela z tyłu. To głupio, ale wolałbym dostać w pierś niż w plecy. Zrobiłem unik w lewo w dół, i nagle Bujak rąbie ze swoich sikawek, potem Zygmunt, potem znów Bujak 1 — już nie wiem, który z nich trafił — obaj wrzeszczą, że Ju spada.

Zobaczyłem go w ostatniej chwili, na prawo od nas, jak uderzał o wodę. Trysnęła taka fontanna, że niech się Wersal schowa — i po nim.

Przez chwilę, bo ja wiem — może to trwało z pięć sekund, żaden % pozostałych się nie zbli-

żał i już — już świtało mi w głowie, że nam dadzą spokój, a tu znów Merkury:

„Niemiec z tyłu z prawej!"

Skręciłem w prawo w dół, a już było nisko: może z pięćset stóp. Wyrównałem na dwustu i zobaczyłem o jakie pięćdziesiąt jardów w lewo, jak z morza tryskają małe, tańczące gejzery, jakby

się zagotowało. Potem już ciągle: raz z lewej, raz z prawej, raz przed nami, seria za serią.

Dochodzili nas kolejno, po dwóch, nawet po trzech i prali — nie umiem ci tego opowiedzieć!

Aż się kurzyło z morza to tu, to tam, jak ukrop.

Rób tu jakieś uniki, kombinuj...

Wtem Bujak krzyczy:

„Na lewo w dół, na lewo!

kies pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt stóp i będziemy musieli wodować. A nasza dinghy Zygmunt złapał gaśnicę, żeby stłumić pożar.

posiekana jak sito przez niemieckie pociski...

Tymczasem Koza uszkodził drugiego Ju, W maszynie cisza. Tylko Zygmunt stęka na który bardzo kulawo zawrócił na południe, a tym zmianę z Merkurym. Każdy nasłuchuje, jak czterem musiało zostać niewiele amunicji, bo warczą silniki — czy aby równo? Co chwila robi strzelali teraz oszczędnie. Widocznie stracili mi się mdło: czuję, że krew cieknie z ran poprzez także trochę serca, bo już nie atakowali 2 niałych bandaże. Koza odszukał swój termos z czarną odległości. Mimo to w pewnej chwili Merkury kawa, także przestrzelony wprawdzie, ale na dostał odłamkami po prawym ramieniu od szczęście tuż przy szyjce. Pół kubka dało się jednego z nich. Nie wiem, jakim cudem wymigał

wycedzić. Wypiłem i jakoś mi to pomogło.

się od śmierci, bo Zygmunt, który tam do niego No i lecimy, lecimy, mijają trzy kwadransy, poszedł, mówił, że wywaliło dziurę na trzy stopy a zegar drugiego zbiornika pokazuje tylko po-w wieżycze akurat na wysokości głowy strzelca.

łowę zużycia benzyny...

Nie można było myśleć o wyciąganiu Mer-Bujak od razu się zorientował.

kurego, bo właśnie znów się zaczęło palić, i to

„Dobra jest — powiada. — Tamten zbiornik tak, że bałem się o skrzynki z amunicją. Na-też jest cały, tylko zegar uszkodzony. Benzyny robiłem krzyku o te skrzynki. Zygmunt wrócił i mamy — ho — hol Do Szwecji można dolecieć”.

zabrał się do gaszenia, podczas gdy Koza i Bu-Zaraz nam się lżej na sercach zrobiło, a w jak, tylko we dwóch, opędzali się Niemcom. Ale jakieś pół godziny potem — brzegi

gaśnica była pusta, a inne podziurawione. Więc

„Brzeg" to wielkie słowo. Wspaniałe słowo Zygmunt tłumił ogniem rękami i całym ciałem:

— to już pewnie Kolumb zauważył w swoim położył się i wrzeszczał, bo go parzyło, ale prze-czasie. Tylko że za Kolumba nie było balonów na cież zgasił.

uwięzi... Myśmy je spotkali, oczywiście. Nie Potem Ju odeszły i zaczęliśmy przegląd miałem siły i ochoty wymijać całej tej strefy: uszkodzeń. Dopiero wtedy po raz pierwszy zro-przelecieliśmy jakoś szczęśliwie między nimi...

biło mi się słabo i poczułem ból. Zobaczyłem To zresztą było głupstwo w porównaniu z tamtą też, że krew leje się z moich nóg jak woda z walką nad morzem...

rynny. Bujak mnie opatrzył i z taką pewnością Bujak chciał lądować na pierwszym lepszym siebie powiedział, że to „tylko draśnięcie", że mu polu, ale ja się uparłem: dolecieliśmy na własne uwierzyłem. Właściwie nawet nie tak bardzo lotnisko. Wyszliśmy na M., wiesz: czterdzieści mnie bolało, tylko nogi drętwiały mi i robiły się mil na południe od nas.

jakieś miękkie, jak rozgotowany makaron. Nie Skinąłem głową potakująco, a on przerwał, mogłem sobie dać rady z orczykiem. Merkury zapatrzył się przed siebie, jakby szukał wzrokiem był do niczego, choć Koza wywlókł go wreszcie tego naszego lotniska na skalnym cyplu z tylnej wieżyczki i obandażował. Więc Bujak, wysuniętym w morze i dopiero po chwili opatrzywszy jako tako Zygmunta, usiadł przy uśmiechnął się, jakby je odnalazł, i powiedział: mnie i powoziliśmy Genowefą w dwóch.

— Wiesz, pomyślałem właśnie, że nie pa-

—Gdybym był z wami... — zacząłem, ale

miętam — to takie dziwne — że nie mogę sobie Góral mi przerwał.

przypomnieć jak lądowałem. No, naturalnie, ktoś

—Gdybyś był z nami, może dostałbyś w łeb mi mówił, ale... Tyś to widział?

tym pociskiem z działka — powiedział

Spojrzał na mnie bystro, pytająco, jakby z dobitnie. — A Merkuremu się udało.

samego wyrazu mojej twarzy chciał wyczytać, Te słowa mną wstrząsnęły: „Merkuremu się czy wiem wszystko, czy przeżyłem to zdarzenie i jaki udało..." Nie wolno przecież tak mówić; nie ślad ono we mnie pozostawiło. Nie wiem co można tak ironizować...

wywnioskował, ale dostrzegłem, że zaciska szczęki, Powiem mu — pomyślałem.

jakby pod wpływem bólu. Może to był zresztą tylko Ale on już mówił dalej:

ból fizyczny? Nie zastanawiałem się nad tym.

— Radio mieliśmy rozbite na proszek, po-krycie skrzydeł i kadłuba w strzępach, mecha-
Odpowiedziałem, że byłem świadkiem ich nizm podwozia nie działał, wieżyczki powrotu; że
pamiętam każdy szczegół i pewnie nigdy unieruchomione i — co najgorsze — zegar nie zapomnę.

jednego ze zbiorników wskazywał zero. Bujali To prawda: takich rzeczy się nie zapomina.

powiedział o tym Zygmuntovi, który jęcząc Tkwią w pamięci całym obrazem, a czas tylko zabrał się
do obliczeń, ile mil dzieli nas od porządkuje szczegóły, przywraca im właściwą wagę i brzegu
Anglii. Po kilku minutach oświadcza, że miejsce, gdy świeże wrażenia są chaotyczne i nie
dociągniemy: może trzydzieści, może stanowią zbiór fragmentów o różnych proporcjach, nie
czterdzieści mil przed osiągnięciem brzegu dostosowanych do rzeczywistej perspektywy zdarzenia.

Tak właśnie widziałem powrót Genowefy w tej Pryszczyk wskoczył do wewnątrz. Ostrożnie chwili:
to przecież było wczoraj wieczorem...

wysunęli nosze i ustawili na ziemi. Pomogli mi wstać Leżałem na noszach w sanitarce i paliłem ze
wzruszającą, niezgrabną troskliwością. Zacisnąłem papierosa za papierosem. Pryszczyk stał obok
zęby: ból szarpał mi się w ramieniu, jakby je samochodu i rozmawiał z kierowcą. Słyszałem ich
rozszczepiano cęgami.

niewyraźne głosy przez cienką ściankę obitą białą

—Gdzie ta maszyna? — spytałem.

ceratą. Po chwili nadeszli nasi mechanicy. Talaga

—Tam — powiedział któryś, wskazując na wymienił moje nazwisko — pewnie pytał, czy południe.

odjechałem do szpitala. Pryszczyk coś odpowiedział

Wellington minął sąsiedni cypel i ukazał się nad stłumionym głosem.

zatoką.

— Szefie! — zawołałem.

— Genowefa! — zawołał Pryszczyk.

Prawie w tej samej chwili jeden z motorzystów Nie wiem po czym ją rozpoznał, ale istotnie to (ten
cienki i długi — nigdy nie pamiętam, które była Genowefa. Szła lekkim trawersem pod słaby
nazwisko do którego z nich należy; zdaje się, że to wiatr, trzy czwarte z lewej burty. Wracała nie
Ferenc jest ten chudy, a Malinowski ten gruby, ale zapowiedziana przez radio, bez sygnałów, niema i
może właśnie na odwrót) powiedział:

ślepa.

- Słyszeć maszynę.

Warkot silników ścichł nagle przed skrajem Ktoś zaprzeczył, ale zaraz kapral-bigamista (ten lotniska, ale nie wypuszczone podwozie i zamknięte od rudej Angielki z farmy — ożenił się z nią, szelma) klapy nie hamowały pędu: niosła się równolegle do poparł Ferenca:

powierzchni runwayu, coraz bardziej trawersując,

—Słyszeć; nisko leci.

wyrównana w poziomym locie, potem zadarta w górę i

—Szefie! — krzyknąłem głośniejsz. Rumiana przepadająca płasko cal po calu. Nagle zwała się w twarz Talagi ukazała się za szybą

krótkim ślizgu w dół, potarła brzuchem o beton, i drzwi szarpnięte mocno otwały się na oścież.

zaiskrzyła, warknęła żelazem, zajęczała, zazgrzytała

— Lecą? — spytałem.

rozdzieranymi blachami, odbiła się potężnie i — już Mechanik wzruszył ramionami.

bezwładnie, jak zwierz śmiertelnie ranny w ostatnim

— Może to oni — powiedział z wahaniem. —

skoku — ciężko runęła na ziemię, wyłamując oba Ale coś wcześniej...

silniki.

—Wyciągnijcie mnie stąd. Talaga

Widziałem ją tak przez sekundę, nieruchomą, z się zafrasował.

ogonem skośnie wzniesionym w górę, jak legła twarzą

—Z tą ręką będzie pan kapitan wstawał?

w dół, na zmiażdżonych skrzydłach. Widziałem ją zza

— Nic się jej nie stanie — uspokoiłem go zgiętych, pochylonych już do biegu barów Talagi i stanowczo.

Pryszczyka. Potem zobaczyłem samochód sanitarny z otwartymi na oścież tylnymi drzwiami,

wykręcający gwałtownie w tamtą stronę i — zanim mi się usunął

sprzed oczu — błysk ognia I

Ktoś wrzasnął za mną:

— Pali się! Gaśnice!

Nie mogłem biec. Szedłem prędko i każdy krok odzywał się szarpiącym bólem w ramieniu. Bólem, który sięgał przez bark i szyję aż do mózgu. Jęczałem, skomlałem jak pies i szedłem niosąc to złamane ramię, ściśnięte łubkami w temblaku, jak coś obcego, co sprawia cierpienie, ale czego nie można się pozbyć i s czym trzeba postępować ostrożnie, by móc dojść do celu.

Do celu... Ten cel płonął i bolał mnie stokroć bardziej, choć inaczej: przerażająco; bólem, którego nie sposób umiejscowić, który nie szarpie, nie rwie, lecz przenika i wypełnia, rośnie, zdaje się rozsadać umysł. Genowefa paliła się ciemnym jak krew płomieniem, a ja patrzyłem, m u s i a ł e m patrzeć. To było coś takiego, jakby w moich oczach mordowano kogoś bliskiego mi i kochanego. Matkę? Syna? Żonę?

— Nie; nie to; nie potrafię powiedzieć — kogo, ale może uczucie zgrozy i bólu miałoby wówczas podobne natężenie.

Genowefa... Czulem się tak z nią związany, jak wówczas, w czasie pierwszej wyprawy na Boulogne.

Przynieśli nieprzytomnego Górala. Koza i Bujak Czulem się częścią jej organizmu. To ja płonałem z siedzieli w milczeniu.

nią razem; to płonęło wszystko, co stanowiło o moim Dopiero wtedy pomyślałem o Merkurym. Nie istnieniu.

było go.

Potknąłem się o coś i omal nie upadłem. Żar uderzył mnie w twarz. Ktoś krzychał:

— Gdzie jest Merkury? — zapytałem.

— Panie kapitanie! Tędy!

Spojrzeli na mnie jak obudzeni ze snu. Dopiero Zobaczyłem Zygmunta z okopconą twarzą w po chwili Bujak skinął głową w kierunku dopalającej tlejącym kombinezonie, słaniającego się między się maszyny.

dwoma mechanikami, którzy go podtrzymywali. Koza

— Tam — powiedział. — Nie zdążyliśmy.

i Bujak walili drągami od noszy w płonąca burtę, wybijając w niej otwór. Płomień sięgał już sterów i tylnej wieżyczki.

Góral słuchał spokojnie. Zagryzł tylko wargi, Wtem Pyszczyk ukazał się między jęzorami kiedy skończyłem. Milczeliśmy dłuższą chwilę.

ognia, czarny i straszny jak szatan. Kaszłał, krztusił

— Nie wiedziałem — powiedział głucho. — A się, znikając raz po raz w kłębach dymu. Talaga Pyszczyk?

skoczył na skrzydło, które załamało się pod nim

— Nic mu nie jest. Zdrów.

sypiąc iskrami, schylił się i szarpnął w tył. Wytoczyli Odetchnął jakby z ulgą.

się obaj z Pyszczykiem z tego piekła, dźwigając

— To on mnie wyciągnął, teraz sobie przy-bezwładne ciało, zawinięte w koc czy też w płaszcz.

pominam.

Wtedy zaczęła wybuchać amunicja. Coś Patrzyłem na żółtą, olejno malowaną ścianę gwizdnęło koło mnie i pacnęło w trawę. Cofnąłem się przed sobą. Była naga i pusta. Prostokąt drzwi białiał

mimo woli i zobaczywszy, że inni padają na ziemię, w niej niewyraźnie, raczej szarzał w zapadającym ukłękłem, a potem położyłem się za sanitarką.

mglistym zmierzchu. Poczulem się zmęczony, zniechęcony, obojętny. To, co skończyło się wraz z Widziałem jeszcze uciekających w popłochu Genowefą, było już dalekie i właściwie przestało być ludzi, i Pyszczyka, który rzucił się na ziemię obok bolesne z chwilą, gdy zdarzenia ująłem w słowa. To, samolotu, nakrywając własnym ciałem rannego co miało nastąpić, było jeszcze odległe. Zbyt odległe, zawiniętego w koce.

by o tym myśleć. Pozostawała mglista, żółtawa te-Na szczęście amunicji było niewiele. Wraz z raźniejszość, z prostokątem białych drzwi na wprost ostatnim trzaskiem wybuchającego naboju pękły przede mną. Długi szereg dni jednakowych, leniwych, rozpalone wiązania kadłuba, i ogon, cały już w ogniu, szarych.

runął ciężko na runway. Ludzie zbliżali się ze Zamknąłem oczy. Nie chciało mi się słuchać tej wszystkich stron, ale nie sposób było podejść do szpitalnej ciszy, człapiącej w pantoflach po samolotu: żar bił straszny i płomień aż huczał, korytarzach wykładanych linoleum. Nie chciało mi się miotając się nad trupem maszyny.

czuć zapachu jodoformu i karbolu. Nie chciało mi się Ktoś pomógł mi wstać. Podsadzono mnie do

pamiętać, wspominać, oczekiwać, spodziewać się.

sanitarki. Zygmunt jęczał, leżąc na noszach.

Pukanie do drzwi wydało mi się niegodną złościwością.

—

Wejść — powiedział Góral.

Wtłoczyli się wszyscy razem. Głośni, rozgadani, żywi, nieznośni, z Bujakiem na czele.

Zygmunt stęknął, obudził się i zamrugał

osmalonymi powiekami bez rzęs. Góral natychmiast dostroił się do ogólnego tonu, jakby to było u nas na lotnisku. Ktoś uściśnął moją zdrową rękę. Zmusiłem się do wypowiedzenia paru słów nie mających znaczenia i umilkłem. Zygmunt i Góral mówili za mnie i za siebie. Udawałem, że drzemię, więc rozmawiali półgłosem.

Po chwili Bujak powiedział wesoło:

— Mamy już nową maszynę.

Uniosłem głowę, żeby go spiorunować wzrokiem: przecież dopiero wczoraj straciliśmy Genowefę!

Nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

Koza dodał:

- Oznaczona jest literą „L”. „L” — jak...

—

„L” — jak Lordówna —

powiedział

Zygmunt,

— „L” — jak Lucy — powiedział Góral.

Sekundę trwała cisza. . Potem rozległ się śmiech. Przyjazny, ciepły, rozbijający.

Spojrzałem na Górala i uśmiechnąłem się także.

Był czerwony jak rak.

— Niech ci będzie Lucy — powiedział Zygmunt.

Digitalizował „bodziokb”